

BIULETYN IPN

nr 12 (21)/2013

# pamięć.pl



**Grudzień 1970**

**Stalinowska Polska:  
władza i dyktatura**

**WRONA skona**

**Ucieczka Światły**

**Alternatywy 4  
– terapia śmiechowa**

Cena 6 zł (5% VAT)

ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521  
nakład 9500 egz.

**Dodatki specjalne:  
plakat akcji „Zapal Światło Wolności”,  
brozura *Pułkownik Łukasz Ciepłiński (1913–1951)*  
i kalendarz „Pamięci.pl”**



Całość floty rzymskiej dzielono na flotyllę (classis), z których każdą dowodził praefectus classis. Ich nazwy zależały od rejonu, w którym stacjonowały. Oprócz jednostek samego Rzymu, w jego flocie służyły też tak zwane flotyllę posiłkowe dostarczane, dowożone lub przysmusowo, przez nacje z nim sferderowane. Oprócz okrętów stricte bojowych Imperium rozporządzało także znaczną ilością mniejszych jednostek zwidowoczych i patrolowych. W szczególnych sytuacjach różnego rodzaju funkcje pomocnicze, a nawet mniej ważne zadania zbrojne, wypełniała flota handlowa. Większe statki transportowe służyły głównie do przewożenia armii ekspedycyjnej oraz zaopatrzenia i żywności na teren działań wojennych. Wielka ich liczba wyruszyła wraz z całą flotą rzymską (liczącą trzydzieści okrętów) w ekspedycję zbrojną przeciw Kartaginie, zakończoną bitwą morską u przylądka Eknomos w 256 roku przed naszą erą. W czasach republiki naczelne dowództwo nad flotą wojenną leżało w gestii dwóch konsulów. Do sprawowania kontroli nad pojedynczymi flotyllami wyznaczali oni własnych pomocników: trybunów bądź legatów. W 311 roku przed naszą erą z inicjatywy Appiusza Klaudiusza Caecusa przeprowadzono reformę, w myśl której każdy z konsulów dobił sobie do pomocy jednego oficera floty. Nosił on nazwę duoviri navalis i był członkiem dwuosobowego kolegium duoviri navales. Począwszy od 267 roku przed naszą erą sprawami finansowymi dotyczącymi floty rzymskiej oraz ochroną morskich szlaków handlowych zajmowali się czterech quaestores classis. W czasach II wojny punickiej, z racji dużej ilości morskich potyczek i bitew, należało stworzyć nowy rodzaj dowództwa. Związane z nim zadania przejął praefectus classis podlegający bezpośrednio konsulom. Pod koniec III wieku przed naszą erą w sprawach morskich zauważalny stał się spadek prestiżu konsula, który ostatni raz dowodził flotą w 218 roku. Jego uprawnienia przejmowali stopniowo inni wyżsi urzędnicy, na przykład w trakcie wojny macedońskiej całością floty kierował mianowany przez senat legatus pro praetore. Pod koniec II wieku przed naszą erą po raz pierwszy wydzieleni eskadrami dowodzili podlegający temu ostatniemu legati classis. Głównym dowódcą okrętu wojennego był trierarchus. Jego rozkazom podlegał centurio classis, a więc dowódca oddziału żołnierzy pokładowych. Obowiązkami szypira, czyli dowodzącego mniejszymi jednostkami pływającymi, głównie handlowymi, pełnił nauarchus. Z biegiem czasu, kiedy flota rzymska stała się liczną i znaczącą siłą morską, powołano stanowisko przełożonego szypirów, które pełnił nauarchus princeps. W zależności od rodzaju okrętu wojennego na jego pokładzie znajdowała się mniejsza lub większa liczba załogi. W jej skład wchodził: kadra dowódcza, żołnierze okrętowi (classarii lub marines), wioslarze (remiges), żeglarze (nautae), sternik oraz fletnista bądź trębacz nadający odpowiednie tonie wiosłowania. Oficerowie pokładowi, których głównym zadaniem był nadzór nad pracą wiosłarzy oraz wydawanie odpowiednich rozkazów i komend, zajmowali miejsce na niewielkim pokładzie nawigacyjnym umieszczonego na rufie okrętu flagowego. Na jego maszcie wywieszano flagę z typowo rzymskimi symbolami lub – w czasach Imperium – wizerunkiem cesarza (imago). Przebieg przegranej przez Kartagińczyków bitwy u przylądka Eknomos w 256 r. p.n.e. Istotne zadania pełnił na rufie sternik, który manewrował okrętem podczas bitwy oraz odpowiadał za nawigację w czasie żeglugi. Było to możliwe dzięki dwóm zsynchronizowanym wiosłom sterowym, które znajdowały się po obu stronach kadłuba okrętu. Wioslarze i żeglarze dysponowali jedynie lekkim uzbrojeniem zaczepnym (głównie oszczepami, które podczas żeglugi chowano pod ławeczką wiosłarską), aczkolwiek ich zadaniem, oprócz wprawiania okrętu w ruch i nadzorowania żagli, było również uczestniczenie w bitwie, jeśli tylko wymagała tego sytuacja. Używali oni przetrzebionych sposobów walki: począwszy od wylewania kotłów z gorącą cieczą na pokład przeciwnika, poprzez rzucanie kosów wypełnionych jadowitymi weziami bądź skorpiami, a skończywszy na miotaniu pocisków za pomocą procy oraz rzucaniu oszczepami, nawet z pozycji siedzącej. Każdy okręt wojenny, bez względu na wielkość, posiadał a więc pokład określonej liczby legionistów, którzy podczas rejsu zajmowali miejsce w części dziobowej. Przeważała była to tak zwana centuria classis licząca stu zbrojnych. W okresie późnej republiki oraz pryncypatu classarii posiadali następujące uzbrojenie: tunikę kołczą (lorica hamata) bądź dobrze dopasowany do tułowia pancerz (na wzór „pancerza atleży”) i przytoczone do niego pierzgi, czyli połączone ze sobą skórzaną pasy, często laminowane metalem, dla lepszej ochrony podbrzusza; hełm typu boeckiego ze specjalnym rondem opadającym ku dołowi i napoliczkanymi wiązanymi pod brodą, oszczep do dwóch metrów długości; krótki miecz (gladius). Ponadto na wyposażeniu żołnierzy pokładowych znajdowały się owalne tarcze zdobione zazwyczaj motywami morskimi (na przykład harpunami lub podobianymi boga Neptuna) i zawieszane na specjalnym pasku na ramieniu. Na podstawie znalezisk archeologicznych w Pompejach i wyobrażeń scen morskich w sztuce rzymskiej można odtworzyć także ubiór legionistów okrętowych. Typowy classarius nosił tunikę, długi płaszcz (przeważnie koloru czerwonego) i sandały. W rzymskiej flocie wojennej służyli także sojusznicy morscy (socii navales). Zaliczali się do nich np. Grecy oraz Italikowie sprzymierzeni z Rzymem. W kontekście planowania morskiej wyprawy do Afryki w czasie II wojny punickiej Tytus Liwiusz zanotował: Ludy Umbrii, a obok nich mieszkający Nursji, Reate i Amiternum, a także każdy kraj sabiński przyrzekli dostarczenie żołnierzy; Z Marsów, Pelignów, Marrucynów wiele zgłosiło się na ochotnika do służby na okrętach. Kamertowie, choć byli w przynajmniej z Rzymem na równych prawach, przysłali uzbrojony oddział sześciuset ludzi. Z biegiem czasu, korzystając z ujarzmania wielu plemion barbarzyńskich, do załóg okrętowych włączono też przedstawicieli podbitych nacji (symmacharii), którzy nie posiadali obywatelstwa rzymskiego i otrzymywali je dopiero po ukończeniu służby wojskowej. Zwykle odbywali ją oni jedynie w czasie wojny, otrzymując w zamian wynagrodzenie pieniężne. Symmacharii nie posiadali specjalnego przeszkolenia i walczyli według własnego stylu, właściwego dla plemienia, z którego pochodzili. Przewodzili im, dla ułatwienia kontaktu między dwoma stronami, nie w pełni zromantowani wodzowie wywodzący się z terenów podbitych, w skład jednej podlegającej dowództwu rzymskiemu. W zależności od rejonu stacjonowania poszczególnych flotylli rzecznych w skład rzymskich załóg wchodził: Iberowie, Brytowie, Germanie, Gallowie a nawet Mauroowie lub szerzej – mieszkańcy Afryki Północnej. Symmacharii posiadali typowe, barbarzyńskie uzbrojenie: oszczep, sztylet, okrągłą tarczę wykonaną z drewna i wzmocnioną metalowym umblem oraz maczugę. Charakterystyczną cechą tych zbrojnych był brak pancerza, choć czasami w celu częściowej choć ochrony tułowia i torsu stosowano wielowarstwowo płócienne tuniki. Wspomnianymi wcześniej Mauroowie w warunkach morskich ubraли się w kilka krótkich oszczepów do rzucania, okrągłą tarczę niewielkich rozmiarów zakładaną na przedramię oraz welnianą tunikę. Z barbarzyńców rekrutowały się także jednostki odpowiadająca za walkę na odległość. Zaliczy do nich należy łuczników, których często werbowano spośród mieszkańców Bliskiego Wschodu – znani ze swych wysokich umiejętności byli przede wszystkim łucznicy syryjscy. Na ich orientalne uzbrojenie składały się: hełm stożkowy, pancerz łuskowy, nakarcznik, luk refleksyjny, którego cięciwę napinano za pomocą specjalnego pierścienia (zakira) nakładanego na kciuk oraz krótki miecz. Mniejsze znaczenie aniżeli łucznikom przypisywano miotaczom kamieni, których należy odróżnić od proczary. Ci ostatni pochodzili i zazwyczaj z Wysp Balearskich, chociaż znani i cenieni byli także proczarze kretejscy. Na ich uzbrojenie składały się: proca skórzana, własny płaszcz na pociśki, tunika, hełm i krótki miecz bądź pugnali. Aka proczarze służyli też zwykle Brytowie, których odróżniało noszenie długich spodni oraz skórzaney torby na amunicję. Używano dwóch rodzajów procy: do rzucania na bliską odległość przeciw oddziałom skupionym w gęstym zalesiu na małej przestrzeni (w takiej sytuacji znaczne straty w szeregach wroga były gwarantowane) oraz do rzucania do znacznych odległości indywidualnych. Nośność procy wynosiła od sześciuset do tysiąca stop rzymskich (jedna stopa rzymska to dwadzieścia dziewięć i sześć dziesiątych centymetra). Rzucono kamieniami bądź oliwanymi kulami. Generalnie rzecz ujmując, niezależnie od tego, czy mówimy do Greków, Rzymianach lub innych jęszcze ludach, bitwy morskie rozstrzygano na trzy sposoby. Dążono zazwyczaj do staranowania wrogich okrętów (grecki manewr – periplus), zdruzgotania ich wiosel kadłubem (diekhubem) lub abordażu, czyli przeniesienia walki na pokład okrętu nieprzyjaciela. Aby skutecznie dokonać taranowania, okręty ustawiały się w szyk czolowy. Następnie podpyływały do nieprzyjacielskich jednostek na bliską odległość i atakowały taranami ich burty. Później wycofywały się w celu uwolnienia taranów, po czym powtarzały wspomniane czynności. Niekiedy dążono także do okrążenia sił przeciwnika poprzez wykonywanie manewru okrążającego. Będąc w niewielkiej odległości od okrętu wroga można było także zdruzgotać jego wiosła poprzez wpłynięcie na nie, gdy znajdowały się w wodzie. Należało przy tym pamiętać, aby wcześniej podnieść własne wiosła. Atak taki był możliwy po uprzednim ustawieniu okrętów w szyk liniowy, które przepływały następnie ze spora szybkością przeciw ugrupowaniu nieprzyjaciela. Manewr taki mogła ryzykować jedynie flota złożona z szybkich i zwrotnych jednostek. Stosowano także szyk obronny (kyklos) stosowany przez floty słabsze liczebnie od przeciwnika, bądź złożone z powolniejszych okrętów. Wówczas to jednostki tworzyły okrag, ustawiając się taranami na zewnątrz – frontem do wroga. Rzymianie, znani z walorów swych sił lądowych, ulepszyli znacznie technikę abordażu. Aby ułatwić własnym żołnierzom przedostanie się na nieprzyjacielski okręt i nadad starcu morskemu charakter bitwy na twardym gruncie, zaopatrzyli swe okręty w ruchome pomosty, tak zwane kruk (corvus). Miały one jędeniasie metrów wysokości i jeden i dwie dziesiąte metra szerokości, z każdej strony były zabezpieczone balustradą, a dodatkowo zaopatrzone były w żelazne dzioby. Każdy taki pomost był przymocowany do ośmiometrowego słupa ustawionego na dziobie okrętu. Kolowrotowi, wspomnianemu słupowi oraz linom przewleczonym przez jego wierzchołek, możliwe było podnoszenie i opuszczanie opisanej kładki, a także obrócenie jej na dowolną burtę okrętu. Aby cała konstrukcja była stabilna, używano specjalnego kołca bądź haka (coitus) na końcu pomostu.

W Internecie mamy więcej miejsca.



Pierwszy polski portal historyczny  
www.histmag.org

# MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIA WIEKI” Popularyzujemy historię od 55 lat!

W numerze grudniowym:

- Jak to było ze świętym Mikołajem
- Wspaniałe i dziwne prezenty dla królów, cesarzy, prezydentów i dyktatorów
- Krótka historia pluszowego misia
- „Żółte Tygrysy” – popularna seria wydawnicza z czasów PRL
- Wielkie Księstwo Litewskie – podzielona pamięć w epoce nacjonalizmów
- Marco Polo i jego *Opisanie świata*
- Pearl Harbor – sądny dzień Ameryki
- Rozmowa ze Sławomirem Koprem, autorem bestsellerów historycznych
- Dodatek „Historia bankowości na ziemiach polskich”

Ponadto w miesięczniku: aktualności historyczne, recenzje książkowe i filmowe, anegdota sprzed wieków

„Mówią wieki” można nabyć w salonach EMPIK, Kolportera, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u. Prenumeratę realizują Bellona SA i RUCH.

Zapraszamy także na nasze strony internetowe:

[www.mowiawieki.pl](http://www.mowiawieki.pl) oraz [www.facebook.com/mowiawieki](https://www.facebook.com/mowiawieki)





### 3 AKTUALNOŚCI IPN

### 4 KALENDARIUM

### 6 Z PIERWSZEJ STRONY

### FELIETON

**8** Krzysztof Gottesman, **Auschwitz z filtrem na Balu Przodowników Pracy**

### STOPKLATKA

**10** Radosław Morawski, **Katyń w niemieckiej propagandzie**

### Z ARCHIWUM IPN

**14** Grzegorz Majchrzak, **Decyzja o internowaniu**

### WYWIAD

**16** **Pierwszy Grudzień**  
– rozmowa z prof. Jerzym Eislerem

**22** **Terapia śmiechowa**  
– rozmowa z Januszem Płońskim, współscenarzystą serialu *Alternatywy 4*

### WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU

**26** Piotr Kardela, **Na politycznym aucie**

**30** Robert Spalek, **Stalinowska Polska: władza i dyktatura**

**36** Paweł Ceranka, **Dynamit podłożony pod stalinizm**

**41** Natalia Jarska, **Płeć Solidarności 1980–1981**

**45** Jan Oleński, **Kartki świąteczne 1980**



Fot. NAC



Fot. AIPN



Fot. AIPN



Fot. PAP

### Z DZIEJÓW OPOZYCJI I OPORU SPOŁECZNEGO

**47** Wojciech Wabik, **WRONA SKONA** w gazecie, czyli cios w gotowość oborną

### STRAŻNICY NARODOWEJ PAMIĘCI

**51** Filip Gańczak, **W kazamatach Stasi**

### PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU

**55** Jerzy Eisler, **Skarb**

### Z BRONIĄ W RĘKĘ

**58** Michał Mackiewicz, **Konspiracyjne granaty**

### ORZEŁ BIAŁY

**60** Michał Nowakowski-Lipka, Tomasz Zawistowski, **Orzeł krakowskich oddziałów automobilowych**

### ŚLEDZTWO IPN

**64** Marcin Zwolski, **Białostockie pole śmierci**

### EDUKACJA HISTORYCZNA

**66** Anna Brojer, **Zapał Światło Wolności – tak było...**

**67** **Światło Wolności dla księdza Jerzego**  
– rozmowa z Emilianem Kamińskim, dyrektorem Teatru Kamienica

**70** Anna Gruszecka, Agnieszka Łuczak, **Będziemy z Wami co roku...**

### 72 RECENZJE

### 73 BIBLIOTEKA IPN

Szanowni Czytelnicy!

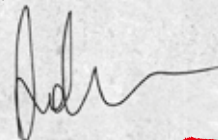
„Raz zdobytej władzy nie oddamy nigdy” – mówił w 1945 roku towarzysz „Wiesław”, czyli Władysław Gomułka – przysły dyktator Polski tzw. ludowej. Na szczęście jego deklaracja się nie spełniła i prawie już od ćwierćwiecza komuniści w Polsce nie rządzą. Kilkadziesiąt lat historii zdolali jednak zawłaszczyć. Robert Spalek dokonuje w niniejszym numerze analizy struktury, charakteru i sposobu działania tej władzy w początkowym jej okresie – w Polsce stalinowskiej. Mimo że niektórzy komuniści mieli takie ambicje, to nie wykluli się u nas jednoosobowa dyktatura, tylko raczej oligarchia. To zaś skutkowało nowymi problemami i możliwościami w budowaniu totalitarnego systemu. Co jakiś czas władza pokazywała, do czego jest zdolna, aby utrzymać kontrolę

nad społeczeństwem – Cyraniewiczowska metafora odrąbanej ręki podniesionej na władzę okazywała się często wcale nie metaforą, lecz eufemizmem. W rozmowie dotyczącej tragedii Grudnia 1970 roku Jerzy Eisler porównuje brutalne wyczyny milicjantów i zomowców do katowni gestapo, NKWD – i UB z czasów stalinizmu. O tym, co się działo za ścianami bezpieczniackich siedzib, o tym, jak działał system wprowadzony w Polsce pojaltańskiej, w 1954 roku uświadomił Zachód podpułkownik MBP Józef Światło, który – z pobudek raczej nie altruistycznych – uciekł w grudniu 1953 roku do Berlina Za-

chodniego. O jego ostatniej delegacji służbowej i ucieczce pisze Paweł Ceranka. W numerze wspominamy także drugi z Polskich Grudni (notabene obydwie zaczynają się w niedzielę trzynastego) – z roku 1981. Aby i tym razem władzy nie oddać, partyjna oligarchia znów wysłała czolgi na ulice, a z głośników telewizorów na Polaków rozkrakała się WRONa. Ta gwałtowna i – choć złowroga, to w gruncie rzeczy dość rozpaczliwa decyzja – była podyktowana obawą przed rosnącym w siłę ruchem Solidarności. Natalia Jarska przypomina w swoim artykule o tym, że niezależne związki miały twarze nie tylko liderów, lecz także liderki. Matka Polka nie tylko stała z kanapkami pod bramą stoczni czy kopalni, czekając na syna czy męża – to stereotyp, który nie oddaje całej prawdy. Matki Polki – Anna Walentyńowicz, Henryka Krzywonos, Alina Pienkowska i dziesiątki innych – uczestniczyły w walce o demokrację (bynajmniej nie tę ludową). Jednym z narzędzi tej walki było ośmieszenie systemu. Znakomicie udało się to m.in. reżyserowi Stanisławowi Barei, który w swoich komediach tworzył satyrę na PRL. Należy do nich serial *Alternatywy 4*. Mimo licznych zabiegów cenzury twórcom udało się przemycić – a czasem wręcz wprost pokazać – absurdalną rzeczywistość Polski lat osiemdziesiątych. Opowiada o tym w wywiadzie współscenarzysta serialu, Janusz Płoński. Na duchu podnosiły Polaków podczas trudnych dni stanu wojennego i mizery lat późniejszych także takie działania, które opisuje Wojciech Wabik: napisy na murach, a przede wszystkim przechytrzenie cenzury i umieszczenie w druku antyreżimowego hasła.

W numerze przypominamy także o zapaleniu Świątła Wolności, dołączając plakat akcji, a także broszurę projektu „Patroni naszych ulic” i kalendarz na rok 2014.

Redaktor naczelny  
Andrzej Brzozowski



## pamięć.pl

Wydawca:

Institut Pamięci Narodowej  
– Komisja Ścigania Zbrodni  
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa:

dr hab. Grzegorz Berendt,  
dr hab. Robert Klementowski,  
dr hab. Adam Dziurok, dr Krzysztof Kaczmarek,  
dr Maciej Korcuć, dr Tomasz Łabuszewski,  
dr Agnieszka Łuczak, dr Sławomir Poleszak,  
dr Paweł Skubisz, dr Waldemar Wilczewski,  
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),  
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna:

Dawid Golik, Agnieszka Jaczyńska,  
dr Andrzej Krajewski, Jan Olszek,  
Kamila Sachnowska, dr Paweł Sasanka,  
dr Magdalena Semczyszyn,  
Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty

Redakcja:

Andrzej Brzozowski  
(redaktor naczelny, tel. 22 431 83 56;  
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak, Andrzej Sujka,  
Karolina Wichowska

Sekretariat:

Maria Wiśniewska  
tel. 22 431-83-47, faks 22 431 83 11

Korekta: dr Magdalena Baj

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,  
Marcin Koc, Sylwia Szafraniśka

Redakcja techniczna: Andrzej Broniak

Skład i łamanie: Anna Zakrzewska

Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a,  
Warszawa

Adres do korespondencji:

ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa  
www.ipn.gov.pl

Druk: Centrum Usług Wspólnych  
ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Redakcja nie zwraca materiałów  
niezamówionych i zastrzega sobie prawo  
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

## W NASTĘPNYM NUMERZE MIĘDZY INNYMI:



Fot. AIPN

### „KONSPIRA” TO NIE ZNACZY ZAWSZE TO SAMO

Po wprowadzeniu stanu wojennego i delegalizacji Solidarności działacze związku (ci, których nie internowano) zostali zmuszeni do pracy w zupełnie nowych warunkach. Wprawdzie i wcześniej jawna działalność opozycyjna w PRL była właściwie niemożliwa, ale po 13 grudnia 1981 roku konieczna była pełna konspiracja. Tajne lokale, hasła, skrytki, przemyślny kolportaż bibuły, a czasem nawet zmiana tożsamości – dla wielu był to powrót do konspiracji z okresu II wojny światowej. O zasadach solidarnościowej „konspiracyj” i codzienności podziemnej opozycji pisze Jan Olszek.

### Wyjaśnienie

W numerze listopadowym artykulowi Macieja Żuczkowskiego nadaliśmy tytuł *Cztery premierzy terroryści*. Intencją redakcji nie było zrównanie niepodległościowej działalności bojowców PPS z terroryzmem, lecz ironiczne odniesienie do określeń używanych w oficjalnej, carskiej propagandzie. Za brak wyczucia i konsultacji serdecznie przepraszamy Autora i wszystkich, którzy poczuli się dotknięci.

Redakcja

■ Znamy już laureatów szóstej edycji **konkursu Książka Historyczna Roku**. Uroczyste wręczenie nagród o łącznej wartości 60 tys. zł odbyło się 15 listopada w siedzibie Telewizji Polskiej w Warszawie. W kategorii „Najlepsza książka naukowa poświęcona dziejom Polski i Polaków w XX wieku” jury wyróżniło pracę Patryka Pleskota *Kłopotliwa Panna „S”. Postawy polityczne Zachodu wobec Solidarności na tle stosunków z PRL 1980–1989* (wyd. IPN). Nagrodę czytelników w tej samej kategorii zdobyli Sławomir Cenckiewicz, Adam Chmielecki,

Janusz Kowalski i Anna K. Piekarska za publikację *Lech Kaczyński. Biografia polityczna 1949–2005*.

W kategorii „Najlepsza książka popularnonaukowa poświęcona historii Polski w XX wieku” jury doceniło pracę Marka Żebrowskiego *Jerzy Giedroyc. Życie przed „Kulturą”*. W internetowym głosowaniu czytelników w tej samej kategorii zwyciężyła dwutomowa książka Marka

A. Koprowskiego *Wołyń. Epopeja polskich losów 1939–2013*.

Dodatkowo jury uhonorowało wyróżnieniem specjalnym album *Śladami zbrodni. Przewodnik po miejscach represji komunistycznych lat 1944–1956*, wydany przez IPN pod redakcją Tomasza Łabuszewskiego. Organizatorami konkursu, któremu patronował prezydent Bronisław Komorowski, były Instytut Pamięci Narodowej, Telewizja Polska i Polskie Radio. „Książki Historyczne Roku” zostały wybrane przez jury w składzie: prof. Piotr Franaszek (przewodniczący), prof. Antoni Dudek, prof. Adam Dobroński, prof. Grzegorz Łukomski, prof. Andrzej Nowak i prof. Wojciech Roszkowski. Brano pod uwagę publikacje, które ukazały się w języku polskim po raz pierwszy między 1 stycznia 2012 a 30 czerwca 2013 roku.

■ Poznaliśmy również zwycięzców ogólnopolskiego **konkursu Audycja Historyczna Roku**. Uroczysta gala odbyła się 26 listopada w Oddziale IPN w Białymstoku.

W kategorii „Wydarzenia” Grand Prix Prezesa Instytutu Pamięci Narodowej otrzymały Katarzyna Michalak i Magda Grydniewska za reportaż radiowy *Zawieszka z Sobiboru*. W kategorii „Losy” nagrodę im. Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego zdobyła Jolanta Rudnik, autorka audycji *Czarny temat – Regina*. Nagrodę główną w kategorii „Historia regionalna” otrzymała Agnieszka Czarkowska za reportaż *Moja ciotka Zyta*. Łączna wartość tych trzech nagród to 23 tys. zł.

Wyróżnienia za specjalne wartości poznańskie zdobyły audycje *Opowieści szklanych płytek* Joanny Sikory i Krzysztofa Kiziewicza oraz *Ostatni cichociemny* Agnieszki Czarkowskiej, a także film dokumentalny *Szlakiem śląskich powstańców* Aleksandry Fudali. Dodatkowo – zgodnie z rekomendacją jury – dyrektor Oddziału IPN w Krakowie przyznał wyróżnienie specjalne filmowi *Święty ogień* Macieja Grabysy i Jarosława Mańki.

W jury konkursu zasiedli: red. Janina Jankowska (przewodnicząca), dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz, red. Stefan Truszczyński i dr Andrzej Zawistowski. Zwycięskich audycji można posłuchać na portalu Pamięć.pl.



Fot. P. Gajewski



Fot. J. Kuna

■ 27 listopada prezes IPN dr Łukasz Kamiński wręczył dwa **Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski** oraz siedemnaście **Krzyży Wolności i Solidarności** osobom, które działały w różnych, głównie młodzieżowych, organizacjach opozycji antykomunistycznej. Uroczystość odbyła się w warszawskim Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia”.

Order Odrodzenia Polski to drugie – po Orderze Orła Białego – najwyższe polskie państwowe odznaczenie cywilne. Ustanowiony został przez Sejm ustawą z 4 lutego 1921 roku.

Krzyż Wolności i Solidarności został ustanowiony przez Sejm 5 sierpnia 2010 roku. Jest nadawany przez Prezydenta RP na wniosek Prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. Wyróżniani są w ten sposób zasłużeni działacze opozycji z lat 1956–1989. Do tej pory Krzyż Wolności i Solidarności otrzymało ponad tysiąc osób.

■ Od 13 grudnia w Szkole Podstawowej nr 28 w **Rzeszowie** (ul. Solarza 12) będzie czynna **wystawa „Symbole naszej historii”**, przygotowana przez rzeszowski Oddział IPN. Jest ona swego rodzaju podróżą w czasie przez



symbole. Te mniej i bardziej znane – takie, które na dłużej lub na stałe zostały osadzone w życiu ludzi, i te, które przemieły wraz z czasami, w których powstały. Szczególne miejsce zostało poświęcone symbolice państwowości – godłu, fladze, barwom, hymnowi. Na maj i lipiec 2014 roku są planowane premiery kolejnych części ekspozycji – związanych z II RP, II wojną światową oraz okresem PRL.

■ 17 grudnia w pobliżu pomnika Ofiar Grudnia 1970 przy al. Piłsudskiego w **Gdyni** prezydent miasta Wojciech Szczurek i dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN dr Andrzej Zawistowski otworzą plenerową **wystawę „Grudzień 1970 w Gdyni”**, przygotowaną przez OBEP IPN w Gdańsku we współpracy z gdańską Akademią Sztuk Pięknych.

W czarny czwartek 17 grudnia 1970 roku – w trakcie protestów robotniczych przeciwko podwyżkom cen – doszło w Gdyni do masakry, w której wyniku śmierć poniosło kilkanaście osób. Wystawa opowiada



o tych tragicznych wydarzeniach, posługując się obrazami w stylistyce plakatu, uzupełnionymi o krótkie teksty historyczne. Wykorzystano także cytaty z poezji grudniowej.

Ekspozycja będzie prezentowana do końca stycznia.

oprac. Filip Gańczak

## POSTAĆ MIESIĄCA

**12 grudnia 1983:** Ksiądz Jerzy Popiełuszko został przesłuchany i trafił do aresztu.

Popiełuszko urodził się w Okopach na Podlasiu. W 1965 roku wstąpił do Wyższego Metropolitalnego Seminarium Duchownego w Warszawie. Po pierwszym roku studiów został skierowany do przymusowej zasadniczej służby wojskowej, którą odbywał przez dwa lata w specjalnej jednostce dla kleryków. Święcenia kapłańskie otrzymał w maju 1972 roku. Od wiosny 1980 roku był księdzem w warszawskiej parafii św. Stanisława Kostki. W czasie strajków sierpniowych odprawił mszę w Hucie Warszawa. Wkrótce stał się nieformalnym kapłanem Solidarności. W stanie wojennym słynne były jego comiesięczne Msze za Ojczyznę, podtrzymujące warszawiaków na duchu. Ksiądz Jerzy wspierał też rodziny internowanych związkowców, a w maju 1983 roku poprowadził uroczystości pogrzebowe Grzegorza Przemyka, śmiertelnie pobitego przez milicjantów.

W tym czasie ks. Popiełuszko cieszył się już autorytetem w całej Polsce, co nie podobało się władzom PRL. Przez reżimowe media był wielokrotnie oskarżany o zaangażowanie w działalność polityczną. Rzecznik rządu Jerzy Urban nazwał kazania księdza „seansami nienawiści”. Popiełuszko był również intensywnie inwigilowany i zastraszany przez Służbę Bezpieczeństwa. 12 grudnia 1983 roku został przesłuchany, a w jego mieszkaniu przeprowadzono rewizję, w wyniku której znaleziono – podrzucone wcześniej przez esbeków – broń i amunicję. Ksiądz Jerzy trafił do aresztu, został jednak zwolniony następnego dnia. W kolejnych miesiącach był wzywany na dalsze przesłuchania. Prokuratura zarzucała mu m.in. „nadużywanie wolności sumienia i wyznania”. Do procesu nie doszło wskutek amnestii z lipca 1984 roku. Prymas Józef Glemp bezskutecznie proponował Popiełuszce wyjazd na studia do Rzymu. 19 października 1984 roku, wracając z Bydgoszczy do Warszawy, ksiądz Jerzy został uprowadzony przez funkcjonariuszy Departamentu IV MSW. Był następnie torturowany. 30 października ogłoszono informację o wyłowieniu jego zwłok. Pogrzeb, który odbył się 3 listopada, zgromadził kilkaset tysięcy ludzi.

W 2009 roku ks. Jerzy Popiełuszko został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Orderem Orła Białego, a niespełna rok później – beatyfikowany przez papieża Benedykta XVI. Sprawców porwania ks. Jerzego i ich przełożonego skazano w 1985 roku na kary od 14 do 25 lat więzienia. Mocodawców zbrodni do dziś nie udało się postawić przed sądem. ■



Fot.: BStU

► Błogosławiony ks. Jerzy Popiełuszko (1947–1984)

**11 grudnia 1948:** W Zakopanem funkcjonariusze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego aresztowali Jerzego Brauna, ostatniego Delegata Rządu na Kraj. W młodości Braun działał w harcerstwie i walczył w wojnie z bolszewikami. W 1940 roku utworzył konspiracyjną organizację polityczno-wojskową Unia, której celem była odbudowa suwerennej Polski, opartej o zasady katolickiej nauki społecznej. Struktury zbrojne Unii podporządkowały się Armii Krajowej, a Braun wziął udział w Powstaniu Warszawskim. W 1945 roku przejął obowiązki przewodniczącego Rady Jedności Narodowej, powołanego pod okupacją quasi-parlamentu. Wkrótce został także Delegatem Rządu na Kraj, czyli politycznym przywódcą Polskiego Państwa Podziemnego. Zredagował *Testament Polski Walczącej* – postulujący m.in. wycofanie z Polski wojsk sowieckich i dopuszczenie wszystkich stronnictw demokratycznych do udziału w wolnych wyborach.

W kraju zdominowanym przez komunistów Braun próbował niezależnej legalnej działalności. Działał w Stronictwie Pracy i związał się z katolickim „Tygodnikiem Warszawskim”. Został jednak aresztowany wraz z żoną i poddany brutalnemu śledztwu – stracił oko i wszystkie zęby. Skazany na dożywocie, wyszedł na wolność w 1956 roku. Dziewięć lat później wyjechał do Rzymu i pozostał na emigracji. Wydawał książki, publikował artykuły, prowadził audycje w Radiu Watykańskim. W 2006 roku Jerzy Braun został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Już po tej decyzji w serialu dokumentalnym *Errata do biografii* pojawiły się informacje, że w czasie pobytu we Włoszech Braun był zarejestrowany przez Departament I MSW (wywiad PRL – część Służby Bezpieczeństwa) jako kontakt operacyjny „Opium”. Nie podpisał zobowiązania do współpracy, ale z zachowanych materiałów wynika, że spotykał się z esbekami i był przez nich opłacany. ■

Fot.: NAC

► Jerzy Braun (1901–1975)

**15–21 grudnia 1948:** W auli Politechniki Warszawskiej odbył się kongres zjednoczeniowy Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej.

Był to element szerszego procesu, jaki zachodził w podporządkowanych ZSRR krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Partie socjalistyczne (lub socjaldemokratyczne) były pozbawiane samodzielności i – po przeprowadzeniu czystek w ich szeregach – scalane z komunistycznymi. W przypadku Polski, zgodnie z wolą sowieckiego dyktatora Józefa Stalina, powstała w ten sposób Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. „Zjednoczenie» było faktycznie wchłonięciem PPS przez PPR. W nowej partii znalazło się około 1 mln członków [komunistycznej] PPR i około 0,5 mln członków PPS. Najwyższe funkcje [...] objęli pepeerowcy. PZPR była partią wodzowską

– czyli absolutnie podporządkowaną swemu przywódcy – a jej kierownictwo Stalin oddał w ręce [Bolesława] Bieruta” – pisze w książce *Od niepodległości do niepodległości* dr hab. Filip Musiał. W systemie politycznym „ludowej” Polski PZPR – wraz z uznającymi jej przewodnią rolę mniejszymi stronnictwami sojuszniczymi – zajęła pozycję monopolistyczną. Pierwsze częściowo wolne wybory z czerwca 1989 roku zakończyły się klęską komunistów, a nieco ponad pół roku później Polska Zjednoczona Partia Robotnicza przestała istnieć. ■



Fot.: PAP

**17 grudnia 1953:** Polscy biskupi złożyli ślubowanie na wierność PRL.

Uroczystość odbyła się w gmachu Urzędu Rady Ministrów w Warszawie. Głos zabrali wicepremier Józef Cyrankiewicz i bp Michał Klepacz, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski. Biskup Zygmunt Choromański odczytał następnie rotę ślubowania: „Ślubuję uroczystie wierność Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i jej rządowi. [...] Przymierzam, że nie podejmę niczego, co mogłoby być sprzeczne z interesami Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej lub godzić w bezpieczeństwo i całość jej granic [...]”. „Akt ten był wyrazem słabości Episkopatu i jego upokorzeniem przez władze. Deprecjonował wizerunek Kościoła jako ostatniej niezależnej siły w kraju” – ocenia postawę biskupów dr Bartłomiej Nosszack, autor książki *Polityka państwa wobec Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce w okresie internowania prymasa Stefana Wyszyńskiego 1953–1956*. Do ślubowania doszło jednak w okresie bezprecedensowych represji wobec Kościoła. Niespełna trzy miesiące wcześniej stalinowski sąd skazał na 12 lat więzienia bp. Czesława Kaczmarska, a funkcjonariusze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego aresztowali prymasa Stefana Wyszyńskiego. ■



Fot. PAP

► Posiedzenie Komitetu Obywatelskiego, kwiecień 1989 roku

W podziemiach kościoła Miłosierdzia Bożego w Warszawie ogłoszono powstanie Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechu Wałęsie. W skład gremium weszło ponad sto osób: działacze związkowi, przedstawiciele środowisk opozycyjnych i katolickich oraz ludzie nauki i kultury. „Trzon stanowili [jednak] najbliżsi wówczas doradcy Wałęsy – Bronisław Gereemek, Tadeusz Mazowiecki, Andrzej Stelmachowski, Andrzej Wielowieyski, Jacek Kuroń, Adam Michnik i Ryszard Bugaj” – wlicza w książce *Wybory czerwcowe 1989 roku* dr Paulina Codogni. To właśnie Wałęsa, „wraz z Geremkiem, Kuroń i Michnikiem”, zdecydował o składzie komitetu – dodaje Codogni. W KO zabrakło miejsca m.in. dla reprezentantów Solidarności Walczącej, Konfederacji Polski Niepodległej i grupy Andrzeja Gwiazdy. Środowiska te sprzeciwiały się bowiem idei kompromisu z władzami PRL. Komitet przy Lechu Wałęsie został zaś powołany po to, by przygotować opozycję do oferowanych przez stronę rządową rozmów Okrągłego Stołu. Z czasem zmienił rolę i przekształcił się *de facto* w sztab wyborczy Solidarności. W czerwcu 1989 roku wielu działaczy KO z powodzeniem kandydowało do sejmu lub senatu. Rok później w Komitecie Obywatelskim doszło do rozłamu. Z gremium odeszli zwolennicy premiera Tadeusza Mazowieckiego, skonfliktowanego już wtedy z Lechem Wałęsą. ■

**23 grudnia 1988:** Sejm PRL przyjął ustawę o działalności gospodarczej, znaną dziś także jako ustawa Wilczka.

Nowe przepisy firmował minister przemysłu Mieczysław Wilczek, członek PZPR, ale także przedsiębiorca. Ustawa stwierdzała, że podejmowanie i prowadzenie działalności gospodarczej „jest wolne i dozwolone każdemu na równych prawach”. Konieczność uzyskania koncesji ograniczono do nielicznych dziedzin, takich jak handel bronią, produkcja wyrobów tytoniowych i spirytusu czy prowadzenie aptek. „Ustawa ta niewątpliwie stworzyła podwaliny polskiego kapitalizmu” – komentuje dr hab. Andrzej Kojder z Instytutu Nauk o Państwie i Prawie Uniwersytetu Warszawskiego. Była przy tym elementem większego pakietu ustaw. Tego samego dnia sejm uchwalili także ustawę o działalności gospodarczej z udziałem podmiotów zagranicznych, mającą zapewnić napływ do Polski kapitału zagranicznego. Wkrótce doszły do tego nowe prawo dewizowe, pozwalające na legalny obrót walutami obcymi, oraz ustawa „Prawo bankowe”, umożliwiająca zakładanie banków przez osoby prawne i fizyczne. Wszystko to oznaczało całkowitą zmianę dotychczasowych reguł życia ekonomicznego. W krótkim czasie Polacy zarejestrowali tysiące firm. Powstało jednak również wiele tzw. spółek nomenklaturowych – utworzonych przez osoby z komunistycznego aparatu władzy. „Do dziś otwarte pozostaje pytanie, czy celem działań podejmowanych wówczas przez ekipę [Wojciecha] Jaruzelskiego była realizacja tzw. wariantu chińskiego – czyli daleko posuniętej liberalizacji i częściowej prywatyzacji gospodarki, przy równoczesnym utrzymaniu autorytarnego systemu rządów” – pisze prof. Antoni Dudek, historyk i politolog, członek Rady IPN. Profesor przypuszcza, że wkrótce część działaczy PZPR pogodziła się jednak z utratą władzy politycznej, traktując to jako „nieuchronną cenę przemian własnościowych, których byli znaczącymi beneficjentami”. ■



Fot. PAP

► Mieczysław Wilczek

**27 grudnia 1918:** W Poznaniu wybuchły walki między Polakami i Niemcami. Dzień ten uznaje się za początek Powstania Wielkopolskiego.

W Wielkopolsce, w 1793 roku zagarniętej przez Prusy, u progu XX wieku Polacy wciąż stanowili większość ludności. Klęska Niemiec w I wojnie światowej sprawiła, że przyszłość tych ziem była otwarta. 26 grudnia 1918 roku do Poznania przybył Ignacy Paderewski, światowej sławy pianista, owacyjnie witany przez rodaków. W odpowiedzi Niemcy zorganizowali następnego dnia antypolską manifestację. Pod hotelem Bazar, gdzie zatrzymał się Paderewski, padły pierwsze strzały. Polacy szybko opanowali miasto i walki rozszerzyły się na niemal całą Wielkopolskę. Zacięte boje toczyły się m.in. pod Nakłem, Szubinem i Rawiczem. Oddziałami powstańczymi dowodził początkowo mjr Stanisław Taczak, a od 16 stycznia gen. Józef Dowbor-Muśnicki. Niemieckie formacje Grenzschtuzu nie były w stanie przejąć inicjatywy. Walki oficjalnie przerwał 16 lutego rozejm w Trewirze, choć do mniejszych starć dochodziło także później. „Było to pierwsze w pełni zwycięskie powstanie Polaków, którzy nie tylko oswobodzili ziemię ojców [...] ale i utrzymali owoce zwycięstwa” – ocenia Jarosław Giziński, autor książki *1918. Powstanie Wielkopolskie. Zwycięski koniec najdłuższej wojny*. Traktat wersalski z 28 czerwca 1919 roku przyznał odradzającej się Rzeczypospolitej niemal całą Wielkopolskę. Ceną za ten sukces była śmierć ok. 2 tys. powstańców. ■



Fot. ze zbiorów Ośrodku KARTA

6 grudnia 1936 roku

„Życie jest walką. Zdaje sobie z tego sprawę każda jednostka, czuje też to dobrze każda żywotna grupa społeczna. Stwierdzenie jednak tego faktu nie oznacza, że naczelnym hasłem i programem ludzkości, oraz jedynie skuteczną metodą działania winna być walka” – pisała „Gazeta Jarosławska” w numerze 49 z 6 grudnia 1936 roku. W artykule *Zmierzch teorii walki klas* tygodnik odniósł się do zmieniających się w Europie Zachodniej relacji między pracodawcą a pracownikiem, które w przeszłości były nacechowane nieustanną walką. Podając przykłady z Wielkiej Brytanii, Francji i Niemiec, „Gazeta” podkreślała, że w tych krajach robotnicy podjęli udaną współpracę z pracodawcami, przynoszącą obopólne korzyści, a nawet udawało im się wywierać realny wpływ na politykę gospodarczą państwa. „Zresztą i u nas w Polsce warstwy pracujące wstąpiły, a raczej wstępowały już niejednokrotnie na drogę współpracy. Angażowały się mianowicie czynnie w szereg instytucji, które miały na celu przyczynienie się do pokoju gospodarczego w kraju. Tak np. rady opiniodawcze, istniejące bądź to przy poszczególnych resortach administracji państwowej, bądź też przy Prezydium Rady Ministrów”. Mimo to – jak podkreślał autor tekstu – nad Wisłą „wciąż podtrzymuje się silne zarzewie walki”, która jest „wypisana na sztandarach odnośnych organizacji jako niezbędna droga do wyzwolenia warstw pracujących”. „Gazeta” apelowała do ich przywódców o zmianę dotychczasowej polityki, podkreślając przy tym, że oczekują jej przede wszystkim sami robotnicy: „W sumieniu robotnika budzi się chęć do swobodnej pracy dla siebie i dla Państwa. Budzi się świadomość górującego ponad wszystkim dobra ogólnego, państwowego. Budzi się chęć odważnego przejścia śladem towarzyszków z zachodniej Europy do podtrzymania Państwa i uwydatnienia jego stanowiska mocarstwowego. Budzi się w nim żądza prawdy życiowej, tak skwapliwie przede nim dotychczas tajonej przez tych, którzy poza walką dla walki nic wymyślić nie zdołali”.

poświęcony sprawom gospodarczo-społecznym miasta i powiatu

Niedziela dnia 6 grudnia 1936 r.

## Zmierzch teorii walki klas.

„Życie jest walką. Zdaje sobie z tego dobre każda jednostka, czuje też to dobrze każda grupa społeczna. Stwierdzenie tego faktu nie oznacza, że naczelnym i programem ludzkości, oraz jedynie skuteczną metodą działania winna być walka...”

Przed laty kazał, że życie społecznej ludzkiej jest historycznej teorii walki klas, zaskakująco polityką ruchu robotniczego, ruchu działającego metodą nieustannego wzajemnego wyzyskiwania, przetrwania walczącego. Długoletniemu tej teorii wpłynęło na umysłowość doświadczenie, że nie da się dopatrywać się możliwości innych, jak tylko w bezprzezwidywalnym Pracy Kapi-

tał jest walka. Zdaje sobie z tego dobre każda jednostka, czuje też to dobrze każda grupa społeczna. Stwierdzenie tego faktu nie oznacza, że naczelnym i programem ludzkości, oraz jedynie skuteczną metodą działania winna być walka...”

...życie jest walką. Zdaje sobie z tego dobre każda jednostka, czuje też to dobrze każda grupa społeczna. Stwierdzenie tego faktu nie oznacza, że naczelnym i programem ludzkości, oraz jedynie skuteczną metodą działania winna być walka...”

6 grudnia 1943 roku

Miesiąc po zakończeniu konferencji ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i ZSRR, która odbyła się w Moskwie 19-30 października 1943 roku, w numerze 7 „Biuletynu Słowińskiego” opublikowano tekst, w którym autor – ukrywający się pod pseudonimem „Jędrzej z Płaskowicz” – odniósł się do głównych punktów radzieckiej polityki w Europie Środkowej. „Jednym z nich jest niewątpliwie żądanie pozostawienia wolnej ręki w stosunku do Finlandii i państw bałtyckich, czyli dążność do panowania na Morzu Bałtyckim” – można było przeczytać na pierwszej stronie wydawanego w Warszawie konspiracyjnego miesięcznika. Kilka kolejnych akapitów autor poświęcił na przybliżenie czytelnikowi historii południowego wybrzeża Morza Bałtyckiego, od Szczecina do Rygi, które jest „naturalnym przedłużeniem i uzupełnieniem ziem polskich zarówno pod względem układu powierzchni, jak kierunku polskich rzek”. „Rosja nie zdołała zaszczepić swej kultury ani w Polsce, ani [na] Litwie i Łotwie, ani nawet [w] Estonii i Finlandii. Nie ma więc do tych terenów praw kulturalnych ani historycznych. Rozbiory Polski dawno potępiała opinia wszystkich narodów i [sta]ła się to osnową szeregu traktatów. Nie ma również do nich żadnych praw gospodarczych, gdyż nie uzasadnia ich ani położenie geograficzne, ani istotne względy gospodarcze. Istotne natomiast przyczyniły ekspansji Rosji w tym kierunku mają naturę czysto militarną i polityczną. Dysponując szerokim pasem bliskości nadbałtyckich, Rosja będzie miała możliwość stworzyć silne bazy morskie, które ułatwią jej bezpośredni dostęp do wszystkich niemal krajów europejskich” – alarmował „Jędrzej z Płaskowicz”. Autor zwracał uwagę na niebezpieczeństwo prowadzonej przez Moskwę polityki, która godziła także w interesy Wielkiej Brytanii, posiadającej bazy morskie na Gibraltarze i w Suezie. Ekspansywnej polityce ZSRR, roszcującego sobie prawo także do Besarabii, zapobiec miało zbudowanie „silnego walną obronnego pod postacią potężnego bloku w Europie Środkowej”. Polska miałaby być ważnym elementem składowym tegoż bloku.

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM EUROPY ŚRODKOWEJ

Warszawa, 6 grudnia 1943 r.

JĘDRZEJ Z PŁASKOWICZ

PO KONFERENCJI MOSKIEWSKIEJ

Oczy i naszy całego świata przez drugą połowę października

z pozoru wydaje się, że nasze zainteresowanie, a nawet — P. nasz niepokój nie ma żadnego uzasadnienia. Anglia przecież przy roli naszego sojusznika, w którego interesach leżała równowaga... mým — siła Polski. Pamiętajmy dobrze, że w imię tych interesów... sojuszu i wzajemnie wymienić gwarancje, więc nic nie powinno z...

Anglia uzyskała szereg nowych sojuszników. Jednym z nich stała... która wzięła na siebie znaczny ciężar wojny. Anglia musi liczyć z... i respektować — w każdym razie do pewnego czasu — pewne s...

Jakkolwiek wynik rozmów moskiewskich trzymamy jest w... nie trudno jest odwołać sobie główne punkty zainteresowań... z nich jest niewątpliwie żądanie pozostawienia wolnej ręki w... i państw bałtyckich czyli dążność do panowania na Morzu Ba... tensję do Besarabii jednej z najbardziej kluczowych pozycji w u... nocożenie z Besarabią czynnikiem sowieckim musiał znaleźć na u... stepów do Morza Śródziemnego przez Dardanellę, Gibraltar i... jest tutaj wiadomość o prowadzeniu przez Sowietów prętkoakt...

Problemy Bałtyku od Szczecina do Rygi jest naturalnym... przede Morza Bałtyckiego zarówno pod względem układu po... pełnieniem ziem polskich zarówno pod względem układu po... polskich rzek. Dążenie do osiągnięcia południowego wybrzeża... samego zarania swej państwowości. Od czasów ekspansji Pomor... centie, posiadanie i obronę przed niemiecką ekspansją, chłędzając... sklerował wagę na Prusach przez przyjazny, sąsiedzi, chłędzając... mieć dostęp do morza przez przyjazny, sąsiedzi, chłędzając... od najdawniejszych czasów leżało w sferze interesów polski... Wisły i Odry, to Prusy były terenem naturalnej ekspansji Po... gęcej zaludnionego i najwłaźniejszego Mazowsza tak, że...

Ekspansja w kierunku Prus była jednym z podstawo... mazowieckich, którzy dlatego na pograniczu Prus osiedlili... bytu własnych osadników, zdobyć niezbędną dla rozwoju na... morza. Przez unię z Litwą Polska zwróciła oczy na pozosta... brzeża Bałtyku z ujęciem Niemca i Dąbiny. Tym razem w... bywał organ, gdyż infantylny i szorstkiemu w rozumieniu własnych lat... swoje zwróciły się do Zygmunta Augusta z prośbą o przyłączenie... jednocześnie unię z Koroną i Litwą.

Przyrzeczna wejścia infantylna w skład Rzeczypospolitej było niebezpieczeństwo gr... zające ze strony Moskwy. Kraj o kulturze łacińskiej, o cywilizacji zachodniej, mógł mieć... zapewniającą swobodę życia duchowego i gospodarczego tylko przy boku polski, nato...

Wol...  
Przed ponad 15 m... mnych negocjacja... pisana zostały por... konsultami stra... rski program zmi... władza zobowiąz... wać. Dla podnie... Komitet Centralny... mógł sprawozda... nych reform. Pry... parli na rozmy...



18 grudnia 1970 roku

Tydzień przed Wigilią Bożego Narodzenia 1970 roku przed kamerami Telewizji Polskiej i mikrofonami Polskiego Radia zasiadł Józef Cyrankiewicz, aby wygłosić przemówienie do narodu. Odnosił się w nim do krwawych wydarzeń, które od 14 grudnia, tj. po podwyżce cen żywności i węgla, rozgrywały się w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie. Pełny tekst wystąpienia prezesa Rady Ministrów PRL i członka Biura Politycznego KC PZPR zamieścił m.in. „Głos Wybrzeża” w numerze 300. Wzrost cen artykułów pierwszej potrzeby, a tym samym kosztów życia, uderzył przede wszystkim w robotników, którzy w rezultacie wyszli na ulice, a przeciw którym władza komunistyczna rzuciła tysiące żołnierzy i milicjantów. Winą za krwawe zajścia Cyrankiewicz obarczył wyłącznie strajkujących: „Doszło do atakowania i strzelania do milicjantów i żołnierzy stojących na straży porządku, mienia publicznego i prywatnego, a także bezpieczeństwa obywateli. Doszło do tragicznych starć, w których siły porządkowe zmuszone zostały do użycia broni. Są ofiary w ludziach. Kilkunastu zabitych i kilkuset rannych milicjantów i osób cywilnych”. Robotników stoczniowych, których wsparli miejscowi studenci, określił jako „elementy anarchistyczne, chuligańskie i kryminalne”. Oskarżał ich o demolowanie i podpalanie budynków i samochodów oraz o grabież sklepów, co nie tylko przyniosło „wielkie materialne i moralne straty”, ale także stało się „żerowiskiem dla wrogów Polski Ludowej”. Jednocześnie przestrzegał przed skutkami takich zachowań: „Mamy za sobą bogate i bolesne historyczne doświadczenia, trzeba o nich pamiętać zawsze, a może nade wszystko w chwilach trudnych. Wskutek anarchii upadła Polska szlachecka, wskutek egoizmu szlacheckiego i antyradzieckiego zaślepienia upadła Polska burżuazyjna”. I zapewniał, że „porządek i ład, tam, gdzie zostały naruszone, są już wprowadzane i będą wprowadzane konsekwentnie do końca”. Rewolta grudniowa doprowadziła też jednak do zmian na szczytach aparatu władzy i przede wszystkim do przywrócenia cen sprzed podwyżki.

## Chodzi o Polskę

### Przemówienie premiera Józefa Cyrankiewicza

Wczoraj wieczorem przed kamerami telewizyjnymi i mikrofonami Polskiego Radia wygłosił przemówienie do narodu Józef Cyrankiewicz, premier Rady Ministrów PRL. Należy zaznaczyć, że to jest pierwsze przemówienie premiera do narodu w tym rodzaju. W przemówieniu tym premier wyraził głęboką troskę o dobro i przyszłość naszego państwa. Wskazał na trudne warunki, w jakich żyjemy, i na konieczność podjęcia trudnych decyzji. Premier zapewnił, że rząd będzie działał na rzecz dobra państwa i jego obywateli. Wskazał na konieczność zachowania porządku i ładu, a także na konieczność współpracy wszystkich sił państwa. Premier wyraził nadzieję, że dzięki tym trudnym decyzjom nasz kraj będzie mógł przetrwać i osiągnąć dobrobyt i wolność.

### Poparcie ZSRR dla narodu wietnamskiego

Agencja TASS ogłosiła, że ZSRR wyraża poparcie dla narodu wietnamskiego w walce z imperializmem amerykańskim. Wskazuje się na konieczność zakończenia wojny w Wietnamie.

### Silnik dla 55-tysięcznik gotowy

Wieloletni projekt silnika dla samolotu MiG-23 został zakończony. Silnik jest gotowy do montażu i testów. Jest to wielki sukces inżynierski.

## Trybuna Ludu

Proletariusze wszystkich krajów

KOMITETU CENTRALNEGO POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

14 grudnia 1981 roku

W poniedziałek 14 grudnia 1981 roku „Trybuna Ludu” zamieściła na pierwszej stronie słynne przemówienie gen. Wojciecha Jaruzelskiego, w którym premier PRL poinformował społeczeństwo o ukonstytuowaniu się Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego i wprowadzeniu stanu wojennego na terenie całego kraju. Przyczyny takiej decyzji wyjaśnił Stanisław Reperowicz w artykule *W obronie polskiej szansy*, opublikowanym na piątej stronie dziennika w numerze 293. Redaktor „Trybuny” pisał: „Przed ponad 15 miesiącami, po kilkunastodniowych gorących negocjacjach, w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu podpisane zostały porozumienia między komisjami rządowymi a komitetami strajkowymi. Protokoły ustaleń zawierały szeroki program zmian społecznych i ekonomicznych, które władza zobowiązała się w określonym terminie zrealizować. Dla podniesienia wagi dokumentów, dzień wcześniej Komitet Centralny PZPR przyjął do zatwierdzającej wiadomości sprawozdania komisji rządowych z przeprowadzonych rozmów. Prasa światowa oceniła ten fakt jako zgodę partii na reformy zaproponowane przez robotników”. W dalszych słowach zapewniał, że władze komunistyczne przystąpiły „z największą powagą” do realizacji dwustronnych porozumień, dokonując niezbędnych zmian personalnych na szczytach władzy, umożliwiając rejestrację nowych związków zawodowych, wydając szereg aktów prawnych „rozszerzających zasady demokracji i umacniających praworządność” czy też przystępując do prac nad reformą gospodarczą. Zdaniem dziennikarza, ze swoich zobowiązań nie wywiązali się przywódcy NSZZ „Solidarność”, których oskarżał nie tylko o „strajki i inne niepokoje naruszające ład społeczny”, ale także o... wprowadzenie przez nich stanu wojennego tuż po podpisaniu porozumień sierpniowych: „Wprowadzono liczne elementy wojny psychologicznej. Przede wszystkim za pomocą ulotek, gazetek, hasel na murach i chodnikach, broszur itp. Jest to wojna z socjalizmem i partią, z wszystkimi, którzy są przeciwni realizacji scenariusza przewidującego obalenie władzy ludowej w Polsce”. Reperowicz zapewniał jednak: „Główną linią postępowania partii przez te 500 dni była i pozostaje nadal strategia porozumienia narodowego”. Owa „strategia porozumienia narodowego” miała teraz polegać na internowaniu działaczy opozycyjnych i krwawym tłumieniu strajków...



# Auschwitze z filtrem na Balu Przodowników Pracy

Krzysztof Gottesman

Wpadła mi w ręce ulotka ekskluzywnego hotelu zagranicznej sieci, zapraszająca na Bal Sylwestrowy Przodowników Pracy w klimacie PRL. Dziś to już żadne wydarzenie, można się przyzwyczaić, tania nostalgia za PRL kwitnie w najgorsze. Ale mnie w takich wypadkach ciągle przypomina się stara piosenka Jana Krzysztofa Kelusa o papierosach bielamora i auschwitzach z filtrem.



Rys. A. Szafranski

**G**rudzień to dla Polaków przede wszystkim Boże Narodzenie, oczekiwanie na wyjątkowy wieczór w roku. A oprócz tego – perspektywa sylwestrowej zabawy. Wśród Polskich Miesiący to jednak czas najtragiczniejszy. I smutny. W 1970 roku były Gdańsk, Gdynia, Szczecin, Elbląg. Krótco przed świętami wściekłość na podwyżkę cen żywności wzmocniła groza dochodzących z Wybrzeża plotek i wiadomości, w które trudno było uwierzyć. Zachodnie rozgłosnie też niewiele wiedziały. Strajki, stoczniovcy na ulicach, czołgi, gazy, strzelanie do tłumu, dziesiątki zabitych, zniszczone domy. Wszystko, co najgorsze, się sprawdziło. A może było jeszcze gorzej. O strzelających z helikoptera do bezbronnych robotników dowiedzieliśmy się dopiero później. Tak jak i o nocnych pogrzebach. I o Kociołku. Pamiętam tamte święta i tamten sylwester. Nikomu z nas, mnie i moim kilkunastoletnim kolegom, nie przyszło do głowy, by urządzić huczne prywatki. Siedzieliśmy, młodzi wspólnie z rodzicami, z trudem doczekaliśmy do północy. Z ulgą pożegnaliśmy kolejny rok peerelowskiej historii. – Żeby następny nie był gorszy – takie wtedy były życzenia.

Rok 1981. Następny Polski Grudzień. Następne święta Bożego Narodzenia i sylwester. Czarna noc stanu wojennego, mawia się dziś z przymrużeniem oka i ze świadomym patosem. Ale wtedy tak

rzeczywiście było. Wiedzieliśmy już – ja i moi znajomi – o „Wujku”. Rozbita Solidarność, rozbite marzenia milionów Polaków, gorycz porażki, strach przed przyszłością. Obawa o los własny i nieobecnych kolegów. Godzina milicyjna, choć na Wigilię zawieszona, SKOT-y i patrole na ulicach, przy koksownikach. Pełne areszty i obozy internowania. Szpicle węszący, czy ukrywający się działacze Solidarności nie będą w tym czasie próbowali spotkać się ze swymi najbliższymi. Obrzydlistwa w „Trybunie Ludu”, „Żołnierzu Wolności”, radiu i telewizji. Siedzieliśmy wówczas przy stołach smutni i załamani. Dzielił się się opłatkiem, piliśmy na smutno wódkę i pocieszałyśmy się, że Orła WRONa nie pokona. Na Sylwestra było może trochę więcej wódki, ale nastrój był podobny.

Były w PRL szczęśliwe święta i wesołe sylwestry. Sam takie pamiętam i w takich uczestniczyłem. Nie należę do tych publicystów – i w ogóle Polaków – którzy uważają PRL za czarną dziurę. To była część historii Polski. Nie jest prawdą, że walka z komuną zajmowała wszystkim cały czas. Ale prawdą jest na pewno, że ja, moja rodzina i przyjaciele, koledzy z uniwersytetu zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nie żyjemy w kraju wolnym i suwerennym, normalnym. Rodzinne tradycje i wyjazdy na Zachód najbardziej tę świadomość wzmacniały. Różnie sobie z nią radziliśmy. Byli wokół mnie na

studiach socjologicznych Uniwersytetu Warszawskiego koledzy głęboko zaangażowani w opozycję, SKS, współpracę z KOR. Znałem też działaczy reżimowego SZSP, a nawet jednego, który chodził na wykłady Latającego Uniwersytetu i wprawdzie nikogo nie bił, ale zadawał prowadzącym agresywne pytania.



Kilku, w czasie studiów lub zaraz po dyplomie, wyjechało za granicę. Spora grupa po prostu się przystosowywała do systemu i warunków. I wszyscyśmy, nawet ci z SZSP, w chwili szczerości mówili: kurczę, szkoda, że nie żyjemy w normalnym kraju. Żadnego sentymentu do ustroju w nas nie było.

„Towarzysze i Towarzyszki! W 2013 roku wypracowaliśmy 300 proc. normy. Polska jest Wam wdzięczna, a Wy, Obywatele, zasłużyliście na potańcówkę” – ulotka w jaskrawoczerwonym kolorze zaprasza na bal sylwestrowy w dużym hotelu. Bal Przodowników Pracy. Nęci „kartkami na mięso i alkoholem dla każdego ojca rodziny”. Już wiadomo, że „noworoczny toast skupi się na realizacji planu sześcioletniego”. Nie jestem

śmiertelnie poważnym człowiekiem, czasami nachalne i nadmierne kombatantwo i martyrologia związane z czasami PRL rażą mnie i śmieszają. Nie potrafię jednak zrozumieć, dlaczego czasy tak ponure, pozbawione nadziei, tępiące jakąkolwiek różnorodność, luz czy indywidualność są dla młodych ludzi atrakcyjnym tłem zabawy. Jak w „realu” odnaleźliby się oni w latach siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych, nie mówiąc już o latach przodowników pracy i planu sześcioletniego? Ze swoimi książkami, filmami, Erasmusem, wynajmowanym za własną pracę mieszkaniem? Ze swoim stylem życia. Co by powiedzieli na obowiązkową służbę wojskową i nakazy pracy?

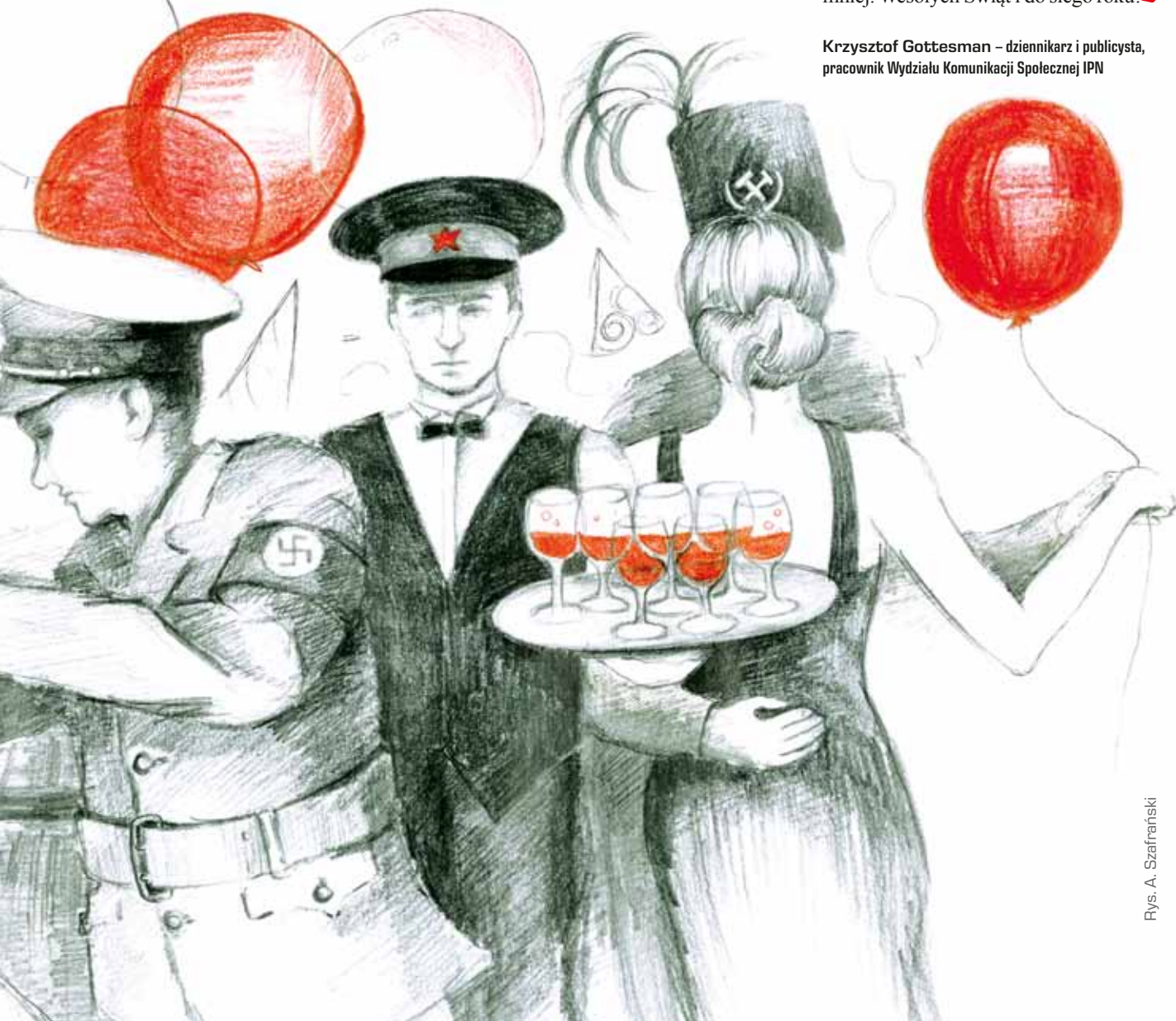
Jan Krzysztof Kelus napisał dawno

temu piosenkę o spotkaniu z młodymi Niemcami z NRF, zapatrzonymi w lewicowe ideały w sowieckim wydaniu. Bez oporów pałą papierosy Białomorka- nał. Nie słyszeli o kanale Białomorskim i śmierci setek tysięcy więźniów Gułagu. Śpiewa im więc:

*Powiedz, Willy, jako Niemiec,  
Chyba byś się zrzygał,  
Placąc za auschwitza z filtrem  
Markę i feniga.*

Nie przekonuje ich jednak. Tak samo trudno się spodziewać, że zniknie tania nostalgia za PRL. By nie tracić przedświątecznego nastroju, chcę się pocieszyć nadzieją, że ta nostalgia nie ma charakteru politycznego, lecz li tylko obyczajowy, porównywalny do popularności disco polo. Też boli, ale może trochę mniej. Wesolych Świąt i do siego roku! ■

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta,  
pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN



# KATYŃ W NIEMIECKIEJ PROPAGANDZIE

Radosław Morawski

11 kwietnia 1943 roku niemiecka agencja Transocean podała komunikat o odnalezieniu w lesie Kozie Góry koło Katynia zwłok 10 tys. polskich oficerów rozstrzelanych przez NKWD trzy lata wcześniej. Doniesienia z ekshumacji przeprowadzonych w Katyniu Niemcy postanowili wykorzystać do własnych celów, nie tylko na arenie międzynarodowej, lecz także na okupowanych ziemiach polskich. Sprawa katyńska przybrała na łamach polskojęzycznej prasy godzinowej rozmiary niespotykanej wcześniej akcji propagandowej, ale popartej w większości rzeczywistymi dowodami pochodzącymi z miejsca zbrodni.



**A**by móc propagandowo wykorzystać sprawę Katynia, należało przede wszystkim jednoznacznie ustalić datę zbrodni. To właśnie data – wiosna 1940 roku – wskazywałaby na sowieckie sprawstwo mordu, bo dopiero jesienią 1941 roku Katyń znalazł się pod okupacją niemiecką. Już w pierwszych doniesieniach prasa godzinowa wspominała więc o trzyletnim lesie, który porastał groby katyńskie. Nie było to jednak zbyt precyzyjne określenie. Jedna ze szwedzkich gazet ogłosiła, że drzewa można sadzić, gdy mają dwa lata, co nie wykluczałoby popełnienia zbrodni w kwietniu 1942 roku. Dokładniejszą informację podano później, przywołując zawartą w sprawozdaniu Międzynarodowej Komisji Lekarskiej relację eksperta ds. leśnictwa, von Herffa, który mówił o pięcioletnich drzewach zasadzonych trzy lata wcześniej.

Ostatecznie data mordu została określona na marzec – kwiecień 1940 roku na podstawie relacji świadków. Kolejarze widzieli, jak do Smoleńska (tak podawała prasa; zapewne chodziło o Gniezdowo) niemal codziennie przybywały pociągi, z których pod silną strażą NKWD wysadzano polskich oficerów, a następnie wywożono ich wieczorem w nieznanym kierunku. Okoliczni chłopcy widzieli cięża-

rówki z polskimi oficerami, zmierzające w nocy do lasu katyńskiego, ogrodzonego drutem kolczastym i strzeżonego przez NKWD. Stamtąd było słychać wielokrotnie strzały rewolwerowe. Zeznania świadków znajdowały potwierdzenie w materiałach znalezionych przy zwłokach, sowieckich gazetach, z których najpóźniej datowana pochodziła z 22 kwietnia 1940 roku, oraz pamiętnikach, m.in. notatniku mjr. Adama Solskiego, w którym pod datą 9 kwietnia 1940 roku opisał swoje ostatnie godziny przed egzekucją. Na wiosnę 1940 roku jako termin śmierci wskazywał także ogólny stan zwłok – w mózgach zaszły bowiem procesy świadczące o co najmniej trzyletnim przebywaniu w ziemi. Potwierdzały to także dowody pośrednie, np. zimowa odzież ofiar oraz brak śladów użądleń owadów. Mówiono także o ustaniu wszelkich kontaktów z jeńcami w omawianym okresie oraz bezskutecznym ich poszukiwaniu przez rząd emigracyjny.

O winie Sowietów miały także świadczyć poszlaki odwołujące się do kojarzenia faktów, część oficerów była bowiem przed śmiercią krępowana w taki sam sposób, jak odnalezieni również w Katyniu Rosjanie zamordowani i pochowani tam wcześniej.

Prasa godzinowa od początku zakładała, że w grobach katyńskich znajduje się

10–12 tys. jeńców, będących wcześniej w sowieckiej niewoli. Wyliczono to na podstawie danych rządu gen. Sikorskiego, który podawał, że w ZSRR odnaleziono tylko 3843 polskich oficerów. Listę ich nazwisk przekazał Stalinowi gen. Sikorski w czasie spotkania 3 grudnia 1941 roku. W prasie godzinowej podano dosyć dokładną liczbę jeńców przebywających wcześniej w Kozielsku – 4500, Starobielsku – 4520 i Ostaszkowie – 6570 (w tym 380 oficerów). Liczby te zostały przytoczone za deklaracją gen. Mariana Kukieła, który oświadczył, że polski rząd na emigracji nie mógł odnaleźć ok. 8300 oficerów, co mniej więcej odpowiadało liczbie więzionych w tych trzech obozach. Na poparcie założonej przez Niemców sumy ofiar w dziennikach wychodzących w Generalnym Gubernatorstwie publikowano niemal codziennie listy nazwisk oficerów, których tożsamość zdołano ustalić, mimo jednak intensywnych prac i zabiegów nigdy nie wydobyto nawet najniższej zakładanej liczby ciał, tj. 10 tys. Tym samym liczba pomordowanych nie została zamknięta i nie wycofano się z wcześniejszych szacunków, a ustalenia liczby zwłok odłożono na bliżej nieokreśloną przyszłość.

Od samego początku strona niemiecka, aby uwiarygodnić swoje doniesienia, starała się nakłonić Polaków do przeprowadzenia samodzielnej akcji ekshuma-



cyjnej w Katyniu. Już w wiadomościach z 15 kwietnia 1943 roku podano informację o delegacji polskiej, w której skład wchodził m.in. literaci Ferdynand Goettel i Emil Skiwski. Delegacją kierował Wilhelm Ohlenbusch, szef urzędu propagandy Generalnego Gubernatorstwa, a jej uczestnicy przebywali na miejscu zbrodni 10 i 11 kwietnia. W prasie gazdzinowej wizycie tej poświęcono wiele uwagi, podkreślając ogromne wrażenie, jakie na Polakach wywarły masowe groby. „Wśród pomordowanych członkowie delegacji znajdują niejednego ze swych znajomych” – pisano i dodawano, że przeraża ich skala popełnionej zbrodni. Zamieszczano relacje i wywiady z członkami komisji. Jeden z uczestników delegacji, Władysław Kawecki, był specjalnym wysłannikiem agencji prasowej „Telepress”. Stwierdził on w jednej z pierwszych relacji, że delegacja miała możliwość uczestniczenia w sekcji i rozpoznaniu zwłok wydobywanych z grobów katyńskich, oraz że potwierdza wcześniejsze doniesienia Niemców, dotyczące szczegółów mordu. Kawecki pisał też o „niezwykłej uprzejmości wojskowych władz niemieckich w Smoleńsku”, które miały zaoferować wszelką pomoc mającemu powstać polskiemu komitetowi, który w przyszłości miał się zająć sprawami ekshumacyjnymi i godnym pochówkiem. Ponadto w wywiadzie udzielonym agencji „Telepress”

Kawecki powiedział, że każdy z członków delegacji mógł uczestniczyć w ekshumacji dowolnie wybranych zwłok, a także swobodnie rozmawiać ze świadkami. Mówił też, że jeden z asystujących delegacji kapitanów armii niemieckiej, artysta rzeźbiarz, zaproponował bezinteresowne wykonanie projektu pomnika, który miałby stanąć w centralnym miejscu przyszłego cmentarza w Katyniu. Ponadto wspominał o krótkim przemówieniu Ferdynanda Goetla nad grobami i uczczeniu pomordowanych minutą ciszy. Natomiast Emil Skiwski, udzielwszy wywiadu, zdobył się na szerszy komentarz polityczny, w którym przestrzegł przed bolszewizmem i jego zapędami internacjonalistycznymi. Przekonywał też, że wrażenia z ekshumacji wykluczają wszelką demagogię w mówieniu o zbrodni. Wizyta delegacji polskiej spełniła więc swoje zadanie: potwierdziła wiarygodność doniesień Niemców przez rzeczowe sprawdzenie dowodów i przychylnie wypowiedzi na temat intencji okupanta.

W wyniku starań dotyczących stworzenia polskiego komitetu do prac ekshumacyjnych 14 kwietnia 1943 roku wyjechała do Katynia druga polska delegacja, złożona z działaczy Polskiego Czerwonego Krzyża z sekretarzem generalnym Kazimierzem Skarzyńskim na czele. Mieli się zapoznać ze stanem badań oraz stwierdzić, czy ofiary są naprawdę polskimi oficerami. Jak donosili korespondenci „Telepres-

su”, Komisja Techniczna (tak ją nazwano) PCK wzięła udział w Smoleńsku we mszy w intencji pomordowanych, następnie udała się na miejsce zbrodni, aby przyrzeć się pracom ekshumacyjnym, przesłuchiwała także rosyjskich świadków. W kolejnych dniach prasa gazdzinowa pisała o trudnościach w identyfikacji niektórych ofiar.

Po powrocie ze Smoleńska, 19 kwietnia 1943 roku, sekretarz Skarzyński przedstawił Zarządowi Głównemu PCK sprawozdanie o wynikach prac. Przyznał, że ofiary to polscy oficerowie zamordowani strzałem w kark wiosną 1940 roku, potwierdził też chęć współpracy ze strony Niemiec. 23 kwietnia 1943 roku Komisja Techniczna PCK zwróciła się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie z informacją w sprawie katyńskiej. Podano w niej wyniki polskiego dochodzenia tożsame z wcześniejszymi informacjami Skarzyńskiego. Informacja Komisji Technicznej była wynikiem kompromisu ze stroną niemiecką, która naciskała na PCK, aby wystąpił do MCK z prośbą o przysłanie do Katynia komisji lekarskiej. Zarząd Główny PCK stwierdził jednak, że nie jest uprawniony do stawiania takich wniosków, gdyż leży to w gestii rządów państw, ograniczył się więc tylko do sprawozdania. Nie trzeba dodawać ani tego, że ten dokument był bardzo na rękę autorom niemieckiej kampanii propagandowej, ani tego, z jaką dokładnością przytoczyła go prasa gazdzinowa. W tej sytuacji władze



GG zgodziły się na powołanie wspólnej komisji PCK i Rady Głównej Opiekuńczej, której ustalenia miały być podawane bezpośrednio opinii publicznej. W końcu maja komisja ta liczyła dziewięć osób, mieli oni do pomocy ok. dwudziestu robotników, dziennie badali średnio 120 zwłok, a następnie chowali je w nowych zbiorowych grobach.

„Goniec Krakowski” opublikował 30 maja 1943 roku wywiad z dr. Marianem Wodzińskim, który przedstawił wyniki prac komisji. Mówił o 3200 wydobytych zwłokach i o tym, że strzały zostały oddane z broni kal. 7,65 mm. W niektórych przypadkach strzelano z bliska, na co wskazywało osmalenie czaszki, stwierdzono też sporadycznie podwójny postrzał.

Tymczasem Wodziński we własnych wspomnieniach dotyczących pobytu w Katyniu podaje, że nie udzielał żadnego wywiadu, a redaktor Kawecki sfingował go – ponoć pod naciskiem Niemców – na podstawie sporządzonych odpisów z notatek Wodzińskiego. Wywiad ten po wojnie przysporzył Wodzińskiemu wielu kłopotów: podejrzewano go o kolaborację z Niemcami, wobec czego musiał się ukrywać, a w końcu wyjechać za granicę. Szczególnie zaszkodziło mu włożone w jego usta stwierdzenie, że współpraca z prof. Gerhardem Buhtzem, kierowni-

kiem prac ekshumacyjnych ze strony niemieckiej, układa się bardzo dobrze.

Po zawieszeniu prac ekshumacyjnych na początku czerwca 1943 roku wróciła do kraju Komisja Techniczna PCK, przywożąc ze sobą wszystkie znalezione dokumenty.

Po bezskutecznym staraniu się o przyjazd do Katynia komisji MCK, aby podnieść rangę ustaleń i przedstawić je całemu światu, do Katynia zaproszono grupę profesorów z dwunastu krajów sprzymierzonych z Niemcami bądź przez nich

okupowanych oraz z neutralnej Szwajcarii. Byli to rzeczoznawcy, głównie profesorzy medycyny sądowej, którzy przebywali w Katyniu od 28 do 30 kwietnia 1943 roku. Protokół, który zgodnie podpisali, potwierdzał wszelkie wcześniejsze ustalenia Niemców i Polaków co do winy Sowietów. Również i ta komisja mogła bez przeszkód badać wszystkie wydobyte do tej pory zwłoki, obejrzeć dokumenty oraz przesłuchać świadków. Eksperci dokonali obdukcji dziewięciorga zwłok, wykluczyli też wszelkiego rodzaju fałszerstwo ze strony III Rzeszy. Protokół stwierdzał, że oficerowie ubrani są w mundury, w których zostali zamordowani, i do wiosny 1943 roku nikt nie naruszył tych grobów. W umieszczonym w prasie gadzinowej komentarzu wprowadzającym w treść protokołu znalazło się następujące sformułowanie: „Wynik tych badań z pełną ścisłością i rzeczowością naukową potwierdza w całej rozciągłości haniebną zbrodnię katów żydo-komunistycznych”. Zdanie to miało wzmocnić propagandowy atut, jakim niewątpliwie dla Niemców była treść tego raportu.

Dodatkowo Niemcy organizowali wyjazdy na groby katyńskie wielu delegacji skupiających różne grupy społeczne, m.in. polskich jeńców – oficerów z terenu III Rzeszy. Jak sami później relacjonowali, nie dali się użyć do propagandy radiowo-

-prasowej, zgodzili się tylko na podanie wiadomości innym jeńcom.

Wizyty w lesie katyńskim osób pochodzących z państw neutralnych miały dla niemieckiej akcji propagandowej bardzo duże znaczenie, uwiarygodniały bowiem jej przekaz. Informowano więc o tym, że w Wielkim Tygodniu 1943 roku miejsce zbrodni odwiedzili przedstawiciele świata artystycznego, którym pozwolono wziąć udział w pracach ekshumacyjnych. W skład tej delegacji wchodził, oprócz przedstawicieli Włoch, Holandii, Belgii, Finlandii i Protektoratu Czech i Moraw, także poeta z Hiszpanii, który wygłosił przemówienie potępiające zbrodnię bolszewicką. O tym, kto ma odwiedzać groby, zdecydowali – jeszcze na długo przed ujawnieniem odkrycia – minister propagandy Rzeszy Joseph Goebbels i Adolf Hitler.

Niemcom zależało również na propagandowym sukcesie wśród Polaków. Podkreślano więc, że pierwsi o Katyniu dowiedzieli się robotnicy polscy z Organizacji Todta, którzy przybyli w te rejony wraz z jednym z niemieckich oddziałów. Po rozmowie z miejscową ludnością dowiedzieli się, że w lesie Kozie Góry leżą pomordowani oficerowie polscy. Po odkopaniu kilkorga zwłok potwierdzili te doniesienia, następnie postawili na mogile brzozywy krzyż, który pomógł natrafić na groby Niemcom. Donoszono także, że Katyń przed rewolucją w 1917 roku należał do Polaka Aleksandra Lednickiego. Miało to świadczyć o czysto polskim charakterze sprawy. Ponadto niemieckie władze wojskowe pomogły zorganizować pogrzeb gen. Mieczysława Smorawińskiego, na który sprowadzono z Lublina brata zamordowanego. Ułatwiły też wizytę delegacji polskich robotników, która przybyła na miejsce zbrodni 20 maja. Składała się ona z sześciu pracowników zakładów przemysłowych GG. „Goniec Krakowski” podał, że na miejscu zbrodni wyrazili pogardę dla katów bolszewickich i stwierdzili, że wśród polskiego świata pracy nie ma już entuzjastów komunizmu, a ideologia ta nie przetrwa. Następnie w towarzystwie red. Józefa Mackiewicza, który dołączył

do nich wcześniej, złożyli skromny wieńiec z napisem na szarfie: „Pomordowanym przez bolszewików oficerom Armii Polskiej – Rodacy”. W tym samym numerze „Gońca” mowa jest także o wizycie w lesie katyńskim w końcu kwietnia 1943 roku byłego premiera II Rzeczypospolitej, prof. Leona Kozłowskiego, który sam uciekł z niewoli sowieckiej i słyszał tam o zbrodniach bolszewickich. Niemcy próbowali zrobić z Katyńskimi narodowe sanktuarium. W końcu mają donosili o pielgrzymce do oficerskich mogił Polaków ze Smoleńska, którzy złożyli kwiaty na grobach ofiar. Ostatnia informacja o wizycie na grobach katyńskich pochodzi z lipca i mówi o pobycie tam francuskiego sekretarza stanu Fernanda de Brinona, który określił zbrodnię jako „naukową organizację barbarzyństwa sowieckiego”.

Podczas zwiedzania lasu katyńskiego pilnowano, aby uczestnicy wycieczek nie dowiedzieli się, że w grobach została odnaleziona niemiecka amunicja. Wzięła się tam stąd, że była importowana w latach trzydziestych w dużych ilościach z Niemiec do ZSRR, jednak nawet taka informacja zaszkodziłaby niemieckiej propagandzie.

Niemcy czynili także starania, aby stworzyć losy pomordowanych oficerów polskich. Ich drogę do dołów śmierci starano się zrekonstruować na podstawie dokumentów znalezionych przy ofiarach – a więc m.in. pamiętników i listów –

oraz zeznań świadków. Wśród dokumentów najcenniejsze były notatniki. Wspomniany już jeden z nich, należący do mjr. Solskiego, prowadzony był niemal do ostatnich chwil przed śmiercią. Autor wspominał o złym traktowaniu przez bolszewików jeńców i o odbieraniu oficerom pasów, zegarków i pieniędzy. Przy zwłokach generalnie nie znaleziono zegarków i kosztowności, co – zdaniem Niemców – miało wskazywać pośrednio na Sowietów jako sprawców zbrodni, choć według informacji PCK nie stwierdzono rabunkowego charakteru mordu. W innych odkopanych dziennikach znalazły się informacje z okresu pobytu w obozach: oficerowie pisali o złym traktowaniu przez władze obozowe, licznych chorobach przewodu pokarmowego i zgonach z tego powodu. Wiadomości uzyskane z pamiętników niejednokrotnie były wykorzystywane w celach propagandowych. Informacja o grupie ok. czterdziestu Polek rzekomo przebywających w Kozielsku z dziećmi, uzyskana z notatnika jednego z poruczników zamordowanych w Katyniu, miała wykazać, że bolszewicy więżą i mordują także bezbronne dzieci. Prasa gadzinowa nie omieszkała zacytować kilku listów znalezionych przy zwłokach, w których rodziny pomordowanych wyrażają niepokój o losy swoich bliskich. Przy niektórych ciałach znaleziono też zaświadczenia z innych obozów, np. listę osób przebywających w Bołotnie

koło Czernihowa. Stwierdzono więc na tej podstawie, że istniały także inne obozy, a Kozielsk był obozem likwidacyjnym. Próbowano także szukać w grobach dowodów na to, że pochowani tu są również jeńcy ze Starobielska – miały o tym świadczyć znalezione listy adresowane do obozu

starobielskiego. Informacja ta nie uzyskała jednak potwierdzenia, więc zaniedbano pójścia jej tropem. Wiele wydobytych rzeczy wskazywało tylko na obóz w Kozielsku, oprócz pamiętników i listów odnajdywano także cygarniczki z napisem „Kozielsk” oraz pieczętki władz tego obozu na różnych dokumentach. Podczas analizy wydobytych dokumentów zdarzyło się Niemcom kilka potknięć. Na przykład bez sprawdzenia informacji podali, że w Katyniu znaleźli wielką liczbę zwłok oficerów należących do tradycyjnego pułku „Piłsudski”. Wynikało to zapewne ze złego odczytania odznaki na ramieniu jednej ofiar: inicjały „S. P.”, oznaczające Szkołę Podchorążych, zostały odczytane jako „J. P.”, co oznaczać miało przynależność do 1. Pułku Szwolężerów Józefa Piłsudskiego.

3 czerwca 1943 roku, w związku z nadejściem pory letniej, groby zostały zasypane, a zwłoki złożone w nowych mogiłach. 25 września Katyń został zajęty przez Sowietów.

Wszystkie opisane wyżej relacje z miejsca zbrodni miały bardzo cenny wymiar informacyjny, wiele z nich zostało potwierdzonych niepodważalnymi dowodami. Należy jednak pamiętać, że o ich doborze stanowiły cele niemieckiej propagandy, która niejednokrotnie naginała niektóre fakty do własnych potrzeb. Mimo to relacje z miejsca mordu były podawane bardzo sprawnie, często szybciej niż w prasie konspiracyjnej, która po raz pierwszy zachowała w tak ważnej sprawie milczenie. Uznała bowiem, że informacje niemieckie dotyczące ekshumacji są wystarczająco obfite i szczegółowe, a ponadto wiarygodne, bo podane z pierwszej ręki, potwierdzone przez komisje złożone z Polaków i przedstawicieli państw neutralnych. Nie był to jedyny powód milczenia, sprawa katyńska mogła bowiem zagrażać sojuszowi państw zachodnich z ZSRR, więc wszelki komentarz musiał być odpowiednio przemyślany. ■

Radosław Morawski – historyk i archiwista, pracownik Sekcji Opracowywania Dokumentacji Audiowizualnej Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN



Po wprowadzeniu stanu wojennego decyzję o internowaniu otrzymało blisko 10 tys. osób w całym kraju. Był to jeden z najszerzej stosowanych rodzajów represji po 13 grudnia 1981 roku.

**D**ecyzję o internowaniu konkretnej osoby podejmowała odpowiednia komórka Służby Bezpieczeństwa, a sygnował ją komendant wojewódzki Milicji Obywatelskiej.

W myśl rozporządzenia Rady Ministrów z 12 grudnia 1981 roku dotyczącego zasad postępowania w sprawach o internowanie obywateli polskich, decyzja ta powinna zawierać m.in.: 1) oznaczenie organu, który ją wydał, 2) datę i miejsce wydania, 3) dane określające tożsamość „adresata decyzji”, 4) podstawę prawną jej wydania, 5) pouczenie o przysługującym prawie do złożenia skargi, 6) podpis osoby wydającej decyzję. Przyjęto, że podejmuje ją komendant wojewódzki MO, „na którego terenie działania przebywa albo przed ukryciem się przebywała” osoba przeznaczona do internowania.

Internowany powinien otrzymać decyzję o internowaniu w momencie zatrzymania przez funkcjonariuszy. Zdarzało się jednak, że wręczano ją dopiero po kilku tygodniach od pozbawienia wolności.

Formalnie przysługiwało internowanemu odwołanie do ministra spraw wewnętrznych, „za pośrednictwem organu, który wydał decyzję o internowaniu”. Złożenie odwołania, na które internowany miał 7 dni od daty doręczenia mu decyzji, nie wstrzymywało oczywiście jej wykonania, a Czesław Kiszczyk (szef MSW) z reguły odwołania te odrzucał.

Decyzje zawierały najczęściej standardowe sformułowanie, że pozostawienie danej osoby na wolności „zagroziłoby bezpieczeństwu państwa i porządkowi publicznemu”. Niekiedy uzasadnienia tego „zagrożenia” brzmiały kuriozalnie. W przypadku Andrzeja Golika stwierdzano (12 grudnia), że „organizowałby nielegalne zbiegowiska”, a w odniesieniu do prokuratora Prokuratury Rejonowej w Olsztynie, Stefana Śnieżki, że „jest negatywnie ustosunkowany do ustroju i organów władzy PRL”.

Formalnie podstawą prawną decyzji o internowaniu był dekret o ochro-

nie bezpieczeństwa państwa i porządku publicznego w czasie obowiązywania stanu wojennego z 12 grudnia 1981 roku. Problem w tym, że dekret ten nie mógł zostać w tym dniu uchwalony przez Radę Państwa, gdyż jej członkowie zebrał się już po północy (około 1.00) 13 grudnia 1981 roku. Ponadto, aby wszedł on w życie, konieczne było opublikowanie go (podobnie jak zresztą wspomnianego wcześniej rozporządzenia RM) w Dzienniku Ustaw, którego rozsyłanie władze rozpoczęły 17 grudnia. Wcześniej rządowi legislatorzy nanosili poprawki (własne oraz zgłaszane przez poszczególnych ministrów – m.in. z dekretu o stanie wojennym usunięto dwa artykuły regulujące działalność Kościoła, pozwalające władzy na takie ingerencje jak w okresie stalinowskim) do „uchwalonego” przez Radę Państwa prawodawstwa stanu wojennego. Wspomniany Dziennik Ustaw antydatowano (na 14 grudnia) na osobiste polecenie Wojciecha Jaruzelskiego, premiera i I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wszelkie zatem represje za działania przed 17 grudnia 1981 roku (w tym internowania) odbywały się *de facto* bez jakiegokolwiek podstawy prawnej.

Pierwszej nocy stanu wojennego internowano blisko 3200 osób, a do jego zakończenia wydano 10 132 decyzje o internowaniu w stosunku do 9736 osób (396 decyzji dotyczyło osób internowanych ponownie – zdarzały się nawet przypadki trzykrotnego osadzenia w „ośrodkach odosobnienia”). W jednym z wewnętrzzesortowych dokumentów stwierdzono potem: „Internowania to po raz pierwszy zastosowana przez nas forma walki z przeciwnikiem, i to na tak masową skalę”. A trzeba podkreślić, że w pewnym momencie (początek listopada 1980 roku) przewidywano zastosowanie tej sankcji nawet wobec 160 tys. osób!

Wolności pozbawiono działaczy NSZZ „Solidarność (od szczebla krajowego, przez regionalny, aż po zakładowy) i doradców związku, osoby

zaangażowane w działalność innych niezależnych organizacji społeczno-politycznych (np. NSZZ Rolników Indywidualnych, Niezależnego Zrzeszenia Studentów, Konfederacji Polski Niepodległej, Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Ruchu Młodej Polski czy Klubów Inteligencji Katolickiej) oraz niektórych członków PZPR (popierających demokratyzację kraju i zaangażowanych w tzw. struktury poziome, popularnie nazywane „poziomkami”). Internowano też byłych przywódców partii i państwa, na czele z byłym I sekretarzem KC PZPR Edwardem Gierkiem, oraz kryminalistów.

Chociaż stan wojenny został formalnie wprowadzony 13 grudnia 1981 roku, to operacja internowania działaczy opozycji (kryptonim „Jodła”) rozpoczęła się już 12 grudnia 1981 roku około 23.00. Przez kilka kolejnych dni prowadzili ją specjalnie w tym celu wytypowani funkcjonariusze MO oraz SB, tworzący kilkusobowe grupy, wyposażeni w broń, pałki i łomy do otwierania mieszkań. Zdarzało się, że ekipa wychodząca z jednym z małżonków mijając się na schodach z funkcjonariuszami zmierzającymi po drugiego. W przypadku aresztowania obojga rodziców niekiedy stosowano (wbrew przyjętym 12 grudnia 1981 roku regulacjom) dodatkową szykanę, polegającą na poinformowaniu o umieszczeniu dzieci (dziecka) nie u najbliższej rodziny czy sąsiadów, lecz w milicyjnej izbie dziecka (w niektórych przypadkach dziecko rzeczywiście trafiało do takiej placówki, w innych – podawano fałszywą informację).

Ostatnie ośrodki odosobnienia (popularnie zwane internatami) zlikwidowano pod koniec grudnia 1982 roku. Nie oznaczało to bynajmniej, że wówczas wszyscy internowani odzyskali wolność, gdyż w przypadku 424 osób uchylenie decyzji o internowaniu miało miejsce ze względu na ich tymczasowe aresztowanie. ❀

dr Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik BEP IPN, zajmuje się m.in. badaniem dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej



Współpracownik Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWa, członek Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”, członek NSZZ „Solidarność”, kierownik organizacyjny Komisji Informacji i Środków Przekazu NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze; w grudniu 1981 roku internowany, w trakcie pobytu w odosobnieniu hospitalizowany – zbiegł ze szpitala we wrześniu 1982 roku.

Nieistniejący akt prawny; druki decyzji o internowaniu przygotowano wcześniej, kiedy szykowany dekret miał mieć inny tytuł; podstawę prawną internowania zawierał natomiast artykuł 42 (antydatowanego) dekretu o stanie wojennym z dnia 12 grudnia 1981 roku; paragraf 1 tego artykułu dotyczący obywateli PRL brzmiał: „Obywatele polscy mający ukończone lat 17, w stosunku do których ze względu na dotychczasowe zachowanie się zachodzi podejrzenie, że pozostając na wolności, nie będą przestrzegać porządku prawnego albo prowadzić będą działalność zagrażającą interesom bezpieczeństwa lub obronności państwa, mogą być internowani na czas obowiązywania stanu wojennego w ośrodkach odosobnienia. Postanowienia te nie naruszają immunitetów wynikających z przepisów szczególnych”

W listopadzie 1981 roku Bieliński w wyniku konfliktu z frakcją tzw. prawdziwych Polaków (wrogo nastawioną do osób związanych z KOR w Regionie Mazowsze), odszedł ze stanowiska w związku

Dokładny adres zanonimizowany przez redakcję Pamięci.pl

Zapewne chodzi o jego działalność opozycyjną przed powstaniem NSZZ „Solidarność”, zwłaszcza w NOWej; z dużą dozą prawdopodobieństwa można założyć, że decyzja o internowaniu Bielińskiego została przygotowana jeszcze przed formalnym wprowadzeniem stanu wojennego

IPN BL 448/27

KOMENDA STOŁECZNA  
MILICJI OBYWATELSKIEJ  
00-880 w Warszawie

32 L. dz. ....

DECYZJA NR 19/B/81  
o internowaniu

Uznając, że pozostawanie na wolności obywatela  
nazwisko i imię BIELIŃSKI Konrad  
imiona rodziców Zygmunt Sabba  
data i miejsce urodzenia 24.08.1949 r. Warszawa  
zawód (zajęcie) i miejsce pracy matematyk - nie pracuje  
miejsce zamieszkania Warszawa ul. Joteyki 22

zagrażałoby bezpieczeństwu Państwa i porządkowi publicznemu przez to, że  
Prowadzi działalność sprzeczną z obowiązującymi przepisami  
prawa

na zasadzie art. 442 dekretu z dnia 12.12.81. o ochronie bezpieczeństwa  
Państwa i porządku publicznego w czasie obowiązywania stanu wojennego.

postanawia się:

1. internować ob. BIELIŃSKI Konrad  
i umieścić go w ośrodku odosobnienia w Areszt Śledczy Warszawa - Białołęka  
2. wykonanie decyzji zlecić Grupie Śledczej KSMO

pieczęć okrągła

KOMENDANT WOJEWÓDZKI MO

Warszawa, dnia 12.12.1981 r.

Literówka; powinno być: Bieliński

Położony przy ul. Ciupagi 1 na warszawskiej Białołęce jest obecnie największym aresztem w Europie (nominalna pojemność 1385 miejsc); po ogłoszeniu stanu wojennego był (wraz z usytuowanym w tym samym miejscu zakładem karnym) jednym z największych ośrodków internowania w kraju

Internowania powierzano kilkuosobowym grupom funkcjonariuszy, w przypadku osób zamieszkałych w Warszawie i województwie stołecznym – Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej

W tym przypadku powinno być: komendant stołeczny MO; w latach 1976–1983 funkcję tę pełnił Jerzy Cwiek

# Pierwszy Grudzień

Po Grudniu '70 komuniści zrozumieli, że bunt robotniczy może dokonać zmian na najwyższych szczeblach władzy – mówi **prof. Jerzy Eisler** w rozmowie z Andrzejem Brzozowskim i Janem Olaszkciem

**Książka *Grudzień 1970* to podstawowa monografia dotycząca tego tematu. Niemalże rok temu ukazało jej drugie wydanie – uzupełnione i poprawione. Co w ciągu tych ponad 10 lat od pierwszego wydania trzeba było poprawić, a co uzupełnić?**

Poprawić – tylko drobne błędy, nieścisłości i literówki. Natomiast uzupełnić udało się bardzo dużo. Po pierwsze, wiedza na temat Grudnia '70 w Szczecinie, głównie za sprawą Michała Paziewskiego, Eryka Krasuckiego i kolegów ze szczecińskiego oddziału IPN, wzrosła skokowo. O ile wcześniej skupiano się na Gdańsku i Gdyni, o tyle teraz Szczecin należy uznać za najsolidniej udokumentowany. Po drugie, mamy lepszy dostęp do materiałów wytworzonych przez aparat bezpieczeństwa, dziś przechowywanych w archiwach IPN. W roku 2000 korzystałem z Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Biura Ewidencji i Archiwum Urzędu Ochrony Państwa. Tak jak w ZSRR: mogłem skorzystać tylko z tego, co mi przyniesiono w konkretnej teczce. Miałem szczęście, że w Archiwum MSWiA pracował wówczas Grzegorz Majchrzak (wtedy jeszcze się nie znaliśmy), który potraktował mnie nader życzliwie, choć – z tego co wiem – pojawiały się tam głosy, aby realizować moje zamówienia bardzo literalnie, to znaczy, że jeżeli zajmuję się Grudniem '70, to nie ma powodu, by udostępnić mi związane z tą tematyką materiały z wiosny roku 1971. Dzięki niemu otrzymałem więcej, niż niektórzy chcieliby mi udostępnić. Podobnie było z materiałami partyjnymi. Zdjęcia z pochodu pierwszomajowego w 1971 roku, przechowywane w Archiwum Państwowym w Gdańsku, są dziś powszechnie znane. Ale w lutym 2000 roku mogłem je tylko obejrzeć, ale już nie skopiować i zamieścić w książce, ponieważ nie minęło jeszcze 30 lat od momentu ich wykonania. Widziałem zresztą wtedy w inwentarzu w tymże archiwum opis te czki dotyczącej wizyty Jana Pawła II w Trójmieście, która miała pozostać niedostępna dla badaczy do roku 2017.

Następnym nowym i bardzo cennym źródłem są relacje lekarzy. W pierwszej dekadzie XXI wieku Akademia Medyczna w Gdańsku obchodziła jubileusz swego istnienia. W wydanej z tej okazji księdze lekarze wspominają swoją pracę m.in. w grudniu 1970 roku. Wartość tych relacji jest ogromna. Są dokładne, rzeczowe – nie: „było strasznie, strzelano”, tylko precyzyjny opis, językiem medycznym, często wstrząsający, np. lekarka zagląda człowiekowi przez usta i widzi treści zo-

**prof. dr hab. Jerzy Eisler**

(ur. 1952) – historyk, dyrektor Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie. Zajmuje się najnowszą historią

Polski i Francji.

Autor kilkunastu

książek,

m.in. *Grudzień 1970. Geneza – przebieg*

– *konsekwencje* (2000, 2012),

*Polski rok 1968* (2006), „*Polskie*

*miesiące*” *czyli kryzys(y) w PRL* (2008).



Fot. P. Życieński



łądkowe, kawałki płuc – jakim cudem? Po prostu przejechał po nim transporter opancerzony...

Od rosyjskiego historyka Wadima Wołobujewa otrzymałem materiały z archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych ZSRR. Pokazują one znakomitą orientację Moskwy w wydarzeniach w Polsce. Konsul generalny w Gdańsku od razu 14 grudnia „zatrudnił” wszystkich przebywających tu obywateli ZSRR do informowania i w rezultacie na bieżąco otrzymywał precyzyjne informacje, pozwalające na wiernie odtworzenie przebiegu wypadków. Ze wspomnień Piotra Kostikowa, szefa sektora polskiego w KC KPZR, wynika np., że 17 grudnia wczesnym popołudniem na Kremlu wiadano, że gen. Grzegorz Korczyński latał śmigłowcem nad Gdynią i strzelał do tłumu. Rzeczywiście latał i rzucał granaty łzawiące, choć jednak on sam nie strzelał.

► Pochód pierwszomajowy w Gdańsku, widoczny transparent z żądaniem ukarania winnych grudniowej tragedii; 1 maja 1971 roku



**Czytając relacje przytoczone w książce, można odnieść wrażenie, że wiarygodniejsze są informacje, które dostawali towarzysze radzieccy niż te, które dostawał Gomułka.**

Zdecydowanie tak. I to jest szokujące. Nie ulega wątpliwości, że Gomułce podsyłano – przynajmniej w pierwszych dwóch dniach – materiały zmanipulowane, skrajnie wystrzone, po prostu nieprawdziwe.

**Na przykład zawyżano liczbę zabitych milicjantów...**

Przede wszystkim w ogóle pojawiali się zabici w sytuacji, gdy 14 grudnia nie zginął nikt. Jeśli ofiar śmiertelnych nie ma – pierwsza śmierć zmienia sytuację – a tu się podaje: dwóch funkcjonariuszy MO, to znaczy, że ktoś świadomie dążył do wzburzenia Gomułki. I udało się stworzyć obraz kontrrewolucji: podpalają, rabują, zabijają funkcjonariuszy. Nie zbudowałbym jednak teorii, że cały Grudzień zorganizowali przeciwnicy Gomułki po to tylko, by go usunąć.

**Wiele przesłanek do tej teorii można jednak wskazać...**

Tak, i ja je przywołuję w książce, ale zarazem odrzucam jako mało wiarygodne. Podkreślam wyraźnie, że gdyby sytuacja polityczna, ekonomiczna, społeczna itd. w Polsce była wówczas dobra, to żadne prowokacje ani żadni prowokatorzy nie mieliby najmniejszych szans. To nie oni, ale dramatyczna sytuacja w kraju, pogłębiona jeszcze drastyczną podwyżką cen żywności, spowodowała, że tysiące ludzi zaprotestowało. Natomiast 14 grudnia, szczególnie gdy robotnicy wyszli po 11.00 ze stoczni na ulicę, rozpoczęła się w KC intensywina walka o władzę i wtedy faktycznie próbowano to jakoś

rozegrać politycznie. Prawie pięć godzin strajku na terenie zakładu, drugie tyle spokojnego chodzenia po ulicach Gdańska, bez rabunków, podpaleń czy demolowania. Chodzą, śpiewają pieśni: patriotyczne, rewolucyjne, religijne, skandują jakieś hasła...

**Manifestacja robotnicza jak z filmu propagandowego...?**

Tak! Tylko że bez zgody i wiedzy władz.

**A pojawia się plotka, że pierwsze strzały padły z tłumu manifestantów w stronę milicji?**

Antoni Dudek i Tomasz Marszałkowski uważali, że z broni, którą odebrano milicjantowi. Sądzę jednak inaczej: to, że strzały padły z tłumu, nie musi wcale oznaczać, że strzelali demonstranci.

**Czyli milicyjna prowokacja?**

Nie można jej wykluczyć. Trzech znanych z nazwiska funkcjonariuszy MO zostało rannych we wtorek 15 grudnia rano (przy czym jeden ciężko, w brzuch). Kiedy padają strzały, ranni padają na oczach kolegów – na ulicy tworzy się inna atmosfera.

**A jak reaguje Kreml? Zaledwie dwa lata wcześniej była przecież interwencja w Czechosłowacji?**

Gdyby Gomułki nie powstrzymano i wojna domowa rozlała się po całej Polsce, to nie byłyby ważne sytuacja międzynarodowa, układy z Amerykanami – Sowietom na pewno nie poprzestaliby na wezwaniach polskich towarzyszy do działania. To robili wcześniej: telefony, zapytania, do Gomułki przychodził ambasador ZSRR Awierkij Aristow, dzwonił Breżniew...

**Znamy treść tej rozmowy. Breżniew mitygował Gomułkę: „Towarzyszu, może za ostro reagujecie...?”, a Gomułka wręcz strofował Breżniewa, krzycząc, że tu trzeba dławić kontrrewolucję i przywoływał Lenina, który krwawo rozprawił się z kontrrewolucjonistami w Kronsztadzie.**

Bo Breżniewowi ciągle tkwiła ością w gardle Czechosłowacja, za którą ZSRR zapłacił słony rachunek na forum międzynarodowym i wewnętrznym, gospodarczym. Była to cena tak wysoka, że premier Aleksiej Kosygin powiedział wtedy, że nie można co dwa lata robić takich rzeczy. Poza tym to nie tylko PRL zabiegała o dobre relacje z ZSRR – towarzyszom radzieckim także zależało na współpracy z Polską.

**Zostawmy na razie forum międzynarodowe, przejdźmy do przyczyn tego wystąpienia. Bezpośrednim impulsem była podwyżka cen, tzw. operacja cenowa.**

Dzisiaj cytowanie Karola Marksa nie jest *trendy*, ale istotny jest tu jeden cytat: „byt kształtuje świadomość”. Ludzie mogą wiele ścierpieć w sferze braku wolności, ale to aspekt ekonomiczny porывa ich do gwałtownych zachowań. Po prostu bez ➤



jedzenia nie da się przeżyć. Wówczas ceny i płace w zasadzie były stałe i ustalane centralnie. Jeżeli przy stałych płacach podnosimy ceny o kilkanaście–kilkadziesiąt procent, to jest dramat. W 1970 roku w Polsce ciągle była bieda, widoczne były skutki II wojny światowej. W zdecydowanej większości domów nie było kanalizacji, centralnego ogrzewania, a czasem nawet prądu. Ostatnie wsie zelektryfikowano w Polsce w 1979 roku. Dlatego te koszmarnie hotele robotnicze dla młodych chłopców ze wsi były często ogromnym awansem cywilizacyjnym.

### **Czyli Grudzień '70 miał przede wszystkim podłoże ekonomiczne?**

Tak. Nie wiem, czy gdyby poziom życia był lepszy, choćby jak „za Gierka” – to doszłoby do protestów. Był oczywiście brak wolności, ucisk, pogarda dla „robotli”, którzy mają milczeć i tyrać, ze strony kierowników, nawet majstrów po zawodowce – to był drugi czynnik. I dopiero gdzieś na dalszym planie były np. problemy związane z religią – bo człowiek wierzący zwykle miał zamkniętą drogę awansu. A co do samej podwyżki cen, to czarę goryczy przelało to, że ogłoszono ją niespełna dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia, kiedy to w Polsce tradycyjnie zawsze kupowano więcej lepszej gatunkowo, a przez to i droższej żywności. Długo szukałem odpowiedzi na pytanie, kto zaproponował tak niefortunny moment ogłoszenia podwyżki cen. Dopiero po opublikowaniu drugiego wydania monografii Grudnia natrafiłem na wypowiedź Gomułki, który stwierdził, że była to propozycja premiera Józefa Cyrankiewicza.

### **Nie można było wymyślić lepszego terminu? Święta to szczególnie czas także pod względem zakupów.**

Dwa tygodnie wcześniej też nie można było – bo Barbórka, która dla komunistów była ważniejsza niż Boże Narodzenie. 7 grudnia kanclerz RFN Willy Brandt przyjechał podpisać układ z PRL, więc też nie był to dobry moment. Stąd niedziela 13 grudnia.

### **Podwyżki cen żywności dotyczyły wszystkich, a ugruntował się stereotyp, że Grudzień '70 był buntem robotników w odróżnieniu od 1968 roku, gdy z kolei buntowała się inteligencja, studenci.**

W obu wypadkach był to bunt tej samej grupy wiekowej. Nie dawajmy się ciągle wkręcać w marksizm i nie patrzmy w kryteriach klasowych. To był bunt generacyjny. W obu wypadkach protestowało pierwsze pokolenie urodzone i wychowane w Polsce Ludowej. Ci ludzie nie znali innej Polski niż ta rządzona przez komunistów. Nazywam ich ptaszkami urodzonymi w klatce. Ta klatka była dla nich naturalna. Nawet jeśli się nie podobała, to dawało się w niej żyć. Starsze pokolenie, po okupacji, wojnie i stalinizmie, najczęściej miało przetrącony kręgosłup. To charakterystyczne, że w Solidarności najaktywniejsze było pokolenie wnuków i dziadków. A w pokoleniu rodziców – tych, którzy wchodzili w dorosłe życie w 1944, 1945 roku i byli za młodzi na konspirację – wskaźnik aktywności był relatywnie najniższy. Przez trzy dekady dorosłego życia zdążyli się przyzwyczaić. Natomiast ci urodzeni po wojnie wchodzili w dorosłość pod koniec lat sześćdziesiątych i mieli świadomość, że to nie jest normalna sytuacja – ale inaczej nie będzie. Tymczasem naraz okazało się, że w tej klatce jest gorzej niż dotychczas, bo nawet pensja nie wystarcza na jedzenie.

### **A dlaczego buntowano się przede wszystkim na Wybrzeżu?**

Można przypisać to większemu otwarciu, które cechuje miasta portowe. Tam przyplływają statki zagraniczne, marynarze z Zachodu. Oczywiście największy kontakt z nimi mają tak-sówkarze, prostytutki, waluciarze... to nie jest kontakt całego społeczeństwa, ale jednak. Po drugie, tam mieszkali też polscy marynarze, którzy byli za granicą i przywozili stamtąd towary i wiedzę o świecie zewnętrznym. Pamiętajmy, że mówimy o państwie zamkniętym, z którego było trudno wyjechać, w którym obowiązywała cenzura. W miastach portowych



była nadreprezentacja ludzi, którzy świat zachodni widzieli. W filmie *Czarny czwartek. Janek Wiśniewski padł* jest scena, w której marynarz przywozi z rejsu puszkę heinekena i długopis z „rozbierającą się” dziewczyną – sensacja! Gdyby dziś młodemu człowiekowi powiedzieć, że wtedy puszki po piwie (rzecz zupełnie wyjątkową w PRL) zbierali nie – jak dzisiaj – bezdomni na złom, ale młodzi kolekcjonerzy, którzy ustawiali je później na półkach w domu, toby się mocno zdziwił.

**Władze PRL podwyżkę wprowadziły jak operację wojсковą: cenniki dostarczano w tajemnicy, żeby obywatele nie wykupili towarów, ale jednocześnie władze spodziewały się starcia. Zanim jeszcze doszło do demonstracji, w MSW opracowano ruchy wojsk: czołgów, wojsk rakietowych, nawet obrony przeciwlotniczej, a w czasie manifestacji poderwano myśliwce – jakby rozpoczynała się wojna.**

Jednym z elementów realnego socjalizmu było kompletne niezrozumienie sensu dialogu, kompromisu. A skoro nie było dialogu, to jedynymi kryteriami były „kryteria uliczne”. Strajk w fabryce nie był zbyt groźny dla systemu – niechby trwał i pół roku! Przeszedłby niezauważony. Gomułka dowiedział się, że coś się dzieje nie o 7.00, tylko dopiero tuż przed wyjściem stoczniowców na ulice, prawie cztery godziny później. Strajków „za Gomułki” było niemało, ale wyjście na ulice – to była nowa jakość. Dopiero później zdałem sobie sprawę z godziny ataku milicji na manifestantów. O 15.55 w grudniu w Polsce jest już ciemno. To nie był raczej przypadek, chodziło o to, żeby ukryć działanie milicji, a także, żeby spotęgować strach. Słychać strzały, wybuchy, ale nie wiadomo, co się dzieje. To zresztą było także jedną z przyczyn tragedii 17 grudnia w Gdyni. Ludzie wysiadający na peronie nie za bardzo te czołgi i blokadę mogli zobaczyć.

**Czarny czwartek jest symbolem tragedii grudniowej. Ale czy akurat wtedy nie był to splot różnych czynników, a nie wyłącznie rezultat brutalności wojska?**

Tak, dlatego świadomie używam słowa „masakra” wyłącznie w odniesieniu do Gdyni. Ponieważ według mnie w Gdańsku, Szczecinie, Elblągu mieliśmy do czynienia z walkami ulicznymi – oczywiście z dysproporcją sił: po jednej stronie były kamienie i butelki z benzyną, a po drugiej czołgi i gazy łzawiące. W Gdyni nie było rabowania ani niszczenia, mało tego – ostrzelano nie demonstrację, tylko ludzi idących do pracy, nieuzbrojonych w żadne łomy, butelki z benzyną. Stanisław Kociołek, ówczesny wicepremier powiedział mi, że się zdziwił, że ta blokada była prawie kilometr od Stoczni im. Komuny Paryskiej – bo zamknięto drogę nie tylko stoczniowcom, lecz także pracownikom innych instytucji i zakładów. I tych ludzi na dworcu było coraz więcej.

**W takiej sytuacji trzeba zadać pytanie, kto w Grudniu '70 kazał lub pozwolił strzelać.**

Oczywiście rozkaz żołnierzom na stacji wydał dowodzący akcją oficer. Natomiast od samego początku były dwie koncepcje roz-

Fot.: PAP/Stanisław Czarnogórski



► To ich sprzeczne decyzje doprowadziły do masakry: Zenon Kliszko (z lewej) i Stanisław Kociołek

wiązania kryzysu. Pierwsza – Zenon Kliszki, który zachowywał się nie jak polityk, lecz jak dowódca wojskowy: chciał więcej wojska, więcej strzelania – jego wypowiedzi o burzeniu stoczni, którą można zbudować od nowa, o tym, że nie ma znaczenia, czy zginie 200 czy 300 robotników, budzą grozę. Do gen. Stanisława Antosa, szefa Sztabu Pomorskiego Okręgu Wojskowego, krzyczał: Pacyfikować Gdańsk! Gdy gen. Antos tłumaczył, że nie wie, jak to się robi, Kliszko odpowiedział mu, że tak jak w Powstaniu Warszawskim: dom po domu, ulicę po ulicy. Coś takiego mówił powstaniec z Armii Ludowej, Zenon Kliszko. Z kolei inny członek Biura Politycznego, Stanisław Kociołek, wicepremier, a wcześniej I sekretarz KW w Gdańsku, miał koncepcję polityczną. Możemy się dziś z tego śmiać, bo na Wybrzeżu trwały demonstracje, były barykady, trupy, płonęły budynki, a on chciał kolejnych narad, przygotowywał odezwy i tłumaczył, że towarzysze mają iść do załóg, rozmawiać... można się zżywać, że była to koncepcja oderwana od rzeczywistości, ale od przemówień i narad jeszcze nikt nie zginął. Kliszko zaś ogłosił lokaut: zamknięcie stoczni i ponowne zatrudnianie wszystkich, a następnie w środę 16 grudnia wyjechał do Warszawy na naradę do Gomułki. Kilka godzin później Kociołek, wierny swej koncepcji, uznał, że pierwszym krokiem do stabilizacji będzie powrót do pracy. W lokalnej telewizji wezwał do powrotu do pracy następnego dnia, w czwartek 17 grudnia. Te decyzje były ewidentnie sprzeczne i musiały skończyć się tragedią.

**Strzelanie miało być chyba na postrach, ale rezultat był tragiczny.**

Wydaje się, że płk Władysław Łomot – dowódca tej blokady – po tym, jak na jego rozkaz padły strzały, przeżył silny wstrząs, a nawet stracił przejściowo mowę, kiedy zobaczył, co się dzieje. Odebrano mu w tej sytuacji dowodzenie. Nie ma oczywiście przekazów, kto strzelał w powietrze, kto w tłum, a kto w ziemię. Ale nawet salwa w bruk nie była żadnym strzelaniem na postrach, spowodowała ofiary, nawet może większe, niż gdyby oddano salwę na wprost. Rykoszety odbite od kocich łbów ►

latały we wszystkich kierunkach. Wybuchła panika, pamiętajmy, że jest szósta rano, widno będzie dopiero za półtorej godziny, nic nie widać, słychać strzały, krzyki, skandowanie: „mordercy, mordercy!”.

**Była to niewątpliwie masakra, ale to wydarzenie wydaje się jednak czymś innym niż działania ZOMO na ulicach.**

Tu jest fundamentalna różnica. Często używano eufemizmu „siły porządkowe”, który łączył wojsko i milicję. I potem była manipulacja: najpierw, że to strzelała tylko milicja, a wojsko nie – nawet w *Balladzie o Janku Wiśniewskim* jest tylko część „niebieska”, a „zielonej” nie ma. Po zmianie stroju zaczęło się zjawisko odwrotne. W procesie o sprawstwo kierownicze, z wyjątkiem wicepremiera Kociołka, nie było nikogo spoza kręgów wojskowych. Różnica polega na tym, że wojsko zawsze strzelało na rozkaz, salwami, w kilkunastu udokumentowanych miejscach na Wybrzeżu. I należy mu przypisać zdecydowaną większość ofiar śmiertelnych. Natomiast wszystkie pojedyncze strzały gdzieś na ulicy padały zawsze ze strony MO bądź SB. W MSW przyjęto bowiem zasadę, że każdy funkcjonariusz – a byli to ludzie często niewykształceni, czasem wręcz prymitywni, agresywni – sam decyduje o użyciu broni i to – dodajmy – w skrajnym napięciu nerwowym. Skutkiem były liczne postrzelenia zwykłych, często przypadkowych ludzi na ulicy.

**Obraz tej grozy jest potęgowany licznymi opisami brutalnego traktowania obywateli przez milicjantów. Ludzi wciągano do samochodów i wywożono do komisariatów, gdzie rozgrywały się sceny jak za najgorszych lat stalinizmu.**

To powtarza się w różnych polskich miastach: zmęczony, czasem sponiewierany oficer przesłuchujący, z którego wręcz wylewają się agresja i nienawiść, który nie ogranicza się tylko do wyzwisk wobec zatrzymanego, ale bije, kopie, znęca się.

► Symbol Grudnia 1970 roku: niesione na drzwiach zwłoki Zbigniewa Godlewskiego, zastrzelonego przez wojsko 17 grudnia



To, co urządzono 17 grudnia 1970 roku w Gdyni – napisałem to w książce po długich namysłach i wciąż podtrzymuję – jest porównywalne z katowniami gestapo, NKWD czy UB. To były sadystyczne zabawy polegające np. na zadawaniu tyłu uderzeń, ile jest liter w nazwisku aresztanta, ciosy ręką w skórzanej rękawicy z mosiężną tuleją w dłoni, brutalne ścinanie włosów nożem, właściwie bliższe skalpowaniu. Stałym elementem był leżący na wierzchu pistolet – mówiono o przypadkach zastrzelenia podczas takich „przesłuchań”, okazało się jednak, że to tylko plotki. Towarzyszyły temu groźby, obietnice wyrzucenia z uczelni, z pracy – wtedy taki „wilczy bilet” oznaczał, że człowiek nie skończy żadnych studiów, dopóki władza się nie ulituje. Utrata pracy oznaczała brak możliwości powrotu do zawodu.

**Najbardziej uderzające w filmie *Czarny czwartek* było późniejsze postępowanie władz ze zmarłymi i ich rodzinami.**

Na szczęście pogłoski o zbiorowych mogiłach – kojarzących się z Katyniem – okazały się nieprawdą. Natomiast prawdą były pokazane w filmie pogrzeby odbywające się po 22.00 czy 23.00, w których mogło uczestniczyć tylko pięć, sześć osób z najbliższej rodziny. To np. oznaczało dla będącej w ciąży narzeczonej jedynej elbląskiej ofiary, Tadeusza Mariana Sawicza, z którą miał się za tydzień ożenić, że nie będzie mogła uczestniczyć w pogrzebie. Na dodatek został on zabity jako przypadkowa osoba – zastrzelili go milicjanci z przejeżdżającej nysy, gdy wychodził z baru mlecznego.

**Takich historii o ludziach zastrzelonych nawet nie tyle przypadkowo, ile bez powodu, jest w Grudniu '70 dużo, np. szesnastoletnia dziewczyna zabita we własnym mieszkaniu, bo ktoś puścił serię w okna...**

Część milicjantów i żołnierzy dała upust najniższym instynktom. Nie były to działania w ferworze wydarzeń, tylko metodycznie, na chłodno – rozkładanie na stole i trzydzieści, czterdzieści pał... Albo po prostu dla zabawy.

**Musiało być na to przyzwolenie z góry...?**

Formalnie – w postaci jakichś rozkazów czy zaleceń – zapewne nie było, ale milcząca akceptacja na pewno była.

**Tych kilka grudniowych dni miało swoje rezultaty. Najwyraźniejszym jest zmiana ekipy rządzącej.**

Nawet gdyby przyjąć, że do zmiany doprowadziły działania niektórych członków kierownictwa, to gdyby działali oni w normalnej sytuacji, bez tego, co rozgrywało się na ulicach, to oni by odpadli, a nie Gomułka, który miał wówczas silną pozycję.

**Budzimy się więc po Grudniu, mamy nową ekipę Edwarda Gierka...**

...sekretarza KW PZPR w województwie katowickim, gdzie rzeczywiście był nieco inny model socjalizmu. O Gierku mó-



Fot. PAP/Janusz Uklejewski

► „Pomożecie?” - Edward Gierek podczas spotkania ze stoczniovcami na próżno próbował wzbudzić w nich entuzjazm dla swoich obietnic; 24 stycznia 1971 roku

wiono raczej dobrze – jako o gospodarzu Śląska i Zagłębia, że zna francuski, że był na Zachodzie, że Europejczyk. Jak na Węgrzech zobaczył np. basen ze sztucznymi falami, to taki sam zafundował w Chorzowie; oprócz tego w aglomeracji katowickiej już na początku lat sześćdziesiątych funkcjonował jeden wspólny bilet na transport publiczny dla kilku, kilkunastu miejscowości – tego rodzaju rzeczy robił u siebie Edward Gierek. Oczywiście złudzeń nie było, ale relatywnie szybko zyskał sympatię i zaufanie. Poza tym alternatywa była następująca: Gierek albo „marcowy” minister spraw wewnętrznych gen. Mieczysław Moczar. Ten ostatni, właśnie po doświadczeniach Marca ’68, był takim Czarnym Piotrusiem formacji komunistycznej.

### **Gierek przyjechał do robotników osobiście – wcześniej żaden I sekretarz tego nie zrobił.**

To w ogóle jedyny tego typu przypadek w historii świata, że przywódca rządzącej partii komunistycznej przychodzi na teren strajkującego zakładu.

### **Przyjeżdża i zadaje słynne pytanie.**

To jest jedna z największych mistyfikacji. I to jest ciekawe, że mijają lata, ukazują się kolejne książki świadków wydarzeń i jest dokładnie tak samo: Anna Walentynowicz i Lech Wałęsa na tym spotkaniu byli i oboje utrzymywali, że krzykali „Pomożemy!”. Były sekretarz KC, który towarzyszył Gierkowi w spotkaniach w Szczecinie i Gdańsku, Jerzy Waszczuk, niedawno napisał wspomnieniowy tekst, w którym także napisał, że na zapytanie I sekretarza padło chóralne: „Pomożemy!”. Czyli historycy mogą pisać, mówić, a i tak pamięta się co innego.

### **Przecież ta scena jest zarejestrowana.**

Na taśmie filmowej, magnetofonowej. Wyraźnie widać, jak Gierek mówi: „No, więc jak, towarzysze? Pomożecie?”,

a w odpowiedzi słychać mało entuzjastyczne, pojedyncze oklaski i niewyraźny pomruk z sali. Żadnego chóralnego „Pomożemy!” nie było.

### **Grudzień 1970 roku to jeden z tzw. polskich miesięcy, w czasie których nastąpiły wydarzenia ważne dla Polski. Jakie wnioski z tych kilku dni wyciągnęła na przyszłość władza?**

Komuniści zrozumieli, że bunt robotniczy może dokonać zmian na najwyższych szczeblach władzy. Od buntu w czerwcu 1956 roku do zmiany, momentu dojścia Gomułki do władzy, upłynęły prawie cztery miesiące, tutaj zmiana następuje w trakcie protestów – podobnie stało się w roku 1980. Jeżeli taka jest siła robotników, to trzeba robić wszystko, aby ich nie prowokować, a szczególnie zapewnić znośne warunki życia. Czyli wyciągnąć wnioski z marksizmu. Nie wolno gwałtownie podnosić cen. Druga lekcja: nie można dopuścić do użycia broni palnej. Kolejnego takiego buntu partia raczej nie przetrwa. I tego faktycznie przestrzegali w czerwcu 1976 roku. Broń, owszem, była – w skrzyniach zaplombowana na lotnisku radomskim. Przy sobie pistolety mieli jedynie oficerowie. Dwie ofiary śmiertelne w Radomiu były następstwem wypadku, a nie zastrzelenia.

Znacznie ważniejsze było to, czego się nauczyła druga strona. Po pierwsze: nie można wyjść poza teren zakładu pracy. Doświadczenia roku 1976 – Ursusa, Radomia, Płocka jeszcze to utrwaliły. Jak się wyjdzie na ulice, to traci się panowanie nad tłumem – pojawiają się chuligani i prowokatorzy. Rozmowy z przedstawicielami władz prowadzi się na terenie własnego zakładu pracy. Np. w Szczecinie negocjowano w prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Można powiedzieć, że to szczegól, ale jeżeli siedzimy przy stole, jest napięcie, nie wiadomo, jak będzie, a gospodarz nie daje szklanki wody przez osiem godzin, nic do jedzenia – ma to wpływ na rozmowy. A w zakładzie my decydujemy, czy robimy przerwę, czy ciągniemy to w nieskończoność. Po trzecie, na terenie zakładu rozmowy mogą być transmitowane przez radiowęzeł. Pierwszy komitet strajkowy w Szczecinie po zawarciu porozumienia został mocno skrytykowany. Pojawiły się insynuacje, że za mieszkania, za przydziały sprzedali robotniczą sprawę. Natomiast jeśli wszystko jest transmitowane na żywo, to wiadomo, jak toczą się rozmowy. Po czwarte, rozmowy muszą być prowadzone normalnym językiem, a nie w nowomowie. Nie można nazywać dyktatury demokracją, bicia ludzi – „naruszaniem socjalistycznej praworządności”, a zabijania – „wypaczeniami”, tylko po prostu zbrodnią. To nie może być język władzy – bo jak się go przyjmie, to się sprawę na pewno przegra. I ostatnia rzecz: mimo że nie ma takiego układu, którego nie można zerwać, to wszyscy wolimy mieć wszystko na piśmie. Po doświadczeniach 1970 i 1971 roku, latem 1980 roku wszystkie ustalenia były spisywane i podpisywane w postaci tzw. Umów Społecznych, a w 1989 roku w postaci porozumienia Okrągłego Stołu. 🍷

# Terapia śmiechowa

**Cenzorka nie wychwyciła aluzji o Katyniu, nie skojarzyła opowieści Majewskiego z drugoobiegową relacją uciekiniera stamtąd – mówi Janusz Płoński, współscenarzysta serialu *Alternatywy 4*, w rozmowie z Karoliną Wichowską**

## Dlaczego akurat „Alternatywy”?

Trzeci odcinek otwiera scena w Radzie Narodowej. Radni mają nadać nazwy nowym ulicom na osiedlu. Przewodniczący zgłasza kandydaturę jakiegoś porucznika Kazubka. Wszyscy grzecznie podnoszą ręce, ale ktoś dociekliwy pyta, kto to był. Przewodniczący nie wie, a sekretarka podpowiada, że Kazubek odznaczył się przy budowaniu zrębów i kładzeniu podwalin. Przewodniczący na to: „Odznaczył się i zginął...”. Okazuje się jednak, że nie zginął, tylko pracował na Koszykowej. Ale nie w bibliotece, jak przypuszcza któryś z radnych, tylko – jak po chwili prostuje inny – przenieśli go potem na Rakowiecką. Wtedy ta aluzja była zrozumiała niemal dla każdego: Kazubek pracował w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, a potem w Służbie Bezpieczeństwa. Jeden z radnych rzuca kontrpropozycję patrona ulicy: marszałka Piłsudskiego. Przewodniczący sprytnie odala tę kandydaturę, zapowiadając, że Piłsudski dostanie jakąś większą arterię, a nie małą, osiedlową uliczkę. Ktoś wreszcie rzuca bezradnie: „Musi być jakaś alternatywa!” – i zebrani uznają, że „Alternatywy” to całkiem przyjemna nazwa.

**Ale najpierw to Panowie – Pan, Maciej Rybiński i Stanisław Bareja – wymyślili taką nazwę, a zarazem tytuł.**

Maciek i ja napisaliśmy na dwóch, trzech kartkach historyjkę zatytułowaną *Nasz dom* i posłaliśmy ją do telewizji. Nikt się do nas nie odezwał. Ale po dwóch latach zmienił się szef redakcji filmowej i znalazł to gdzieś w szufladzie. Odszukał nas, podpisaliśmy umowę i z ogromną radością zaczęliśmy pisać scenariusz *Naszego domu*, bo wciąż tak brzmiał tytuł. Telewizja zaproponowała nam współpracę ze Stanisławem Janickim, ale nie podjęliśmy jej, bo chociaż to wielki reżyser, to jednak bez właściwego poczucia humoru. A myśmy chcieli nakręcić komedię. Ostatecznie – jak wiadomo – reżyserii podjął się Staszek Bareja. Rozpoczęliśmy produkcję i od razu doszło do zmiany tytułu. Jednak nie na *Alternatywy 4*, lecz na *Stanisław Anioł*. Obowiązywało bowiem wtedy rozpo-

## Janusz Płoński

(ur. 1947)

– dziennikarz,  
scenarzysta,  
dokumentalista;  
autor książki *Elvis*.

*Dlaczego ja, Panie*

i współautor (wraz z Maciejem Rybińskim) kryminałów:

*Góralskie tango, Balladyna Superstar – git czytanka*

*z momentami, Brakujące Ogniwę*, w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych współpracownik niemieckich telewizji ZDF, Bayerischer Rundfunk i Hessischer Rundfunk



ządzenie premiera Piotra Jaroszewicza, zgodnie z którym nie wolno było zamawiać na potrzeby przedsiębiorstw rozmaitych rzeczy: a to spinaczy, a to papieru. A przecież w filmie potrzebne są rekwizyty. Dlatego, żeby ominąć to rozporządzenie, faktury wystawiano na nazwisko Stanisław Anioł, ul. Woronicza 17. Ale *Stanisław Anioł* to nie był dobry tytuł i stąd wystrzeliło *Alternatywy 4*. Nie pamiętam, który z nas to wymyślił, bo bywało, że siadaliśmy we trzech i urządzaliśmy burzę mózgow. W każdym razie chcieliśmy, żeby tytuł był trochę „od czapy”. Kiedy padło słowo *Alternatywy*, zachowaliśmy się tak, jak ten nasz bohater – O! Jaki sympatyczny tytuł, jaka sympatyczna nazwa! – i tak już zostało.

**Ten „od czapy” adres umieścili Panowie w młodej, wciąż wówczas będącej w budowie dzielnicy Warszawy – na Ursynowie. Dlaczego akurat tam?**

Od samego początku mieliśmy pomysł, żeby w jednym bloku ulokować reprezentację polskiego społeczeństwa. Nie było w innych dzielnicach Warszawy domów, w którym mieszkałoby tylu różnorodnych lokatorów. Chcieliśmy też pokazać problemy mieszkaniowe, to, że na swoje „M” czekało się wiele lat. Wyprowadzka na Ursynów dla wielu ludzi była jak wygnanie, choćby dla rodziny Balcerków, których przesiedlono tam z Targówka. Zresztą faktycznie, Ursynów był wtedy właściwie wiochą – poza powstającymi blokami nie było tam nic, ani sklepów, ani porządných dróg; zaraz obok – Las Kabacki. W tak księżycowym krajobrazie mogliśmy sobie skompletować zestaw lokatorów według naszego klucza: jeden z eksmisji, drugi – bo czekał wiele lat w kolejce w spółdzielni, trzeci – profesor opozycjonista, któremu władze chciały założyć pod-



Fot. P. Życieński





Fot. ze zbiorów J. Płońskiego

► Scenarzyści na planie serialu *Alternatywy 4* (od lewej): Janusz Płoński, Maciej Rybiński, Stanisław Bareja

śluch, i tak dalej. Sądzę, że ten przekrój społeczeństwa udało nam się całkiem niezłe odzwierciedlić. Gdybym miał jednym słowem określić, o czym jest ten serial, powiedziałbym, że o mechanizmach sprawowania władzy: jak taką społecznością można rządzić, czym ją straszyć i jak nią manipulować.

**Często się mówi, że *Alternatywy 4*, podobnie jak wiele innych filmów Barei, to tak naprawdę dokument o życiu codziennym w PRL.**

Tu dochodzimy do tego, gdzie się kończy rzeczywistość, a zaczyna legenda. Faktycznie, wielu rodziców pokazuje dzieciakom *Alternatywy* i mówi „Nie śmieję się, bo tak było naprawdę”. A to przecież nie całkiem tak, bo pokazana w naszym serialu rzeczywistość jest bardzo wyselekcjonowana. Ta selekcja daje efekt bardzo komiczny i absurdalny zarazem. Ludzie lubią traktować nasz serial jako dokument, bo to jest takie osvajanie tego „demon”, który rządził Polską przez 45 lat. Dzięki temu ów „demon” przestaje być straszny, a okazuje się śmieszny – i to jest wspaniały skutek terapeutyczny. Bo rzeczywistość PRL można było traktować na trzy sposoby: albo brać ją na serio i robić karierę, albo – również biorąc ją na serio – strasznie cierpieć, albo się z niej śmiać. Podobnie bywało wśród towarzyszy partyjnych, którzy sami nie zawsze traktowali się serio. Zdarzało się, że w czasie przesłuchania esbek potrafił powiedzieć „Prywatnie to się z panem zgadzam, ale służbowo nie mogę”. Nigdy w naszej historii nie opowiadano sobie tak wielu kawałów na temat systemu jak wówczas. Nasz serial doskonale się wpisywał w tę powszechną potrzebę śmiechu.

**Stanisław Bareja** (1929–1987) – reżyser i współscenarzysta serialu *Alternatywy 4*. Absolwent reżyserii w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi. Twórca licznych komedii, m.in. *Mąż swojej żony*, *Małżeństwo z rozsądku*, *Poszukiwany, poszukiwana*, *Co mi zrobisz jak mnie złapiesz*, *Miś*, a także serialu *Zmiennicy*. Współpracował z podziemną Niezależną Oficyną Wydawniczą NOWa, angażując się w druk i przemysł drugoobiegowych wydawnictw. W 2008 roku, podczas gali wręczenia Złotych Kaczek przyznawanych przez miesięcznik „Film”, został ogłoszony najlepszym reżyserem komediowym stulecia.

**Maciej Rybiński** (1945–2009) – współscenarzysta serialu *Alternatywy 4*. Debiutował w tygodniku „Sportowiec”, a następnie był felietonistą tygodnika „Itd”. W latach 1982–1998 mieszkał w Niemczech i Wielkiej Brytanii. Pracował dla BBC, współpracował z niemiecką katolicką agencją prasową KNA, publikował w polskiej prasie emigracyjnej, m.in. w „Kulturze” i „Kontakcie”, a od 1989 roku – w krajowej „Rzeczpospolitej”. Po powrocie do Polski współpracował m.in. z „Wprost”, „Faktem”, „Gazetą Polską”, „Dziennikiem”. Występował w kabarecie „Pod Egidą”. W 2002 roku uhonorowany Nagrodą Kisiela.

**Ale to, co widać w serialu już na pierwszy rzut oka, czyli blok, który jest ruiną, zanim jeszcze został wykończony, nie było wzięte z sufitu, tylko właśnie z rzeczywistości. To naprawdę ludziom doskwierało i pewnie nikomu nie było do śmiechu, kiedy „fachowcy” rujnowali mu świeżo położoną glazurę, żeby naprawić dopiero co zamontowaną, ale już przeciekającą rurkę.**

Myśmy nie byli przyzwyczajeni do zachodnich standardów mieszkań. Każdy marzył tylko o tym, żeby dostać klucze, i kiedy już je dostał, był tak szczęśliwy, że nawet dość znaczne usterki niespecjalnie mu przeszkadzały, bo przecież można je usunąć.

**Jednak już cenzurze mogło przeszkadzać to, że nowy blok w zasadzie cały się rozpada – nie tylko zresztą to. Mimo tego zaakceptowała scenariusz. Jakim cudem?**

Może nie wpadli na to, że ten budynek to metafora naszego kraju? Ale przede wszystkim nasza gra z cenzurą polegała na tym, że scenariusz został z premedytacją naszpikowany scenami i tekstami, które były na pograniczu tego, co uchodziło, i tego, co było niedopuszczalne. Po prostu wiedzieliśmy, że jeśli cenzor nie będzie miał czego wyciąć, to będzie nieszczęśliwy i będzie nam bruździł. A jeśli z każdej strony wyrzuci jakiś dowcip, to będzie usatysfakcjonowany i zostawi wystarczająco dużo śmiesznych rzeczy. Krótko mówiąc – te dowcipy były napakowane do scenariusza z zapasem. I z tego zapasu zostało tyle, że stała się rzecz w telewizji niespotykana: podpisaliśmy umowę na sześć odcinków, a ostatecznie powstało ich dziewięć. ▶

### Niektóre z tych gotowych już odcinków podobno cenzorzy chcieli oglądać dwukrotnie.

Rzeczywiście, byłem kiedyś na kolaudacji z panią z cenzury. To było drugie spotkanie. W sali pokazów obsługa zakłada taśmy i ktoś zapowiada przez głośnik: *Alternatywy 4*, odcinek drugi. Na to pani cenzor mówi, że poprosi najpierw o odcinek pierwszy. „Jak to, przecież pani wczoraj oglądała!” – „Tak, ale tak się śmiałam, że nie zdążyłam nic zanotować”.

### Na którą scenę najbardziej kręciła nosem?

W którymś z początkowych odcinków jest pokazane, jak dwie rodziny: dźwigowego Zygmunta Kotka i lekarza Zdzisława Kołka dostają przydział na ten sam lokal. Interwenują u ciecia, cieć stwierdza, że przecież wszystko się zgadza: papier jest, pieczętka jest, więc przydział trzeba realizować. Lokatorzy usiłują tłumaczyć, że przecież musiała zająć jakaś pomyłka. Na to cieć, Stanisław Anioł, żeby uciąć dyskusję, mówi, że w Charkowie dali dwóm facetom ślub, wszyscy mówili „Pomyłka, pomyłka”, a po roku urodziły im się bliźniaki. Cenzorka nie przyczepiła się ani do ślubu dwóch facetów, ani do tego, że urodziły im się dzieci, tylko zapytała, czy to musi być w Charkowie, bo wiedziała, że to jest w Związku Radzieckim. Bareja wcale się nie upierał przy Charkowie, po prostu to miasto akurat przyszło mu do głowy. Znalazł na mapie miejscowość Miczurin w Bułgarii, cenzorka powiedziała, że może być. Tylko że kiedy już nowy tekst został podłożony pod obraz, okazało się, że jedno z drugim się nie zgadza, bo przecież Charków ma dwie sylaby, a Miczurin trzy, i widać, że nożyczki były w ruchu. No i ostatecznie cenzorka machnęła ręką: „To niech już będzie ten Charków”. A wystarczyłoby, żeby zażądała bułgarskiej miejscowości na dwie sylaby...

**Ślub dwóch facetów w Charkowie nie jest jednak najgorszym – z punktu widzenia „przyjaźni” z ZSRR – fragmentem serialu. Dionizy Cichocki w wypowiedzi dla telewizji nagrywanej w spółdzielni mieszkaniowej wspomina, że jego ojciec umarł „w ‘43 u nich na mrozie”, co od razu kojarzy się z wywózkami na Syberię.**

A prezes spółdzielni, albo skończony idiota, albo cynik, doradza mu, żeby napisał w tej sprawie list, to świadectwo zgonu wróci do niego odwrotną pocztą. Z kolei Majewski, który naprawdę nazywa się Gwizdecki, ale żyje pod zmienionym nazwiskiem, opowiada opozycyjnemu profesorowi w ostatnim odcinku, że uciekł „stamtąd” – nie wiadomo dokładnie, skąd – ukryty w konstrukcji pociągu, a na stacji słyszał regularnie odjeżdżające autobusy. Profesor Dąb-Rozwadowski się dziwi, bo przecież „tam” wszyscy zginęli. W rzeczywistości jednak jeden człowiek przeżył i wydał w drugim obiegu książkę, w której opisał swoje przeżycia, które wyglądały tak, jak opowiada Majewski. Chodzi o Stanisława Swianiewicza, a tym tajemniczym miejscem jest oczywiście Katyń. Cenzorka ewidentnie nie była

wyedukowana, książki Swianiewicza nie czytała i w ogóle nie mogła się połapać, o co chodzi. A Majewski, właśnie dla zmylenia cenzury, miesza tę historię z inną, też prawdziwą, w której pod koniec wojny SS zatapiało złoto w jeziorze. Cenzorka pyta więc, dlaczego nie można wprost powiedzieć, że cały czas chodzi o historię z Niemcami. Nie mogliśmy jej oczywiście powiedzieć, że specjalnie zależy nam na niedopowiedzeniu, żeby ludzie mogli się czegoś domyślić, ale ostatecznie i przy tym się nie upierała. Wyczuwała, że coś tu jest nie tak, ale nie bardzo miała jak się do tego przyczepić. A znów wyciąć całego wątku Majewskiego, który pojawiał się od pierwszego do ostatniego odcinka, też się nie dało.

### W tej sytuacji serial zyskał status „półkownika” aż na trzy lata.

Tak, bo za dużo było w nim do wycięcia. Decydenci byli bezradni. Dopiero właśnie po trzech latach uznano, że skoro na produkcję poszło tyle pieniędzy, to film nie powinien się zmarnować, i wyemitowano go.

### Ale przed tą decyzją pracownicy telewizji potajemnie ściągali go z półki i ponoć doszło do niekontrolowanej emisji.

Rzeczywiście, krąży taka legenda, ale niestety, jak dotąd, nie słyszałem ani nie czytałem wypowiedzi kogoś, kto by brał w tej historii udział. Podobno ktoś z pracowników telewizji przegrywał serial potajemnie na kasetę wideo i – specjalnie czy niechcący – wcisnął przycisk emisji. Ktoś inny natychmiast się zorientował i przełączył z powrotem, więc na antenę poszło może kilka sekund. Ale – znów: podobno – zauważono to w ambasadzie radzieckiej, a akurat tego dnia albo za kilka dni w Warszawie miał być Breżniew, więc zakrawało to na jakiś sabotaż... Nie zweryfikujemy tej legendy, bo telewizja nie monitorowała wtedy całej emisji i nie ma żadnych nagrań. ▶

▶ Korespondencja dotycząca produkcji serialu Bareja sama mogłaby być „bohaterką” jego filmów

KFF "Stanisław Anioł"

W dniu 9.02.92 r. o około godz. 11.00 została przywieziona woda sodowa dla potrzeb planu zdjęciowego. W czasie przenoszenia woda z samochodu do magazynu, bez wiedzy odpowiedzialnego pracownika z ramienia produkcji filmu - zaginęły 3 skrzynki wody. Dwie skrzynki odnaleziono w pokoju 205, w którym był obecny rekwizytor z filmu "Pałapka" [redacted], jedna skrzynkę wody zaś w pokoju 204a, który przeznaczony jest na szatnię pracowników Wydziału Budowy Dekoracji "Poltel". Zrabowane skrzynki z wodą zostały odebrane Ob. [redacted] siłą, a [redacted] obrzucając mnie stekiem ryzostokowych wywisk porwał się do bicia mojej osoby.

Wobec powyższych faktów proszę o zajęcie stanowiska.

[redacted]

W związku ze złożonym wnioskiem dotyczącym odszkodowania za padniętego konia w trakcie realizacji Waszego filmu, proszę o natychmiastowe nadeślenie szczegółowych wyjaśnień okoliczności padnięcia konia.  
Brak wyjaśnienia spowoduje oddalenie Waszych roszczeń.

**To ja jeszcze dodam do tej legendy, że fragmentem, który miał być żywiołowo wyemitowany, była ponoć scena instalowania podsłuchu w mieszkaniu opozycyjnego profesora. W dodatku – w wersji pierwotnej, czyli takiej, w której podsłuchuje Służba Bezpieczeństwa. Oficjalnie rozpowszechniano wersję, w której podsłuch zakłada Stowarzyszenie „Grunwald”. To oczywiście aluzja do Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald”, antysemickiej organizacji komunistyczno-nacjonalistycznej. W rzeczywistości podsłuchy instalowała SB, ale tego cenzura by nie przepuściła. Dlaczego w zastępstwie przywołano akurat „Grunwald”?**

Przypuszczam, że wzięło to się ze wzmożonej wówczas aktywności tego środowiska. Staszek chciał im dołożyć i cenzurze to nie przeszkadzało. Ale rzeczywiście, już po nakręceniu całości próbowano majsterkować przy filmie, podmieniono niektóre sceny, aż w końcu Staszek powiedział „basta” i dlatego serial trafił na półki. Bareja potrafił się czasem bardzo ostro postawić.

**„Grunwaldowi” Bareja dołożył jeszcze w ten sposób, że sympatykiem stowarzyszenia jest jedna z najpaskudniejszych postaci w serialu, czyli docent Furman: stopnia naukowego dorobił się po Marcu 1968 i miał dostać mieszkanie „po jednym syjoniście”. W innym znów odcinku Furman przekonuje czarnoskórego cudzoziemca Lincolna, że w jego kraju „syjoniści biją Murzynów”. Pokazuje mu gazetę, z której się tego dowiedział, a tą gazetą jest „Rzeczywistość”, tygodnik kojarzony z „Grunwaldem”.**

Taka postać jak Furman była bardzo potrzebna w serialu, bo była reprezentatywna dla sporej grupy naukowców karierowiczów. Docent niby do nikogo nie strzela, ale tu podkabluję, tam zrobi świństwo – i zostaje docentem, chociaż jest niedouczony. Reprezentatywny z kolei dla innej grupy jest tow. Winnicki – pezetpeerowiec wysokiego szczebla. Nie ćwok, ale raczej cynik, który bardzo chciał, żeby sąsiedzi go uważali za równego gościa, co to się zatrzyma, poklepie, pogada, fajką poczęstuje. Pod koniec serialu tłumaczy sąsiadom, że w telewizji mówi co innego, a do nich co innego, bo im, ludziom inteligentnym, można powiedzieć to, czego nie powinna usłyszeć „hołota”. Z kolei ostatnia scena, w której Anioł, wyrzucony z posady gospodarza domu, dostaje „kopa w górę” na kierownika dzielnicy, też jest odzwierciedleniem peerelowskiej normy: czytaliśmy przecież na pierwszej stronie „Życia Warszawy”, że na przykład dyrektor fabryki butów w Chełmku został wyrzucony za niegospodarność,

a na trzeciej stronie tej samej gazety dowiadywaliśmy się, że ten sam człowiek został dyrektorem fabryki radioodbiorników Diora.

**Produkcja serialu w większości przypadła na czas stanu wojennego. Jak wpłynęło to na Państwa pracę?**

Ponieważ rozpoczęliśmy kręcenie zdjęć jeszcze przed stanem wojennym, aktorów występujących w serialu nie obowiązywał bojkot telewizji i mogli z podniesionym czołem wchodzić na plan. Telewizja była wtedy opanowana przez wojsko i decydentów bardziej interesowało to, co mówią prezenterzy „Dziennika”, niż to, że Bareja coś tam w kącie sobie kręci, i dzięki temu – paradoksalnie – mieliśmy sporą swobodę. Jeśli zdarzyło się od czasu do czasu, że ktoś coś chciał zobaczyć na bieżąco, to Bareja pokazywał np. scenę bez dźwięku. Produkcja przebiegała więc bez ingerencji, krzyk poniósł się dopiero na kołaudacji.

**Czas stanu wojennego to nie tylko wojsko w telewizji, ale też trudności w zaopatrzeniu. Jak Państwo sobie radzili z kompletowaniem rekwizytów?**

Przynosiliśmy często różne rzeczy z domu, np. zachodnie artykuły spożywcze, które Kotek i Kołek dostali od kogoś w paczce. Były tam też wędliny, które w czasie kręcenia zdjęć zaczęły ginać, aż w końcu postawiliśmy tam kogoś do pilnowania. Z kolei w restauracji Kongresowej klienci mieli zakaz ruszania czegokolwiek z talerza, dopóki nie skończymy zdjęć. Ludzie oczywiście byli wściekli, bo głodni, ale przecież nie byłoby nas stać, żeby w razie dubli zapłacić podwójnie czy potrójnie, zresztą najzwyczajniej w świecie jedzenia by zabrakło. Poza tym – niezależnie od stanu wojennego – niektóre sceny były kręcone kompletnie na wariata, np. przeprowadzkę nauczycielki Lewickiej, czyli przewożenie mebli autobusem, kręciliśmy w zwykłym miejskim autobusie, który miał normalny kurs! Kierowca był zdumiony, kiedy zobaczył w środku kamerę i tabuny dzieciaków (uczniów Lewickiej) z tobołami, zatrzymał się, Maciek Rybiński odegrał swój świetny epizod w roli pijaczka i jak już było gotowe, to ekipa wysiadła, a autobus pojechał dalej. Podobnie wyglądało nagrywanie sceny podsłuchiwanie, którą kręciliśmy w Polskim Radiu: też w czasie normalnej pracy radiowców. Z ogłoszenia kupowaliśmy samochód męża śpiewaczki. Miał to być P70, poprzednik trabanta. Nie było łatwo, ale się udało. Kiedy podniesiono go na dźwigu, rozsypał się jak na zamówienie.

**Czy pamięta Pan reakcje po pierwszej emisji?**

Recenzenci byli bardzo ostrożni w odszyfrowywaniu zawartych w serialu kodów, bali się tego. Więc zdarzało się, że nazywano ten serial komedią o dozorczy. Serial od razu zyskał drugie, równie absurdalne życie. 🍷

# Na politycznym aucie

Piotr Kardela

Fot. AIPN

► Stanisław Mikołajczyk w 1946 roku – jeszcze jako wicepremier i minister rolnictwa w TRJN



*Przejmiesz Jaltanie  
→ stworzył państwo  
i wespół z...  
12.11.46  
St. Mikołajczyk*



**Stanisław Mikołajczyk – po ucieczce z Polski w październiku 1947 roku – osiadł na stałe w Stanach Zjednoczonych. Dotychczasowy prezes PSL, licząc na przychylność życzliwych mu Amerykanów, planował rozwijanie działalności w emigracyjnym ruchu ludowym i współpracę z powstałym w maju 1944 roku Kongresem Polonii Amerykańskiej. Jego kalkulacje okazały się chybione: Amerykanie już go nie potrzebowali, decyzje polityczne, które podjął w przeszłości, przyczyniły się do zwiększenia podziałów w polskim ruchu ludowym na obczyźnie, a Kongres Polonii tylko krótko był skłonny uznawać go za polskiego męża stanu.**

**M**ikołajczyk już wcześniej gościł w USA – zawiątał do tego kraju jeszcze jako premier emigracyjnego rządu RP w Londynie. Przyjechał do Waszyngtonu w czerwcu 1944 roku, a więc miesiąc po powstaniu Kongresu Polonii Amerykańskiej, na którego czele stanął mecenas Karol Rozmarek. Celem przyjazdu do Stanów Zjednoczonych były rozmowy z prezydentem Franklinem Delano Rooseveltem, które Polsce (zagrożonej ekspansją sowiecką) nic konkretnego przynieść nie mogły. Premier RP po spotkaniu z amerykańskim przywódcą spotkał się następnie z liderami polonijnymi, sugerując – według relacji Rozmarka – konieczność ustępstw terytorialnych Polski wobec Związku Sowieckiego. Rozmarek, nieugięty przeciwnik komunizmu, nie

chciał o tym słyszeć, argumentując, że Polonia nie może zaakceptować decyzji oddania „odwiecznym wrogom” Polski połowy własnego terytorium.

## „Kawaler jaltański”

Niedługo po wizycie w USA, 30 lipca 1944 roku, premier Mikołajczyk udał się do Moskwy na rozmowy ze Stalinem. Sowiecki dyktator, występując z pozycji siły, uświadamiał przybyłemu z Londynu, że Polska powinna zapomnieć o wschodniej części przedwojennego terytorium. W październiku 1944 roku, podczas kolejnych rozmów w Moskwie, Mikołajczyk – naciskany przez Brytyjczyków – był z kolei nakłaniany do formalnego zaakceptowania ustępstw terytorialnych na wschodzie, co miało być po zakończeniu wojny – jak go przekonywał premier Winston

Churchill – jedyną szansą zachowania przez Polskę niepodległości. Perswazja musiała być skuteczna, skoro po powrocie do Londynu Mikołajczyk zabiegał o usankcjonowanie przez własny rząd i prezydenta RP utraty kresów wschodnich Rzeczypospolitej. Zgody na zatwierdzenie kolejnego rozbioru ojczyzny naturalnie nie uzyskał, co sprawiło, że w listopadzie 1944 roku podał się do dymisji.

W lutym 1945 roku odbyła się konferencja w Jaltcie, gdzie Stany Zjednoczone i Wielka Brytania oraz Stalin zgodzili się na stworzenie w Polsce Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Jalta została oprotestowana przez rząd RP w Londynie, na którego czele stał wówczas socjalista Tomasz Arciszewski – głos ten miał jednak tylko symboliczny wymiar. Koncepcja stworzenia TRJN

przewidywała dopuszczenie do władzy, oprócz komunistów, tzw. przedstawicieleli demokratycznych, wśród których, ku zaskoczeniu wielu obserwatorów polskiej sceny politycznej, znalazł się Stanisław Mikołajczyk. W czerwcu 1945 roku ponownie udał się on do Moskwy, by tym razem już na własną rękę negocjować z Sowietami skład nowego rządu nad Wisłą. Polską emigracją polityczną i będącymi w dalszym ciągu pod bronią żołnierzami Polskich Sił Zbrojnych Mikołajczyk już się wtedy nie przejmował. Gdy był w Moskwie, rozpoczął się „proces szesnastu”, tzn. podstępnie aresztowanych przez NKWD przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, którzy wcześniej – nie licząc dowódcy Armii Krajowej, gen. Leopolda Okulickiego – podlegali Mikołajczykowi jako premierowi rządu RP w Londynie. Wyroki skazujące polskich patriotów zapadły równoległe z ogłoszeniem utworzenia TRJN z Mikołajczykiem jako wicepremierem. Po moskiewskich rozmowach Mikołajczyk powrócił do kraju, co z zadowoleniem przyjęły władze brytyjskie i amerykańskie, oceniając, że problem Polski załatwił się sam. Protesty legalnego rządu RP w Londynie nikogo już w tym czasie nie obchodziły – w lipcu 1945 roku USA i Wielka Brytania wycofały mu swoje uznanie.

Wejście Mikołajczyka do TRJN poąpił Kongres Polonii Amerykańskiej. Uczyniło to również niemal całe polskie uchodźstwo wojenne na Zachodzie. Prezes Rozmarek – pytany przez amerykańskiego dziennikarza, czy Mikołajczyka, Stanisława Grabskiego i Jana Stańczyka, którzy uznali graniczne ustalenia krymskie – uważa za zdrajców, miał odpowiedzieć: „Gdyby ktoś z obywateli amerykańskich zgodził się na oddanie innemu państwu terytorium Stanów od oceanu do Missisipi, to za co musiałby być uważany przez Amerykanów?”. „Polska jałtańska – stwierdził innym razem prezes KPA – jest fikcją państwową stworzoną i kierowaną przez rząd sowiecki, wyłącznie służącą interesom Moskwy”. Rozmarek wejście działaczy ludowych do mylącego z nazwy TRJN czy, jak sam pisał: „rządu czerwonych Quislingów”, nazywał kolaboracją z komunistyczną agenturą. Takimi wypowiedziami budził szacunek wśród polskich uchodźców politycznych w Europie, którzy Mikołajczyka określali z kolei pogardliwie mianem „kawalera jałtańskiego”.

### Uciekinier z Polski

Całkiem inaczej oceniali tę sytuację ich rodacy w zawłaszczanej przez komunistów Polsce, w tym bohaterscy żołnierze zbrojnego podziemia niepodległościowego. Mikołajczyk, licząc na popar-

cie zachodnich sojuszników, dążył do zbudowania w Polsce wielkiej jawnej opozycji antykomunistycznej, która w sposób legalny mogłaby skutecznie walczyć o władzę państwową. Potrzebował więc własnej partii politycznej. 22 sierpnia 1945 roku reaktywowano Polskie Stronnictwo Ludowe, którego Mikołajczyk wkrótce – po śmierci Wincentego Witosa – został prezesem. PSL szybko zyskało szerokie poparcie społeczne i stało się główną polityczną siłą walki o wolność. Siła ta była jednak za słaba, by zmienić realizowane przez Stalina, oparte na terrorze plany polityczne odnośnie do Polski. Nadzieje na zastopowanie sowietyzacji kraju dość szybko okazały się płonne. Jawna działalność PSL i wielki, wręcz heroiczny wysiłek podziemnej konspiracji nie doprowadziły antykomunistycznie nastawionego społeczeństwa do upragnionej wolności.

Po sfałszowanych wyborach do sejmu w styczniu 1947 roku Mikołajczyk zaczął rozumieć, że jego koncepcja ratowania kraju okazała się nierealna. Zagrożony aresztowaniem lider ludowców uciekł z Polski dzięki pomocy Amerykanów.

Na pewno pozbawienie immunitetu poselskiego i ewentualne aresztowanie Mikołajczyka byłoby nie na rękę demokracjom zachodnim, zwłaszcza Amerykanom. Aresztowania Mikołajczyka przez komunistów nie chciał ▶



▶ Wicepremier Mikołajczyk (w środku, w kapeluszu) w Poznaniu; na lewo od niego wojewoda Feliks Widy-Wirski i gen. Karol Świerczewski; 5 lipca 1945 roku

sam prezydent Harry Truman. W obliczu toczących się procesów politycznych bułgarskich, węgierskich i rumuńskich przywódców chłopskich, ucieczka Mikołajczyka od dłuższego już czasu wielu obserwatorom polskiej sceny politycznej wydawała się wielce prawdopodobna. Istnieją źródła informujące, że spośród trzech proponowanych przez Amerykanów wariantów ucieczki, Mikołajczyk miał wybrać drogę morską. On sam nigdy, aż do śmierci, nie ujawnił prawdziwych szczegółów wyjazdu z Polski. Nic w tej sprawie, łącznie z datą opuszczenia kraju, nie jest pewne, bo nawet dostępne źródła amerykańskie przeczą informacjom zawartym w źródłach brytyjskich. Mikołajczyk ponoć uciekał z Warszawy przetransportowany amerykańskim samochodem do portu w Gdyni, a potem brytyjskim statkiem towarowym „Baltavia”, płynącym do Londynu. Z niektórych źródeł wynika jednak, że po dotarciu do Gdyni miał na Wybrzeżu spędzić jeszcze kilka dni.

26 października 1947 roku Mikołajczyk pojawił się w Londynie. Był jednak politycznym bankrutem. Jego dobrowolne usunięcie się z krajowej sceny politycznej, gdzie zostawił wielu ufających mu współpracowników, komuniści wykorzystali do zintensyfikowania represji wobec opozycji i zniszczenia niezależnego ruchu ludowego. W Wielkiej Brytanii, gdzie funkcjonował niezwykle krytyczny wobec Mikołajczyka rząd RP na uchodźstwie i przebywało tysiące zdemobilizowanych żołnierzy PSZ, prezes PSL nie mógł liczyć na rozwinięcie jakiegokolwiek działalności politycznej. Pamiętano mu wszystko, łącznie z głosowaniem za pozbawieniem polskiego obywatelstwa wyższych oficerów PSZ, w tym zwycięskiego dowódcy spod Monte Cassino, gen. Władysława Andersa. Prezes PSL, licząc na przychylność Amerykanów i współpracę z KPA, uważał, że szanse na odbudowę swojej pozycji politycznej może mieć jeszcze tylko w Stanach Zjednoczonych – najważniejszym miejscu wolnego świata. Stąd jego decyzja o wyjeździe do USA.



Fot. Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego

### Pomocna dłoń Rozmarka

„Polski” Londyn nie znał planów politycznych Mikołajczyka, ale gdy przyjechał do Ameryki, konsekwentnie głoszono, że oto na wolnej ziemi Kościuszki i Waszyngtona pojawił się „zdrajca sprawy polskiej”, a przy tym człowiek naiwny, który poświęcając zasady, uwiarygodnił Jałtę w oczach świata. Nikt z legalistów (czyli polityków uznających legalne władze RP, a nie rządy komunistów) nie spodziewał się, że Rozmarek – po deklaracjach z 1945 roku – będzie próbował układać sobie z przywódcą PSL jakąkolwiek współpracę. Ostatecznie, mając na uwadze popularność polskiego „uciekiera” wśród Amerykanów, licząc być może na jakieś polityczne korzyści, Rozmarek zgodził się jednak na rozmowy z Mikołajczykiem. Spotkanie odbyło się 15 grudnia 1947 roku w biurze firmy Harry Coleman and Co. w Chicago. Oprócz prezesa PSL w konferencji tej uczestniczyli dwaj najbliżsi współpracownicy Mikołajczyka: Kazimierz Bagiński i Stefan Korboński. Tak doszło do zawarcia umowy Kongresu Polonii z PSL, przewidującej uzgadnianie z KPA działań ludowców na gruncie amerykańskim, jak również pomoc Kongresu w prowadzeniu działalności propagandowej PSL na rzecz Polski. Szybko dostrzeżono, że porozumienie to przemilczało sprawę wschodnich ziem RP. W wydanym dzień później wspólnym komunikacie pisano wprawdzie o wschodniej granicy, ale... z roku 1939, bez dokładnego określenia, czy chodzi o lipiec 1939 roku, czy może grudzień,

▶ Stanisław Mikołajczyk i Tadeusz Chciuk-Celt, redaktor Sekcji Polskiej RWE i działacz ludowy (ostatni prezes PSL na uchodźstwie) podczas audycji; początek lat pięćdziesiątych

kiedy to już wschodnie ziemie Rzeczypospolitej Stalin uznawał za swoje.

Samo zawarcie umowy dla wielu działaczy polonijnych, chociażby członków Komitetu Narodowego Amerykanów Polskiego Pochodzenia wchodzącego w skład KPA, było wielkim zaskoczeniem. 10 stycznia 1948 roku na posiedzeniu Zarządu Wykonawczego Kongresu Polonii prezes Rozmarek musiał się z tego tłumaczyć. „Z całym naciskiem stwierdzam – mówił wówczas – że układając punkty naszego porozumienia, ani na jedną literę nie odstąpiliśmy od celów i zadań Kongresu Polonii Amerykańskiej, ani nie zmieniliśmy naszej linii politycznej odnośnie [do] sprawy polskiej. Jesteśmy nadal za współpracą z Rządem Polskim w Londynie, za obroną granic wschodnich Polski, jak i również granic zachodnich. Uważamy, że reżim warszawski nie reprezentuje narodu polskiego, ale jest agenturą sowiecką i jako z takim nie chcemy mieć z nim nic do czynienia. Sądzę, że jako Kongres Polonii, ze względu na dobro sprawy polskiej – powinniśmy współpracować z Delegacją PSL w czasie jej pobytu w Stanach Zjednoczonych chociażby dlatego, ażeby światu amerykańskiemu dać dowód, że występujemy zgodnie w sprawie polskiej na tutejszym gruncie. O ile p. Mikołajczyk popełnił w przeszłości błędy,

będzie go za to sądzić Polska, a nie my – obywatele amerykańscy”. Rozmarek przekonywał, że ucieczka Mikołajczyka przyniosła mimo wszystko „wielką korzyść sprawie polskiej, bo przekonała świat o niemożliwości współpracy z komunistyczną Rosją, co my, jako Kongres Polonii, stale twierdziliśmy”.

Tymczasem zbliżała się zaplanowana na wiosnę 1948 roku II konwencja KPA w Filadelfii, z którą i Mikołajczyk, i przedstawiciele „polskiego” Londynu – każdy z innego powodu – wiązali wielkie nadzieje. Londyński ośrodek legalistyczny był wyraźnie zaniepokojony aktywnością prezesa PSL w Ameryce. Nad Tamizą przewidywano, że ożywienie polityczne Mikołajczyka w USA może mieć „zły wpływ” na środowisko polonijne, przysparzając mu „wielu kłopotów”. Podobnie sytuację oceniał zamieszkały w Nowym Jorku piłsudczyk Waław Jędrzejewicz. Mając na uwadze – jak to określał – „niesławne wycieczki” Mikołajczyka, po pierwsze twierdził, że „nie była to kariera godna męża stanu”, a po drugie, że „związanie się KPA z takim właśnie człowiekiem mogło wzbudzić jak najdalej idące zastrzeżenia”. Choć umowę Rozmarka z Mikołajczykiem część prasy polonijnej w USA poparła, to na łamach pojawiały się także głosy przeciwnie, piętnujące współpracę „z kolaboracją i zdradą”.

Pod koniec maja 1948 roku odbyła się II konwencja KPA. Nie zabrakło przedstawicieli polskiego uchodźstwa wojennego z Europy. Karol Rozmarek wyraził przekonanie, że Polska znowu „kiedyś będzie państwem wolnym i niepodległym”. Wystąpił też m.in. Mikołajczyk. Jego pojawienie się i zapowiedź przemawiania przed obecnym na sali obrad Janem Ciechanowskim, ambasadorem rządu RP z Londynu w Stanach Zjednoczonych, wywołały wśród delegatów spore poruszenie. W kierunku Mikołajczyka padły okrzyki: „Zdrajca!”. Kilkadziesiąt osób na znak protestu demonstracyjnie opuściło salę. W protokole konwencji zapisano: „Szczupła garść delegatów podnosi głośny sprzeciw, przemawiając jednocześnie do kilku na sali



Fot. AIPN

▶ Stanisław Mikołajczyk w 1957 roku

rozstawionych mikrofonów. Dwadzieścia kilka osób opuszcza demonstracyjnie salę. Krótka próba protestu nie znajduje atoli poparcia Izby, która w olbrzymiej większości domaga się, żeby prezes Mikołajczyk zaczął mówić”. Prezes PSL – po stwierdzeniu, że tak samo do głosu nie chcieli go dopuścić komuniści w „sejmie warszawskim” – przystąpił do odczytywania referatu o ogólnoświatowych celach komunizmu oraz metodach jego działania w Polsce. Ostre tezy nie przypominały tego, co jeszcze nie tak dawno Mikołajczyk głosił jako wicepremier TRJN w Warszawie.

Te różnice wychwycił i dosadnie sformułował ambasador Jan Ciechanowski, który przemawiając po prezesie PSL, do jego wcześniejszej działalności politycznej odniósł się niezwykle krytycznie. „[...] w polityce światowej nie wolno frymarzyć zasadami [...], wbrew prawdzie twierdząc, że totalizm i demokracja mogą współpracować harmonijnie i twórczo, budując pokój demokratyczny pod hasłem praw człowieka – grzmiał Ciechanowski. – Dla prawdziwych Polaków na całym świecie istnieje tylko jedna zwierzchnia władza, dopóki Polacy nie będą w stanie wypowiedzieć się swobodnie. Władzą tą jest konstytucyjny prezydent Rzeczypospolitej Polskiej i rząd czasowo przebywający w Londynie”.

### Bilans strat

Skutki umowy z PSL szybko okazały się negatywne dla Kongresu Polonii, bo doszło w nim do rozłamu. Z KPA wystąpiło zrzeszające ok. 160 tys.

członków Zjednoczenie Polskie Rzymo-Katolickie, druga co do wielkości po Związku Narodowym Polskim i najstarsza organizacja polonijna. Był to protest przeciwko temu, że czysty jak dotąd kierunek niepodległościowy Kongresu został skażony poprzez współpracę z człowiekiem, który przez wielu Polaków na obczyźnie nazywany był „agentem obcych interesów”. Część członków KPA, zwłaszcza piłsudczycy skupieni w Komitecie Narodowym Amerykanów Polskiego Pochodzenia, długo domagała się unieważnienia umowy z prezesem PSL. Jak napisał Waław Jędrzejewicz, z czasem sam prezes Rozmarek zrozumiał, że „wiązanie się z Mikołajczykiem nie daje nic, prócz kompromitacji”. Dlatego podczas sejmiku ZNP we wrześniu 1951 roku w Buffalo prezes Rozmarek oświadczył, że nie będzie dalszej współpracy z Mikołajczykiem.

Kongres Polonii Amerykańskiej nieprzerwanie deklarował niechęć do reżimu komunistycznego nad Wisłą i konsekwentnie prowadził niezależną politykę. Podnosząc stale wobec administracji amerykańskiej kwestię braku niepodległości Polski, a zatem to samo, co rząd RP na uchodźstwie, przez długie lata swojej działalności unikał podporządkowania jakimkolwiek dyrektywom z zewnątrz. Przejściowe porozumienie Rozmarka z Mikołajczykiem skutecznie zablokowało polskich „londyńczyków” w planach szerszego oddziaływania na wpływową jeszcze wtedy reprezentację Polonii amerykańskiej. Nawet długo po zerwaniu umowy w 1951 roku, bo do końca lat sześćdziesiątych, zorganizowane legalistyczne polskie uchodźstwo wojenne w Stanach Zjednoczonych nie miało żadnego wpływu na kierunek prac Kongresu Polonii. A Mikołajczyk? Po przyjeździe do Ameryki potrafił tylko na krótko zainteresować sobą instytucje polonijne. Potem, choć starał się być aktywny w emigracyjnym ruchu ludowym, nie odegrał już większej roli w życiu społeczno-politycznym Polonii. ❀

# Stalinowska Polska: władza i dyktatura

Robert Spalek



Powojenna Polska do 1956 roku miała charakter protektoratu, a władza rządzących nią ludzi pochodziła całkowicie z nadania zewnętrznego. W kraju stopniowo wprowadzano system rządów totalitarnych. Represyjne działania oficjalnie skrywano za propagandową formułą mówiącą o „budowie socjalizmu”. Szef partii komunistycznej pełnił rolę namiestnika o ograniczonych kompetencjach wewnętrznych i zewnętrznych.

Oczywiste jednak, że osobowość szefa Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej przekładała się na sposób działania całej polityczno-biurokratycznej maszyny zarządzającej państwem oraz na lokalną („polską”) specyfikę wprowadzanego ustroju. W sprawach zasadniczych lider realizował instrukcje Moskwy, ale już o szczegółach wykonawstwa wielokrotnie decydowali on sam i jego współpracownicy.

## Polska jako „protektorat”

Stalinizm był podobny do wielkiego ruchu religijnego, co skutkowało jego uniwersalizacją. Polska stawała się zwierciadłem Sowietów i przejmowała ich „patenty” ideologiczne, polityczne, gospodarcze, kulturowe,

oświatowe, naukowe. Po 1948 roku doszło do zideologizowania i podporządkowania niemal całego życia publicznego propagandzie partyjnej, przy czym rządzący zachowali część wcześniejszej symboliki państwowej: godło (co prawda pozbawione korony), flagę, hymn, większość stopni wojskowych, nazwy jednostek terytorialno-administracyjnych. Warto jednocześnie pamiętać, że dla komunistów wyrzeczenie się indywidualizmu oraz ograniczenie osobistej i narodowej wolności było zjawiskiem oczywistym, a nawet pożądanym, bo uniformizacja służąca zwycięstwu rewolucji nie miała dla nich charakteru pejoratywnego. Ludzie ci w sposób naturalny akceptowali uzależnienie kraju od Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich także



► Narodziny zbiorowej dyktatury – kongres zjednoczeniowy PPR i PPS; od lewej stoją: Zofia Dzierżyńska, minister przemysłu i handlu Hilary Minc, prezydent Bolesław Bierut, premier Józef Cyrankiewicz, Jakub Berman, wicemarszałek Sejmu Roman Zambrowski; Warszawa, 21 grudnia 1948 roku



Fot. PAP

w najbardziej newralgicznych obszarach: polityce zagranicznej, polityce gospodarczej, wojskowości. Co więcej, nie postrzegali swoich zachowań w kategoriach zdrady. Skrajny prosowietyzm tłumaczyli geopolityką, wedle której Polska powojenna mogła być albo komunistyczna, albo „zgnieciona jak placek” do wielkości Księstwa Warszawskiego.

Kanały sowieckich wpływów były różne, choć oczywiście naczelną dyrektywę pochodziły od Stalina i jego bezpośrednich współpracowników. Polityka zagraniczna stalinowskiej Polski była uboczną konsekwencją międzynarodowych uwarunkowań sowieckiego imperium, w ostatecznym rozrachunku

nawet bez cienia lokalnej samodzielności. Już w deklaracji PZPR pod koniec 1948 roku napisano, że to Sowieci są gwarantem „podstaw demokracji ludowej w Polsce” i jej niepodległości. Z Ministerstwa Spraw Zagranicznych zwolniono ponad sześćuset urzędników (w tym wielu przedwojennych). Dyplomacja polska była pasywna i niefachowa. O niskiej randze całego ministerstwa świadczyła słaba pozycja partyjna jego szefów: najpierw Zygmunt Modzelewski, a potem Stanisław Skrzyszewski byli jedynie członkami Komitetu Centralnego (nie wchodzili więc w skład faktycznego szerokiego kierownictwa PZPR).

Szczegóły dotyczące polityki gospodarczej otrzymywano za pośrednictwem wytycznych Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (powstałej w styczniu 1949 roku). Z kolei Armia Sowiecka zyskała bezpośredni wpływ na politykę militarną Polski i kontrolę nad nią wraz z przybyciem i powołaniem na tutejszego ministra obrony narodowej sowieckiego marszałka – Konstantego Rokossowskiego (człowieka o polskich korzeniach). Jednym z najjaskrawszych przejawów tej zależności było przywiezienie przez Rokossowskiego z Moskwy w 1951 roku wytycznych Sztabu Generalnego Armii Sowieckiej, na których podstawie zmieniono fundamenty programu gospodarczego kraju: główne nakłady finansowe przeznaczono na rozwój przemysłu zbrojeniowego, dróg, lotnisk i kolei strategicznych.

### Dyktatura i ośrodki władzy

W Polsce stalinowskiej nie wykształciła się jednoosobowa dyktatura (tak jak stało się to na przykład w ZSRS). Zastąpiła ją wąska oligarchia komunistyczna, na której czele – mimo czasowych wahnięć – stało trzech ludzi: Bolesław Bierut, Jakub Berman i Hilary Minc. Rządzącą trójkę dzielił dystans od reszty prominentów (członków Biura Politycznego i kierowniczych Sekretariatów Komitetu Centralnego PZPR). W kolejnych latach z Bierutem, Bermanem i Mincem współpracowali

wymiennie Roman Zambrowski (kierował w latach 1945–1950 organizacją i kadrami partii), Franciszek Mazur (zaufany Bieruta), Zenon Nowak (nadzorował politykę rolną), Józef Cyrankiewicz (wieloletni premier, którego znaczenie wzrosło po śmierci Stalina) czy Edward Ochab, a po 1954 roku Jerzy Morawski, Jerzy Albrecht i Władysław Matwin. Pomocnicy jednak zmieniali się, a trzech liderzy trwali razem do przełomu lat 1955/1956.

W praktyce władzę w Polsce sprawowały trzy wzajemnie szachujące się ośrodki: 1) Bierut i jego najbliżsi współpracownicy, 2) cywilne i wojskowe służby wewnętrzne, 3) ambasada sowiecka w Warszawie. Grupa pierwsza (Bierut i współpracownicy) była odbiorcą, nadzorcą i zleceńdawcą bezpośrednich poleceń i instrukcji pochodzących od Stalina i innych członków sowieckiego Biura Politycznego. Kierowała niepodzielnie partią i zarządzała państwem. Pod lupę wzięła także środowisko samych komunistów. Inwigilacja własnego środowiska była zresztą charakterystyczna dla wszystkich krajów Europy Środkowo-Wschodniej podległych Moskwie. W Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego powołano z inicjatywy Bieruta tajną grupę specjalną, przekształconą ostatecznie w listopadzie 1951 roku w Departament X MBP, służący do kontroli PZPR (tzn. kontroli własnych elit i kadr w całym kraju) przez odwołanie się do terroru: aresztowań, śledztw, nacisków, inwigilacji, wykorzystywania agentury powoływanej spośród komunistów i ich pochlebców.

Do drugiej grupy mającej realny wpływ na władzę należy zaliczyć służby specjalne (wojskowy Główny Zarząd Informacji i cywilne Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego). Od lutego 1950 roku za działania Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego, prokuratury i sądownictwa wojskowego odpowiadał marsz. Konstanty Rokossowski. Organa te zajmowały się niemal wszystkimi sprawami politycznymi. Na bezpośrednich szefów ►



► Na pochodach pierwszomajowych wyraźnie było widać, gdzie wykuwają się kadry władzy; kolejność portretów też nie była przypadkowa; Warszawa, 1 maja 1952 roku

Fot. PAP

wojskowych służb specjalnych, które Rokossowski miał pod sobą, Moskwa wyznaczyła płk. Dymitra Wozniesińskiego (od czerwca 1950 do grudnia 1953 roku) i jego zastępcę płk. Anatola Skulbaszewskiego (od sierpnia 1950 do sierpnia 1954 roku). Struktury podległe Rokossowskiemu konkurowały ze strukturami Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, nad którymi z kolei nadzór miał Bierut oraz – z ramienia Sowietów – aktualny doradca przy MBP (czyli najważniejszy kontroler) i jego 47 współpracowników w departamentach centralnych bezpieczeństwa i urzędach wojewódzkich. Bierut nie wiedział, czy najważniejsze raporty MBP przekazywane do jego rąk nie trafiały wcześniej na biurka w Moskwie. Tytułarny minister bezpieczeństwa publicznego Stanisław Radkiewicz był zaś przez niemal wszystkich postrzegany jako figurant.

Trzecim czynnikiem sprawczym był ambasador sowiecki w Warszawie. Funkcję tę pełnili kolejno: Wiktor Lebediew (od 5 stycznia 1945 do 12 lutego 1951 roku), Arkadij Sobolew (od 24 marca 1951 do 20 lipca 1953 roku), Georgij Popow (od 20 lipca 1953 do marca 1954 roku), Mikołaj Michałow (od 22 kwietnia 1954 do kwietnia 1955 roku), Pantelejmon Ponomarienko (od maja 1954 do października 1957 roku). Każdy z nich odgrywał rolę recenzenta działań kierownictwa PZPR, zarazem

wchodził w rolę ich instruktora, a także był pośrednikiem i bezpośrednim informatorem władz w Moskwie.

Chyba najskrajniejszym przykładem zależności polskich komunistów od ambasadora sowieckiego było dziewięć miesięcy sprawowania tej funkcji przez Georgija Popowa, który uznawał siebie wręcz za „komisarza przy rządzie PRL”. Wtrącał się we wszystkie, nawet drobne sprawy. Pewnego razu poddał osobiste działania Bieruta (wówczas premiera i szefa PZPR) druzgocącej i upokarzającej krytyce, mówiąc wprost, że sam „nie trzymałby kogoś takiego [jak on] nawet jako sekretarza dzielnicowego w Moskwie”. Jak odnotował historyk Andrzej Skrzypek w monografii *Mechanizmy uzależnienia. Stosunki polsko-radzieckie 1944–1957*, Bierut po tej rozmowie zadzwonił do I sekretarza KC KPZR Nikity Chruszczowa i zagrał *va banque*, oświadczając, że skoro nie nadaje się na sekretarza dzielnicowego, to zwoła Biuro Polityczne i zrezygnuje z wszystkich funkcji. W konsekwencji tego afondu jednak to ambasador ZSRS został odwołany.

Przy okazji naszkicowanego wyżej trójmechanizmu władzy warto wskazać na pewną przebiegłość „triumwirów” z Polski, łamiącą nieco stereotyp biernych, tępych wykonawców woli sowieckiej. Kiedy w styczniu 1950 roku

doszło do konfliktu o zakres władzy między Bierutem a marszałkiem ludowego Wojska Polskiego Rokossowskim, ten drugi odwołał się do osobistego arbitrażu Stalina, co przyniosło formalne efekty: wkrótce Rokossowski został wybrany na członka Biura Politycznego KC PZPR, a więc oficjalnie polityka najwyższej rangi. Jednak już w maju 1950 roku w kierownictwie partii utworzono (zresztą realizując zalecenia Moskwy) nowe ciało – Sekretariat Biura Organizacyjnego (SBO) – i to ono stało się od tego momentu najważniejszym organem decyzyjnym. A Rokossowski do tego gremium nie wszedł. Co prawda, nie znaleźli się w nim także ani Berman, ani Minc (z pochodzenia Żydzi), bo ich miejsca zajęli – zgodnie z naciskami Stalina – etniczni Polacy (Ochab, Nowak i Mazur). Polecenie sowieckie zostało więc formalnie spełnione (Rokossowski awansował), z tym że efekt okazał się dalece odmienny od oczekiwanego. Nie dość tego, w praktyce rola Bermana i Minca została ograniczona jedynie pozornie, bo obaj nadal stanowili główne „intelektualno-decyzyjne” zaplecze Bieruta. Co więcej, po trzech miesiącach (od sierpnia 1950 roku) Berman stał się nieformalnym członkiem tegoż Sekretariatu, gdyż bez niego Bierut nie radził sobie z prowadzeniem obrad i czuł się niepewnie. Było to gremium

najwyższe – pięcioosobowe (Bierut, Mazur, Nowak, Ochab, Zambrowski). Z kolei drugi co do znaczenia, nowo powołany kierowniczy organ partii (w praktyce państwa), którym stał się Sekretariat Biura Politycznego (SBP), liczył dziewięć osób (do wymienionych pięciu polityków dochodziło jeszcze czterech: Berman, Cyrankiewicz, Minc i Aleksander Zawadzki). Natomiast w skład dotychczasowej struktury wąskiego kierownictwa, czyli Biura Politycznego, wchodziło od wiosny 1950 roku aż piętnastu działaczy – oprócz wspomnianych wyżej także: Franciszek Józwiak, Stanisław Radkiewicz, Adam Rapacki, Konstanty Rokossowski, Hilary Chełchowski oraz Stefan Matuszewski (dwaj ostatni jako zastępcy członków BP). W rezultacie doszło do paradoksu: Rokossowski, który awansował wskutek interwencji i oczekiwań Moskwy, znalazł się ostatecznie w najmniej znaczącej kierowniczej grupie – osłabionym Biurze Politycznym, a więc poza najściślejszym kierownictwem. Biuro Polityczne zbierało się najwyżej dwa razy w miesiącu, bo Bierut nie miał zaufania do wszystkich członków tego grona. Natomiast Sekretariat Biura Organizacyjnego i Sekretariat Biura Politycznego obradowały średnio co dziewięć dni.

### Podział zadań

Bierut pełnił urząd prezydenta państwa (do 22 lipca 1952 roku), premiera (od 20 listopada 1952 do 18 marca 1954 roku) i przewodniczącego (od grudnia 1948 roku do marca 1954 roku), a następnie I sekretarza KC PZPR (do marca 1956 roku). Słowo tego człowieka decydowało w praktyce o wszystkim, choć jego wola była konsekwentną nakazów ze Wschodu.

Jego pomocnik i przyjaciel, faktyczny numer dwa w partii, Jakub Berman, nigdy nie sprawował tak ważnych funkcji tytularnych, ale mimo to zajmował się arcyważnymi i rozległymi dziedzinami władzy. W pierwszych latach po wojnie do zajęć „Jakubka” (jak o nim pieszczotliwie mówił sam Bierut) należał częściowy nadzór nad polityką zagraniczną, rozwojem MBP i jego kadr, kulturą, oświatą i propagandą. Od wiosny 1950 roku (a więc w okresie, gdy Moskwa próbowała Bermana zdegradować) odpowiadał głównie za kontrolę „nadbudowy prawnej i politycznej”, czyli wszystkiego, co dotyczyło obyczajów, wychowania, kultury, nauki, sztuki, filozofii, religii, prawa, ale także funkcjonowania i formowania narzędzi samego państwa – administracji, wojska, policji, sądów – wszelka aktywność państwa miała służyć za-

prowadzaniu nowego porządku. Kiedy w listopadzie 1952 roku został rozwiązany Wydział Kadr Komitetu Centralnego PZPR, Berman wziął na siebie także kierowanie sprawami personalnymi, a już miesiąc później, od grudnia 1952 roku, z inicjatywy Bieruta ponownie zajął się (podobnie jak w latach 1944–1949/50) sprawami aparatu bezpieczeństwa i polityki zagranicznej. Najwyraźniej więc w momencie, gdy Stalin po raz drugi sugerował odsunięcie „towarzysza Jakuba” (pierwszy raz zrobił to w 1949 roku), szef PZPR obarczył niezbędnego sobie współpracownika kluczowymi zadaniami. Stalin nie naciskał, bo logika wskazywała, że usuwając Bermana, osłabi pewność działania Bieruta, a tym samym podkopie pozycję człowieka tak oddanego sobie i skutecznego w komunizowaniu Polski. O tym, jak bliska zachodziła współpraca między Bierutem i Bermanem, świadczył także rozkład pomieszczeń: ich gabinety zlokalizowane na pierwszym piętrze gmachu Komitetu Centralnego (tzw. Białego Domu) rozdzielał tylko wspólny pokój wypożyczynkowy.

Z kolei głównym zadaniem trzeciego spośród „triumwirów” było przeprowadzenie rewolucji gospodarczej: upaństwowienie fabryk i zakładów, ➤

➤ Oligarchowie „ludowej” Polski : (od prawej) wicepremier Aleksander Zawadzki, wicemarszałek Sejmu Roman Zambrowski, kierownik Wydziału Rolnego KC PZPR Hilary Chełchowski, prezydent Bolesław Bierut, wicemarszałek Sejmu Stanisław Szwalbe (w głębi), premier Józef Cyrankiewicz, podsekretarz stanu w Prezydium Rady Ministrów Jakub Berman i minister sprawiedliwości Henryk Świątkowski (w głębi)

likwidacja prywatnych spółdzielni i handlu, wprowadzenie i stosowanie zasady centralnego planowania oraz uprzemysłowienie. Minc przez pierwsze lata pełnił m.in. funkcję ministra przemysłu (od 1947 roku przemysłu i handlu), a następnie (od kwietnia 1949 roku) przewodniczącego Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego (do marca 1954 roku) i wicepremiera (do października 1956 roku). W nieco mniejszym stopniu uczestniczył też w niektórych decyzjach dotyczących prac aparatu terroru, polityki kadrowej partii i zagadnień międzynarodowych. Sam był doskonałym mówcą i demagogiem. W przeciwieństwie do Jakuba Bermana lubił popularność i cieszyła go rola gospodarczego demurga. Ponoć prywatnie potrafił być otwarty na różne poglądy, a nawet sympatyczny, jednak w sytuacjach publicznych i pracach oficjalnych był po prostu bezwzględny, despotycznym stalinowcem, który bał się Sowietów i z zasady nie dyskutował z żadnymi ich instrukcjami.

Bierut, Berman i wspierający ich Minc osobiście nadzorowali i kształtowali machinę terroru. Konferowali z najwyższymi funkcjonariuszami śledczymi MBP i Informacji Wojskowej. Czytali zeznania ze śledztw i konfrontacji, raporty agentów celnych, podsumowania, wnioski, projekty aktów oskarżenia opracowane przez cywilnych i wojskowych funk-

cjonariuszy służb specjalnych, dotyczące aresztowanych działaczy politycznych, niepodległościowych czy wymaganych wrogów socjalizmu (wśród tych ostatnich znajdowali się także komuniści). Zadawali pytania, wytykali oficerom śledczym luki i błędy, sugerowali kolejne kierunki śledztw. W końcu wydawali polecenia i ingerowali w przebieg procesów sądowych. Bierut prowadził nawet prywatną kartotekę, w której nanosił uwagi o przebiegu dochodzeń. Aż do śmierci w marcu 1956 roku poświęcał czas i uwagę aresztowanym za domniemane przestępstwa polityczne.

### Ciąg dalszy represji po śmierci Stalina

Po śmierci Stalina w polskiej partii oczekiwano zmian, tym bardziej że w Moskwie zaczęto stopniowo krytykować kult zmarłego wodza. Podobny ferment pojawił się wśród niektórych partyjnych notabli w Polsce. Ale Bierut sprawiał wrażenie, że tego nie zauważa, i kontynuował represje. Między innymi doprowadził do propagandowego, sfingowanego procesu bp. Czesława Kaczmarka. W połowie 1953 roku szef PZPR został wezwany na Kreml i do kraju wrócił już z dyrektywami dotyczącymi tej sprawy. Bierut osobiście (odręcznie) opracował niektóre części przemówienia prokuratora na rozprawę, a Sekretariat Biura Organizacyjnego KC PZPR pod jego

przewodnictwem zatwierdził dla prasy i radia wskazówki, jak informować o procesie. Dramatyczny spektakl rozpoczął się 14 września 1953 roku. Kieleckiego hierarchę fałszywie oskarżono o kolaborację z Niemcami i usiłowanie obalenia ustroju i skazano na 12 lat więzienia. Dwa dni później przeciwko takiemu zachowaniu wobec Kościoła zaprotestował prymas Stefan Wyszyński. Wkrótce, w nocy z 25 na 26 września, prymas został aresztowany przez funkcjonariuszy MBP. Zatrzymano go na podstawie uchwały Prezydium Rządu (premierem był wówczas Bierut). Co jednak ciekawe, pod dokumentem nie znalazła się niczyja para. Nikt nie chciał wziąć indywidualnej odpowiedzialności za to aresztowanie, mimo że decyzję zaakceptowała Moskwa.

Już po śmierci Stalina Bierut doprowadził także do aresztowania Michała Roli-Żymierskiego (marszałka ludowego Wojska Polskiego i, co dodaje sprawie szczególnej pikanterii, przedwojennego współpracownika sowieckiego wywiadu) jako rzekomego spiskowca przygotowującego antyustrojową rewoltę wojskową i zamach stanu. W więzieniu zamknięto także Zenona Kliszkę, jednego ze współpracowników Władysława Gomułki (Gomułka, poprzednik Bieruta na stanowisku szefa partii komunistycznej, był internowany od sierpnia 1951 roku). Kilka miesięcy później zaś, w kwietniu, maju i sierpniu 1953 roku, wykonano cztery wyroki śmierci na oficerach wojska oskarżanych w fingowanych procesach o zdradę i współpracę z obcymi wywiadami. W sumie „w majestacie prawa” stracono za rządów Bieruta dwudziestu niewinnych przedwojennych oficerów i podoficerów wojsk lądowych, powietrznych i marynarki wojennej. Osobnym zagadnieniem są wyroki i zabójstwa sądowe wykonywane na byłych żołnierzach Armii Krajowej, Narodowych Sił



Fot. PAP

► Jakub Berman (przemawia) był najbliższym współpracownikiem Bieruta, odpowiedzialnym za niemal wszystkie najważniejsze dziedziny życia społecznego oraz aparat bezpieczeństwa; z tyłu: Bolesław Bierut, Adam Rapacki, Józef Cyrankiewicz; Warszawa, 17 grudnia 1948 roku

Zbrojnych i podziemia niepodległościowego. Szacuje się, że ogółem w latach 1944–1956 w więzieniach i obozach liczba wszystkich zmarłych, straconych i zamordowanych wyniosła ok. 50 tys.

### Powolny schyłek

Rola Bieruta była w zasadzie niepodważalna aż do jesieni 1954 roku, kiedy to na falach Radia Wolna Europa odezwał się głos niezwyklego zbiega z Polski Ludowej – niedawnego wicedyrektora Departamentu X MBP, ppłk. Józefa Światły. W ciągu dwunastu miesięcy w ok. 140 audycjach wyjawiał on wiele z sekretów życia prywatnego i politycznego kierowniczej trójki. To była kompromitacja rządzących komunistów. Uciekinier Światło (sam będący oprawcą) opowiadał nie tylko o ogromnej zależności i służalczości wobec Moskwy zarówno wyższych, jak i niższych notabli partyjnych w Polsce, czy o bezprawiu i powszechnym zamordyzmie, o fałszowaniu wyborów, ale także o pikantnych kulisach władzy: kto kogo nienawidzi, kto na kogo zbiera kompromitujące informacje („haki”), w jakim luksusie żyją Bierut, Berman i Minca. Światło nieco wprawdzie koloryzował, czasem mylił fakty, ale wymowa całości była zgodna z rzeczywistością, a zarazem porażająca w swej wymowie (szerzej napisał o tym Andrzej Paczkowski w biografii *Trzy twarze Józefa Światły*).

Powolny upadek Bieruta trwał do marca 1956 roku i jego pozycja, mimo że wciąż bezwzględnie dominująca i niepodważalna, była realnie coraz słabsza. On sam też coraz gorzej znosił stres i choć w młodości był abstynentem, w wieku dojrzałym zaś niemal nie pił, to pod koniec życia zaczął zaglądać do kieliszka. Z kolei Berman chorował na płuca i przeszedł prawdopodobnie dwa mikrozawały. W ostatnich miesiącach władzy ponoć obaj mężczyźni zaczęli się kłócić, a prywatnie ze sobą nie rozmawiali (co ciekawe, mieszkali na różnych piętrach tej samej willi). Rola Minca jako arbitra między nimi okazała się mało udana, ale do 1956 roku

Fot. AIPN



► Służby policyjne to podstawa maszyny terroru – na zdjęciu Bolesław Bierut nadstawia ucha pierwszemu komendantowi Milicji Obywatelskiej i wiceministrowi bezpieczeństwa publicznego, gen. Franciszkowi Jóźwiakowi

utrzymał on pozycję gospodarczego „guru” i członka trójki. Był tym, który głośno i zdecydowanie bronił Bieruta na partyjnym forum, kiedy pojawiły się pierwsze jawne głosy krytykujące liderów podczas trzydniowej narady w Komitecie Centralnym PZPR, toczonyj na przełomie listopada i grudnia 1954 roku. Spotkanie trwało trzy popołudnia i stało się symbolicznym przełomem w dotychczasowej dyktaturze. W dyskusji, w której wzięło udział ponad trzydzieści osób, skrytykowano głównie Bermana i Minca, bo nikt nie miał odwagi otwarcie zaatakować szefa partii. Kierownictwo wpadło w popłoch. Sytuacja, w której podczas komunistycznego zebrania na tak wysokim szczeblu zaczęto negatywnie oceniać władzę, oznaczała wstęp do generalnej rozprawy mającej na celu zmiany personalne. Ale stało się inaczej. Wielu komunistów z establishmentu po prostu bało się faktycznych zmian, bo odpowiedzialność za przestępstwa popełniane od 1944 roku była rozproszona.

Kiedy w lutym 1956 roku Bierut jechał na XX zjazd Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, nie czuł się za dobrze. W grudniu przeszedł zapalenie płuc, potem grypę, jeszcze wcześniej zapaść, a od kilku miesięcy żył w narastającym napięciu. Tymczasem, gdy 25 lutego przywódca komunistyczny Nikita Chruszczow przedstawił na zamkniętym posiedzeniu referat *O kulcie jednostki i jego następstwach*, w któ-

rym otwarcie zakwestionował czystość intencji miejscowego aparatu bezpieczeństwa, a także samego Stalina, było oczywiste, że wkrótce ruszy podobna lawina rozliczeń w innych krajach. Bierut nie chciał się pogodzić ani z tym, co usłyszał, ani z nasuwającymi się wnioskami. Nie przyjmował do wiadomości nawet części prawdy. Osłabł, zachorował i został przewieziony do szpitala. 12 marca 1953 roku zmarł wskutek zatoru płucnego. W dziejach Polski Ludowej skończyła się pewna epoka.

### Postscriptum

Lokalna odmiana stalinizmu była systemem, w którym walczono z każdym (rzeczywistym jak i zmyślonym) przejawem opozycji politycznej i ideowej. Władza inspirowała fałszywe wyroki i morderstwa sądowe, akceptowała bezprawne areszty i katowanie ludzi w celach urzędów bezpieczeństwa. Programowo i planowo prześladowano Kościół katolicki, przeprowadzano fałszerstwa wyborcze i niszczone tożsamość narodową. Paradoksem jest, że człowiek, który w sensie dosłownym i symbolicznym ponosił za to wszystko odpowiedzialność, dziś wzbudza chyba najmniejsze emocje spośród wszystkich byłych przywódców partii komunistycznej w Polsce. Jest niczym postać z zapomnianego gabinetu figur woskowych. 🗡️

# Dynamit podłożony pod stalinizm

Paweł Ceranka

**Sześćdziesiąt lat temu, w grudniu, podczas pobytu służbowego w Berlinie zniknął ppłk Józef Światło, wicedyrektor Departamentu X Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Ale największą panikę wśród władz i kierownictwa bezpieki Polski Ludowej wywołało nie tyle zaginięcie wysokiego oficera MBP, ile jego niespodziewane pojawienie się na falach Radia Wolna Europa.**

**W** połowie 1953 roku wiceminister Roman Romkowski wyznaczył dyrektora Departamentu X MBP Anatola Fejgina i jego zastępcę Józefa Światła do wyjazdu do NRD w celu nawiązania współpracy ze wschodnioniemieckimi służbami przy sprawie Wandy Brońskiej. Brońska – vel Alfred Burmeister vel Irena Born – była dawną działaczką Komunistycznej Partii Polski, została wysłana do pracy operacyjnej w NRD, jednak w 1949 roku uciekła do Berlina Zachodniego, a następnie w audycjach RWE opisywała m.in. funkcjonowanie systemu komunistycznego w Polsce. Fejgin i Światło mieli „do niej dotrzeć” przy pomocy niemieckich towarzyszy. Ranga obu wysłanników świadczy o wadze, którą przywiązywali szefowie polskiej bezpieki do tego zadania.

## Światło w Berlinie

Według rozkazu wyjazd miał trwać od 3 do 10 grudnia 1953 roku. Oficerowie zdeponowali legitymacje służbowe i dowody osobiste w kasach pancernych i zostali zaopatrzeni w dokumenty wystawione przez Biuro Paszportów Zagranicznych MBP i MSZ, odpowiednio „legendy” na wypadek zatrzymania oraz pistolety kal. 6 mm. Rano 4 grudnia wysiedli z nocnego pociągu w stolicy NRD. Na peronie przywitał ich I sekretarz ambasady PRL. Z dworca udali

się na rozmowę z ambasadorem Janem Izydorczykiem, z którym ustalili harmonogram spotkań. Goście nie skorzystali z propozycji noclegu na terenie ambasady i wprowadzili się do pokoju 312 w hotelu „Newa” przy Invalidenstraße. O 17.00 spotkali się z gen. Erichem Mielke, sekretarzem stanu w enerdowskim Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego (późniejszym kierownikiem tego resortu). Omówili wszelkie aspekty „dywersji” Brońskiej i sposoby na rozwiązanie problemu. Pracowali przez całą noc, aż do pory obiadowej następnego dnia. Następnie po krótkiej wizycie w hotelu „Newa” funkcjonariusze polskiego

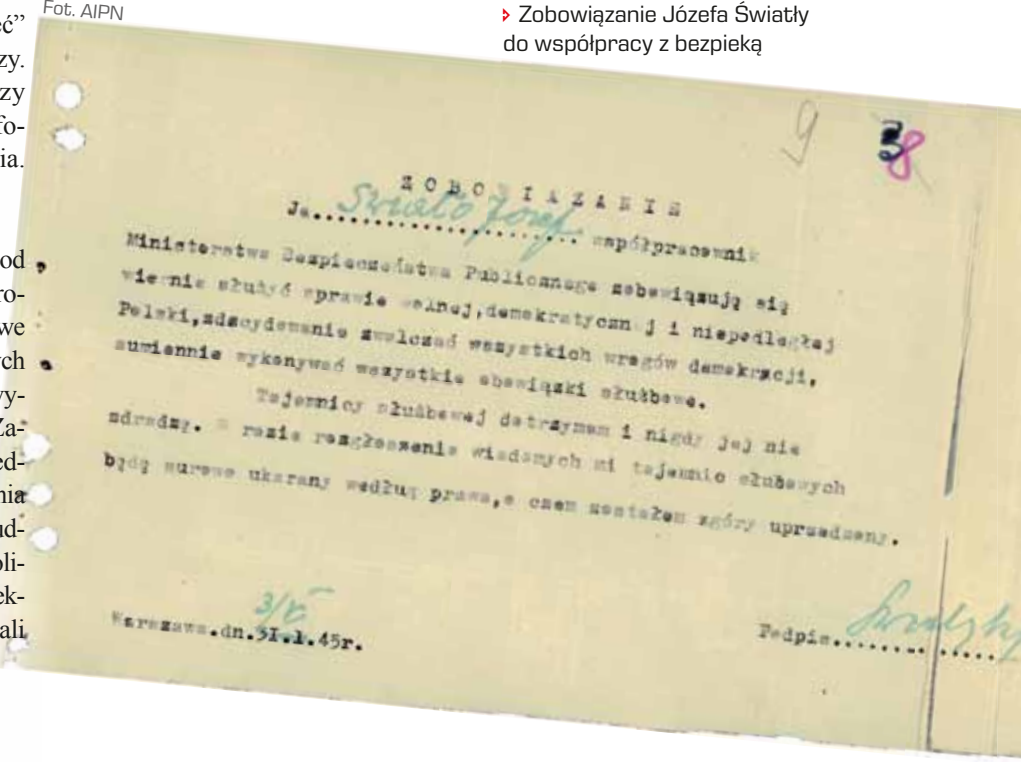
MBP wyszli wieczorem obejrzeć miasto. Przebieg tej wycieczki znamy z raportu Anatola Fejgina.

Na stacji Nordbahnhof wsiedli do metra i przejechali dwa przystanki. Przez pomyłkę znaleźli się we francuskim sektorze Berlina. Fejgin po powrocie tłumaczył się, że odkryli to dopiero wówczas, gdy zobaczyli bogate wystawy sklepów. By zdobyć zachodnie fenigi na bilety powrotne, dyrektor Departamentu X – ponieważ lepiej znał niemiecki – wszedł do sklepu tytoniowego przy Gerichtstraße. Światło miał czekać na przystanku tramwajowym na Müllerstraße. Fejginowi nie udało się zamienić banknotu, a po wyjściu ze sklepu nie zastał swojego zastępcy w umówionym miejscu. Czekał na niego prawie godzinę, bacznie przy tym się rozglądając w poszukiwaniu oznak zamieszania mogących świadczyć o tym, że Światło uległ wypadkowi bądź został aresztowany. Na ulicy panował jednak spokój.

Fejgin przypuszczał, że nieobecność to zwykła niesubordynacja, np. samowolne zakupy w innym sklepie. Z upływem czasu zdenerwowanie przekształciło się jednak w panikę. Na wszelki wypadek w krzakach przy skwerze schował pistolet i w innym sklepie kupił zapalki, zdobywając w ten sposób zachodnie pieniądze. Czekał na Światła jeszcze

► Zobowiązanie Józefa Światła do współpracy z bezpieką

Fot. AIPN



20–30 minut. Bezskutecznie. Wrócił do hotelu około 19.00. Jego zastępca nie zjawił się do rana. Dopiero wtedy, w niedzielę 6 grudnia o 7.30, Fejgin zaalarmował ambasadę. Rozpoczęła się gorączkowa akcja poszukiwawcza.

### Izaak Fleischfarb, komunista

Józef Światło (pierwotnie Izaak Fleischfarb), rocznik 1915, skończył siedem klas szkoły powszechnej w Krakowie, następnie pracował jako praktykant kolejno w zakładzie fotograficznym, biurze handlowym, sklepie z częściami rowerowymi, potem jako palacz. Przez wiele miesięcy pozostawał bez pracy. W latach 1927–1933 Fleischfarb udzielał się w syjonistycznej organizacji „Gordonia”, a następnie w Komunistycznym Związku Młodzieży Polskiej (1933–1936). Za działalność komunistyczną był poszukiwany przez polski kontrwywiad, tygodniami ukrywał się pod Krakowem. W 1935 roku Wydział Śledczy Policji Państwowej zaliczył go do szesnastu najaktywniejszych działaczy KZMP i proponował „unieruchomić go w drodze prewencyjnej” przed planowanym wystąpieniem komunistów w święto 1 Maja. Fleischfarb był dwukrotnie aresztowany, spędził w więzieniu 9 miesięcy „za komunizm”. W czerwcu 1936 roku, po wyjściu na wolność, miał jakoby całkowicie zerwać z ruchem robotniczym, wyjechał do Oświęcimia, gdzie pomagał teściom w prowadzeniu cukierni.

W wojnie obronnej 1939 roku walczył w szeregach Wojska Polskiego, z niemieckiej niewoli uciekł na tereny wschodniej Polski. Tam został internowany i osadzony w obozie pracy. Po amnestii wyjechał do Kazachstanu, gdzie poznał swoją drugą żonę Justynę Światło, której nazwisko przyjął po ślubie w kwietniu 1943 roku. Często jednak używał swojego pierwotnego nazwiska – do 1953 roku posługiwał się dowodem osobistym na nazwisko Izaak Fleischfarb.

W maju 1943 roku jako jeden z pierwszych zgłosił się do powstającej 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. W Sielcach ukończył szko-

łę oficerów politycznych, szybko awansował. Po zdobyciu prawobrzeżnej Warszawy organizował Biuro Werbunkowe do Wojska Polskiego. Od jesieni 1944 roku współpracował z NKWD i radzieckim kontrwywiadem frontowym. Brał udział w akcjach przeciwko Armii Krajowej na Białostocczyźnie, uczestniczył w aresztowaniu szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Towarzyszom radzieckim dał się poznać jako operatywny funkcjonariusz.

Z wojska trafił do wojewódzkiej komendy MO w Warszawie, gdzie kierował służbą śledczą. W latach 1945–1948 był zastępcą kierownika Wojewódzkich Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego (WUBP) w Warszawie, Olsztynie i Krakowie. Właśnie z Krakowa – jesienią 1948 roku – ściągnięto Światłę do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Trafił tu do specjalnej grupy (załączka późniejszego Departamentu X) organizowanej przez wiceministra Romana Romkowskiego. Opinia dyrektora De-

partamentu Kadr nie była pochlebna: „Ppłk Światło Józef uchodzi za bardzo dobrego pracownika operacyjnego. Cechuje go [jednak] duża zarozumiałość i brak podejścia do współpracowników, wśród których nie cieszy się autorytetem i nie jest przez nich lubiany. W życiu społecznym i partyjnym zupełnie nie udziela się”. Mimo tego w marcu 1950 roku gen. Romkowski mianował go wicedyrektorem Biura Specjalnego, które w listopadzie roku następnego przekształciło się w Departament X MBP. Jednostka ta miała za zadanie wykrywać, śledzić i likwidować wszystkie zagraniczne wpływy w PZPR, gromadzić materiały na członków partii, oceniać kandydatów na posłów, radnych, członków władz partyjnych i administracji rządowej. Prowadziła kartoteki członków Biura Politycznego i naczelnych władz. „Dziesiątka” była szczególnie istotnym departamentem w najważniejszym ministerstwie. Wkrótce ppłk Światło stał się jego nieformalnym szefem. Cieszył ▶

▶ Życiorys Józefa Światły



Fot. AIPN

ODPIS  
 Ż y c i o r y s .  
 ... się dnia 1 stycznia 1915r. we wsi Me...  
 ... e. Ojciec mój był magazynierem w mł...  
 ... em do szkoły. W roku 1927 wstąpiłem w...  
 ... ia, gdzie pracowałem do roku 1933. w c...  
 ... zacji miejskiej w Krakowie. W tym okre...  
 ... kami KZM "Edkiem", "Majerkiem", z ram...  
 ... dzenie organizowanie na terenie Krako...  
 ... acowałem 6 miesięcy, następnie przen...  
 ... jską. W K.Z.M. pracowałem do połowy l...  
 ... wżaw.  
 ... 1938-9 przebywałem w W.P., gdzie odbywałem o...  
 ... wojskową w 12 p. piechoty, biorąc udział w kampanii wr...  
 ... z 6-tą Dyw. dostałem się do niewoli pod Cieszonowem. P...  
 ... lania wychodźców wysłany zostałem do Gorkowsk. ob., gd...  
 ... w charakterze brygadiera aż do roku 1941. Następnie w...  
 ... Średniej Azji, pracując w charakterze szwoa, aż do dn...  
 ... do 1-szej Dyw. T. Kościuszki /maj 43 rok/. W Sielcach u...  
 ... łę podof. polit., biorąc udział w bojach pod Lenino ja...  
 ... plut. Za bój pod Lenino otrzymałem stopień chorążego...  
 ... jako z-oa d-oy komp. łączności, a następnie jako instr...  
 ... politycznych Samodz. Dywizjonu Artylerii Samodhodowej...  
 ... wzięcia Pragi, w tym okresie biorąc udział we wszystki...  
 ... 1-ej Dywizji, jednocześnie z ramienia Dywizji organ. w...  
 ... stracyjną w pow. Garwolin i M. Mazowieckim.  
 ... Po zajęciu Pragi z ramienia Wydz. Politycz. W.P. ...  
 ... zadanie zorganizowania Biura Werbunk. ochot. do W. Pol...  
 ... ją jednocześnie łączność z Komendantem Okręgu...

się zaufaniem towarzyszy radzieckich. Powierzano mu najistotniejsze sprawy. To on aresztował m.in. Władysława Gomułkę, kard. Stefana Wyszyńskiego i marszałka Michała Rolę-Żymierskiego. Z jego inicjatywy powstał tajny areszt w Miedzeszynie. Był tam udzielonym władcą, czasami osobiście brał udział w wymuszaniu zeznań.

W jego szafach pancernych znajdowały się teczki raportów z prowadzenia wszystkich śledczych i agenturalnych spraw Departamentu X, spis całej agentury z pseudonimami, nazwiskami i charakterystyką. Według niektórych jego wiedza – jak czytamy w książce Jarosława Kurskiego *Jan Nowak-Jeziorański. Emisariusz wolności* – „była jak dynamit podłożony pod fundamenty stalinizmu w Polsce”.

### Ucieczka czy porwanie?

Rezydent wywiadu PRL na Berlin przybył dopiero o 16.00, gdyż był poza domem na spotkaniach z agenturą. Szybko przygotowano tekst depeszy, która dotarła do Warszawy po 22.00. Fejgin krótko opisał zniknięcie funkcjonariusza i prosił o instrukcje. Pierwszy sekretarz ambasady o zaginięciu Światły powiadomił także szefa protokołu Wysokiego Komisarza ZSRR. W poniedziałek 7 grudnia o całym zajściu dowiedział się gen. Mielke. Z Warszawy przysły polecenia dla ambasady. Kierownictwo ministerstwa zabroniło oficjalnego występowania o pomoc do władz zachodnich.

8 grudnia okazało się, że zarówno Niemcy, jak i Rosjanie szybko ocenili zniknięcie Światły jako ucieczkę, ale początkowo nie podjęli żadnych działań. Po długich i krępujących namowach zgodzili się przyznać, że istniała możliwość porwania, przypadkowego zatrzymania lub rozpoznania Światły na ulicy. Rozpuścili swoich agentów po całym Berlinie. Podwładni Mielkego dokładnie sprawdzili miejsce zdarzenia, szpitale i kostnice. Dopiero 16 grudnia faktyczny szef wschodniemieckiej bezpieki zakomunikował, że otrzymał informację ze źródeł agen-

► Pierwsza oficjalna informacja o ucieczce Światły na Zachód

turalnych: 5 grudnia o 17.50 na komisariat policji niedaleko skrzyżowania Gerichstraße i Müllerstraße zgłosił się jakiś człowiek, który prosił o odwiezienie go do Amerykanów. Doniesienie to obiecał sprawdzić i poszerzyć.

Sprawa oficjalnej interwencji u zachodnich mocarstw była dyskutowana w pierwszych dniach po zaginięciu. Zrezygnowano jednak z tego zamiaru – w oficjalnym dokumencie trzeba byłoby bowiem opisać, kim Światło był, w jakim celu przyjechał do Berlina itd. A nikt nie wiedział, jaką „legendę” opowiedział swoim ewentualnym porywaczom. Dopiero 22 stycznia 1954 roku szef Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie oficjalnie przekazał komendantowi francuskiego sektora pismo w sprawie Józefa Światły z prośbą o pomoc – bo „żona i dzieci zaginionego nie dają nam spokoju”. Generał Pierre Manceaux-Demiaux obiecał zrobić wszystko, co w jego mocy.

Najsłabszym ogniwem poszukiwania był Anatol Fejgin. Słusznie oskarżono go o opóźnienie początku akcji, co więcej – jego wyjaśnienia w kolejnych wersjach zasadniczo różniły się od siebie. Wywiad PRL szczegółowo sprawdził całą trasę i wykluczył nieświadome przekroczenie granicy sektorów. W raporcie czytamy: „Na stacji Reinickendorfer Straße, gdzie wysiedli, wszystkie zewnętrzne objawy wskazują, że jest to stacja zachodnia. Już na peronie stoją dwa kioski, których nie można nie zauważyć. Jeden owocowy z bananami, mandarynkami i innymi owocami południowymi, drugi z gazetami zachodnimi i wydawnictwami



pornograficznymi. Takich kiosków na wschodzie nie spotykali”.

Jakie były motywy ucieczki? Sam uciekinier twierdził w późniejszych wywiadach, że uczynił to z pobudek ideologicznych. Większą rolę odgrywał jednak zapewne strach przed zmianami, które nastąpiły po śmierci Stalina. W Moskwie zabito Ławrientija Berię, a wielu ludzi z byłego NKWD aresztowano. Podobne czystki dotknęły służb bezpieczeństwa Węgier, NRD i Czechosłowacji. Zmiany personalne prędzej czy później musiały nastąpić w MBP.

Wszystko wskazuje więc na to, że 5 grudnia 1953 roku Józef Świat-

3. URLOPY (Wypoczynkowe, zdrowotne, chorob)		
Nr Rozkazu	Data Rozkazu	T R E S C
102	11. 2. 53	Wzrosty wyznaczony
490	10. 8. 53	-
1180	11. 10. 53	Delegowany Józef do Berlinu
1250	11. 10. 53	-
1514	11. 10. 53	Delegowany Józef do Berlinu



to sam oddał się w ręce Amerykanów. Następnego dnia przewieziono go do Frankfurtu nad Menem na wstępne przesłuchania, które wprawiły wszystkich w osłupienie: mieli u siebie chętnego do współpracy funkcjonariusza MBP! Jego informacje mogły zaoszczędzić wielu miesięcy niebezpiecznej pracy wywiadowczej. Przed Bożym Narodzeniem 1953 roku były wicedyrektor Departamentu X był już w Waszyngtonie. Przez kilka kolejnych miesięcy składał dalsze zeznania. Na ich podstawie powstało ponad 50 obszernych raportów – niemal kompletna wiedza o systemie politycznym Polski Ludowej.

Początkowo kierownictwo MBP próbowało zniknięcie Światły utrzymać w tajemnicy, choć najbliżsi współpracownicy od razu coś podejrzewali. Jedna z sekretarek zeznała później: „Po powrocie tow. Fejgina, po upływie kilku dni wydawało mi się, że coś musiało zajść, że tow. Światło nie wrócił. I wyglądał tow. Fejgina, i pewna nerwowość nasunęły mi myśl, że coś się stało”. Pod koniec grudnia 1953 roku, kiedy rozpoczęły się wstępne przesłuchania, o zniknięciu wiedzieli, oprócz Biura Politycznego, tylko szefowie Departamentu X i Wydziału X WUBP. Polecono im uważać na ewentualne próby akcji wywiadowczych i prowokacji. Do Biura ds. Funkcjonariuszy wezwano Justynę Światło, która zapewniała, że mąż nie mógł zrobić „takiego świństwa”, że albo „go sprzedali, albo zabłądził” i ona „wolałaby go widzieć martwym niż bez czci”. Sumiennie ukrywała przed znajomymi fakt ucieczki. Jeszcze w lipcu 1954 roku mówiła im, że mąż jest w delegacji, a informacje o aresztowaniu lub

porwaniu to tylko plotki. Romkowski aż do września 1954 roku szczerze wierzył w porwanie swojego podwładnego.

### „Zagadka sama rozwiązała się”

Trzęsienie ziemi nastąpiło 28 września 1954 roku. Na konferencji prasowej w Waszyngtonie prokurator generalny Stanów Zjednoczonych Herbert Brownell ogłosił, że USA udzieliły azylu płk. Józefowi Światle. Siedzący obok niego były już funkcjonariusz MBP wyglądał bardzo dobrze, nosił amerykański garnitur i mówił bez oznak zdenerwowania. Oświadczył, że podstawą planowanej od dawna ucieczki były względy ideologiczne i teraz zamierza poświęcić się walce z komunizmem. Opowiedział też o aresztowaniu przez MBP Amerykanina Hermana Fielda, który „zagiął” w Polsce pięć lat wcześniej. Jego informacje były podstawą do wysłania 28 września 1954 roku oficjalnej noty ambasady USA w Warszawie do MSZ, która spowodowała uwolnienie Fielda z więzienia w Miedzeszynie.

Parę godzin po konferencji prasowej uciekinier udzielił swojego pierwszego wywiadu dla Głosu Ameryki i Radia Wolna Europa. Jan Ptasiński, wiceszef MBP, wspominał: „Zadzwonił telefon. Po twarzy Romkowskiego można było się zorientować, że otrzymał hiobową wieść. Szybko zwolnił uczestników narady, a gdy zostaliśmy we trójkę (Konrad Świetlik, Romkowski i ja), oznajmił: »Dzwonił [Hilary] Minc. Przed mikrofonami Radia Wolna Europa występuje Światło. Zagadka sama rozwiązała się«. Sprawdził się scenariusz najgorszy z możliwych, który w Warszawie w ogóle nie był brany pod uwagę – Światło żył, przekazał całą swoją wiedzę Amerykanom i, co więcej, ujawnił tajemnice resortu i partii całemu światu.

We wrześniu i październiku 1954 roku były wicedyrektor Departamentu X występował publicznie podczas prac powołanej w Kongresie USA tzw.



Fot. AIPN

► Józef Światło

komisji Kerstena, która w latach 1953–1954 badała wszelkie metody podważania i niszczenia wolnych instytucji oraz praw człowieka na obszarach kontrolowanych jawnie lub skrycie przez światowy komunizm. Przewodniczący Charles J. Kersten osobiście przedstawił Józefa Światłę jako niezwykłego świadka, który pomoże władzom USA rozpoznać skomplikowany aparat bezpieczeństwa w Polsce. Zeznania byłego funkcjonariusza MBP stanowiły kopalnię wiedzy o strukturach i sposobach działania bezpieki oraz o sytuacji w Polsce. Światło opowiedział o wielu tajemnicach powojennych władz i ich zależności od ZSRR. Ujawnił ogromną skalę działania służb bezpieczeństwa, fałszowanie wyborów i procesów, zbieranie materiałów na wszystkich, łącznie tylko I sekretarza KC PZPR Bolesława Bieruta. Doświadczeni dziennikarze z Głosu Ameryki i Radia Wolna Europa wysoko ocenili zeznania byłego funkcjonariusza, zapowiedzieli, że „będą miały zgubny wpływ na system rządów w Polsce”. Tak samo chyba odbierali to komuniści w PRL.

Największy wpływ na wydarzenia w kraju miały jednak nie wspomniane wyżej wystąpienia Światły, lecz jego współpraca z Radiem Wolna Europa. ►

► 2 grudnia 1953 roku: ostatnia delegacja Światły z MBP

owe, przepisowe, okolicznościowe i t. d.

Data		Potwierdzenie wzrostu
od	do	
25.10	27.10.53	2/10/53
1.11	30.11.53	8/11/53
4.12	10.12.53	8/12/53
15.12	26.12.53	8/12/53
3.01	10.01.54	8/01/54

17 września 1954 roku na adres Rozgłośni Polskiej RWE w Monachium pomyłkowo trafiła koperta z nagraniem jednej z relacji uciekiniera z MBP. Zamiast szefa RWE Jana Nowaka-Jeziorańskiego powinien otrzymać ją urzędnik konsulatu Stanów Zjednoczonych, którego nazwisko zostało na korespondencji przekreślone. Na szczęście nagranie zeznań wicedyrektora Departamentu X ujrzało światło dzienne. Po szybkich negocjacjach z Allenem Dullesem, dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA), i Williamem Griffithem, doradcą politycznym RWE, udało się dotrzeć do uciekiniera. Postanowiono nagrać cykl audycji, w których Światło zdradzi tajemnice PZPR. Z rozmów, które przeprowadził Zbigniew Błazyński, powstał program „Za kulisami bezpieki i partii”. Od 28 września do końca roku 1954 nadawano go w odcinkach, codziennie o 20.00. W ciągu kilku lat materiał ten wykorzystywano wielokrotnie. Według służb bezpieczeństwa PRL, wyemitowano 159 audycji „skalujących” – jak to ujmowano – Polskę. By w pełni wykorzystać rewelacje Światły, postanowiono w lutym 1955 roku zrealizować operację o kryptonimie „Spotlight”. RWE zredagowało broszurę z najciekawszymi fragmentami, powieliło do 3 mln egzemplarzy i wysłało balonami do Polski.

Mimo zagłuszania i zakazu słuchania stacji zachodnich, RWE docierało do mieszkańców Polski. Po sześćdziesięciu audycjach Biuro Polityczne KC PZPR na specjalnym posiedzeniu postanowiło zwołać naradę centralnego aktywu partyjnego, by poznać nastroje podwładnych. W ostatnich dniach listopada 1954 roku do Warszawy zjechali działacze partyjni z całej Polski, którzy z miejsca poddali kierownictwo generalnej krytyce. Przeciwno Bolesławowi Bierutowi, Jakubowi Bermanowi i Hilaremu Mincowi wystąpili Jerzy Morawski, Władysław Matwin i Roman Zambrowski.



Fot. NAC

► *Za kulisami partii i bezpieki* – cykl słynnych audycji Światły w Radiu Wolna Europa, dynamit podłożony pod stalinizm

Na III Plenum KC PZPR w styczniu 1955 roku Bolesław Bierut otwarcie przyznał, że „aparatus bezpieczeństwa wszedł na drogę błędów i wypaczeń”.

Jednym z pierwszych zwolnionych ze stanowiska i ministerstwa był pechowy towarzysz podróży do Berlina. 10 lutego 1954 roku Anatol Fejgin został przeniesiony do rezerwy. Wkrótce zasiadł na ławie oskarżonych i otrzymał karę 12 lat więzienia. W latach 1956–1957 na kary więzienia zostali skazani wiceminister bezpieczeństwa publicznego Roman Romkowski oraz dyrektor departamentu śledczego Józef Różański. Minister Stanisław Radkiewicz został szefem Państwowych Gospodarstw Rolnych.

Światło obnażył kulisy działania MBP, władze zostały zmuszone do pokazowych procesów winnych zbrodniczych praktyk. Do ZSRR wyjechali pułkownicy Dmitrij Wozniesiński i Antoni Skulbaszewski – szefowie Głównego Zarządu Informacji, czyli wojskowej bezpieki. Nastęstwa zniknięcia Światły znacznie przyspieszyły zmiany zachodzące w Polsce. Powoli kończył się stalinizm, pojawiały się

oznaki odwilży. Początkiem zmian w PRL była śmierć I sekretarza KC PZPR Bolesława Bieruta. To przewróciło pierwszą kostkę domina, rozpoczęło serię wydarzeń, które przyczyniły się do uwolnienia wielu niewinnych więźniów, ogromnych zmian w społeczeństwie, które zaczęło zadawać władzy pytania. Światło było w środku tej układanki. Audycje i broszury docierające do kraju przerwały milczenie wokół aparatus bezpieczeństwa, wstrząsnęły zarówno społeczeństwem, jak i samą bezpieką. Jerzy Giedroyc, redaktor naczelny emigracyjnej „Kultury”, pisał: „Akcja balonkowa Światły, według opinii wszystkich przyjezdnych z kraju – dała doskonały rezultat i nawet zdecydowani komuniści twierdzą, że przyspieszyła ograniczenie działalności bezpieki”, dlatego też niektórzy historycy przypuszczają, że była to najbardziej brzemienna w skutki ucieczka w historii PRL.

W Polsce pierwszy oficjalny komunikat o ucieczce podała 25 października 1954 roku Polska Agencja Prasowa. Z miejsca powstały zabawne powiedzonka („Światło zgąsło – bezpieczniki nawaliły”) i dowcipy sytuacyjne. Podczas próby w Teatrze Miejskim w Tarnowie wyłączono prąd. Jeden z aktorów powiedział wówczas „W Warszawie nawaliło jedno Światło, a u nas drugie”, co spowodowało ogólny śmiech. W 1955 roku powszechnie szeptano o pewnej broszurze, która „naświeśla” sytuację gospodarczą i polityczną w Polsce. Trafną opinię o wicedyrektorze zawiera ówczesna wypowiedź jednego z pracowników Zakładu Metalowego w Radomiu: „Człowieka takiego nie uważam, bo nim się dostał na tak wysokie stanowisko, to niejednego z ludzi zgubił, a teraz udaje bohatera narodowego”.

# Płeć Solidarności 1980–1981

Natalia Jarska

Fot. AIPN

**Solidarność to był męski związek zawodowy: nie walczył o prawa kobiet, nie chciał ich na swoich liderów. A może to one same nie chciały, nie mogły się zaangażować? Takie sprzeczne opinie można usłyszeć o działalności kobiet w Solidarności. Jak było naprawdę?**

**N**a początku był strajk. Tysiące robotników Stoczni Gdańskiej domagały się przywrócenia do pracy działaczy opozycyjnych Anny Walentynowicz i Lecha Wałęsy. Legenda głosi, że na murze zakładu ktoś wymalował wówczas napis: „Kobiety, nie przeszkadzajcie nam, my walczymy o Polskę”. To „przeszkadzanie” miało by polegać – jak można się domyślać – na histeryzowaniu, strachu i żądaniach powrotu do domu na noc, kierowanych w stronę strajkujących mężów. Nawet jeśli napis ten istniał, w większym stopniu odzwierciedlał jednak wyobrażenia o rolach kobiet niż samą rzeczywistość tamtych dni. „Nie widziała cię długo matka” – głosił jeden z wersów *Piosenki dla córki*, śpiewanej w słynnej sali BHP przez Macieją Pietrzyką. Może właśnie ten symbol jest bliższy historycznej prawdzie?

## Nie tylko pod bramą

Kobiety odegrały bowiem ważną rolę w wydarzeniach sierpniowych 1980 roku. Stocznia była raczej „męskim” zakładem pracy, dlatego nie powinno dziwić, że dziś na zdjęciach oglądamy

za jej zamkniętymi bramami tłumy mężczyzn robotników, po drugiej stronie zaś ich żony i dzieci. Wiele kobiet jednak też strajkowało i ich rola nie ograniczała się bynajmniej do parzenia kawy i wydawania zupy. Walentynowicz i jej koleżanki z Wolnych Związków Zawodowych uczestniczyły w strajku, odegrały rolę w negocjacjach z władzami, układały listy postulatów. Organizowały,

przemawiały. Pielęgniarka z WZZ Alina Pienkowska negocjowała wypuszczenie aresztowanych działaczy opozycji, Joanna Duda-Gwiazda była rzeczniką prasową Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Działaczki Ruchu Młodej Polski – dwudziestokilkuletnie wówczas – Bożena Rybicka i Magdalena Modzelewska wsławiły się organizowaniem modlitw przy bramie stoczni. ➤

➤ Anna Walentynowicz w Prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego; dalej siedzą: Lech Wałęsa, Lech Bądkowski, Bogdan Lis; Stocznia Gdańska im. Lenina, sierpień 1980 roku

Fot. AIPN

Jedną z ważniejszych scen z udziałem kobiet rozegrała się 16 sierpnia, gdy stoczniowcy chcieli przerwać strajk – dyrekcja bowiem zgodziła się zrealizować ich postulaty. Wśród osób głośno protestujących przeciwko tej decyzji była tramwajarka Henryka Krzywonos. Kobiety – wśród nich Walentynowicz, Pienkowska i zapomniana dziś Ewa Ossowska – zdołały zatrzymać robotników opuszczających stocznnię. Bramy zostały ponownie zamknięte. Dzięki tej interwencji możliwy był strajk solidarnościowy z innymi zakładami – a więc i Solidarność.

### Bez parytetów

Kobiety sukces u zarania Solidarności, olbrzymia popularność Anny Walentynowicz, nie przełożyły się na dostęp do władzy w nowym związku zawodowym. W jego gremiach kierowniczych kobiety zasiadały rzadko, o strukturach niższego szczebla (np. komisjach zakładowych) wciąż niewiele wiadomo – trudno podać wiarygodne dane. W Gdańsku w Międzyzakładowym Komitecie Założycielskim znalazło się wprawdzie kilka działaczek, lecz już wiosną odwołano Annę Walentynowicz na skutek konfliktu z Lechem Wałęsą. W demokratycznie wybranych w 1981 roku władzach poszczególnych regionów kobiety stanowiły 11 proc., pośród delegatów na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” jesienią 1981 roku – 7 proc. W zarządach regionów działały m.in. Jadwiga Chmielowska i Maria Dmochowska. W składzie Komisji Krajowej znalazły się dwie kobiety – na ponad setkę członków. Reprezentacja tak samo symboliczna, jak w PZPR czy oficjalnych instytucjach władzy.

Dawne opozycjonistki i nowe działaczki stawały się często współpracowniczkami liderów, ich sekretarkami. Wspomniane działaczki RMP pracowały w sekretariacie Lecha Wałęsy. Niewielki akces kobiet do władzy można tłumaczyć uwarunkowaniami kulturowymi. Kobiet we władzach w Polsce jest do dziś mało. Dziesięciomilionowa

► Strajk w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, Henryka Krzywonos przemawia w sali BHP podczas obrad Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego jako przedstawicielka w MKS Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego

Solidarność reprezentowała społeczeństwo, w którym dominowały raczej tradycyjne wzorce podziału ról. W tym sensie ruch Solidarności różnił się od środowisk opozycyjnych poprzedniej dekady, powstających w dużych miastach i tworzonych przeważnie przez inteligencję. Wszystkie formacje opozycyjne miały w swoim gronie zaangażowane działaczki, nie istniały też sztywne podziały ról. Opozycja miała nieco inny kapitał kulturowy. „W mojej rodzinie panie od dawna były samodzielne” – mówiła Zofia Romaszewska w wywiadzie dla Ewy Kondratowicz (*Szminka na sztandarze*). Kiedy „walka o Polskę” przybrała postać stanowisk w strukturach – nawet tych demokratycznie wybranych – kobiety pozostały w większości poza nimi. Co nie znaczy, że przestały działać.

Wiele kobiet dotychczas zaangażowanych w działalność opozycyjną nie tyle sprawowało władzę w związku, ile podejmowało różnego rodzaju aktywności – zgodnie ze swoimi kompetencjami i doświadczeniem. Jedną z najważniejszych był udział w solidarnościowych mediach. Agencji Prasowej Solidarność (AS) szefowała Helena Łuczywo, a pracowały w niej także inne „korowskie” dziennikarki; w kolegium redakcyjnym „Biuletynu” AS dominowały kobiety. Pracowały też często w redakcjach oficjalnych pism związkowych (np. pisma „Niezależność”). Barbara Labuda kierowała na Dolnym Śląsku Wszechnicą Związkową, doradzała Międzyzakładowemu Komitetowi Założycielskiemu. Ko-

biety, choć nie zasiadały w gremiach decyzyjnych związku, pracowały często w jego agendach – np. w komisjach interwencji i praworzadności.

Udzielały się również jako ekspertki w różnego rodzaju negocjacjach z władzami – zwłaszcza w dziedzinie oświaty i zdrowia. Opracowywały na przykład nowe programy dla przedmiotów humanistycznych. Propozycje zmian w programie nauczania historii przygotowała Anna Radziwiłł. Kobiety stanowiły połowę reprezentującej Solidarność grupy negocjatorów w sprawie nauczania języka polskiego. Jednym z ważniejszych dokumentów programowych do negocjacji z władzami był współredagowany przez Krystynę Starczewską tekst *Szkoła ma służyć dziecku*. Przy negocjacyjnych stołach – przez długie miesiące 1981 roku – spotykały się z ekspertki z tytułami naukowymi i nauczycielki.



Jak się wydaje, więcej kobiet działało w niektórych strukturach branżowych Solidarności – w zawodach sfeminizowanych, np. w środowisku pracowników oświaty. Na poziomie lokalnym nauczycielki zakładały komisje zakładowe w szkołach, tworzyły regionalne struktury „oświaty i wychowania”, prowadziły „solidarnościową” działalność – m.in. organizowały obchody nieuznawanych przez władze świąt narodowych, demokratyzowały życie szkolne.

W ruch Solidarności angażowały się także lekarki. W Komitecie Założycielskim NSZZ Pracowników Służby Zdrowia większość stanowiły kobiety. Środowisko to animowała wspomniana już Alina Pienkowska. To ona przewodniczyła strajkowi pracowników służby zdrowia w listopadzie 1980 roku w Gdańsku, a potem szefowała Sekcji Służby Zdrowia Solidarności. Była – jak Walentynowicz – autentyczną liderką. Zjazdowi tej sekcji przewodniczyła lekarka Olga Krzyżanowska; reprezentował on 400 tys. pracowników.

Związkową działalność w swoich fabrykach prowadziły też robotnice, w tym włóknianki – w PRL najliczniejsza grupa robotnic. W jednej z łódzkich fabryk działała Maria Filipowicz – tkaczka zatrudniona wówczas w tym zakładzie od ponad dwudziestu lat, aktywna



Fot. PAP/Stefan Kraszewski

▶ Joanna Gwiazda na konferencji prasowej Solidarności, obok m.in. Andrzej Celiński i Bogdan Lis; Gdańsk, 31 października 1980 roku

podczas słynnego strajku w lutym 1971 roku. Organizowała strajki, zasiadała w Komisji Zakładowej Solidarności. Jest przykładem działaczki związkowej, która nie miała ambicji, aby robić karierę we władzach, sensem jej aktywności była poprawa warunków pracy w zakładzie, w którym pracowała. „Nie interesowałam się, co w Solidarności poza zakładem. Byłam samotną matką i chciałam coś w tej Polsce zmienić dla swojego dziecka” – wspomina w tomie *Pospolite ruszenie. Relacje działaczy i współpracowników „Solidarności” w Łodzi 1980–1981*. W żyrardowskiej fabryce „Stella” działały dwie robotnice – Barbara Durma i Jadwiga Chmielewska – także samotne matki, które po 13 grudnia zostały internowane. Często jednak, nawet w sfeminizowanych fabrykach, kobiety stanowiły mniejszość w komisjach zakładowych Solidarności czy komitetach strajkowych.

Uczestniczki ruchu społecznego Solidarności stanowiły zróżnicowaną grupę – pod względem wieku, zawodu, statusu społecznego. Pokazuje to choćby lista internowanych w stanie wojennym. W „internatach” siedziały razem pisarki, aktorki, nauczycielki, studentki robotnice, działaczki chłopskie, „zawodowe” opozycjonist-

ki. Pięćdziesięcio- i dwudziestolatki. Wśród najstarszych – żołnierki Armii Krajowej. W Gołdapi władze zamknęły ponoć aż siedemnaście samotnych matek. Gdy w nocy z 12 na 13 grudnia z domu zabierano Barbarę Durmę, kazano jej zostawić dziewięcioletniego syna samego; przez dwa tygodnie nie miała o nim żadnych wieści.

### Prawa „matki Polki”

Szybko rozwijający się ruch społeczny wokół NSZZ „Solidarność” nie walczył w jakiś szczególny sposób o sprawy kobiet. Ze słynnych 21 postulatów strajkowych trzy w sposób szczególny dotyczyły „kobiet pracujących”: domagano się obniżenia wieku emerytalnego kobiet do 50 lat (mężczyzn – do 55), „zapewnienia odpowiedniej liczby miejsc w żłobkach i przedszkolach” oraz wprowadzenia płatnego trzyletniego urlopu macierzyńskiego (do tej pory płatna była tylko część tego urlopu). Były to postulaty, pod którymi dzisiejsze feministki raczej by się nie podpisały; w ówczesnych realiach jednak przynajmniej część tych żądań miała na celu ochronę interesów pracownic. Mimo wszystko też trudno się w nich doszukiwać szczególnego konserwatyizmu – generalnie bowiem wpisane w nie była akceptacja zjawiska aktywizacji zawodowej ▶



Fot. AIPN

▶ Anna Walentynowicz przemawia na spotkaniu z władzami Solidarności na stadionie krakowskiego „Hutnika” (na pierwszym planie Lech Wałęsa); 18 października 1980 roku

kobiet. Na przełomie dekad pracowało już ponad 5 mln kobiet, co stanowiło 43,5 proc. zatrudnionych. Solidarność nie odsyłała ich do domu, choć realizacja jej postulatów ograniczała ich aktywność zawodową. Płatne urlopy spowodowały, że po urodzeniu dziecka pracę kontynuowało zaledwie 8 proc. pracownic, reszta albo wolała zostać w domu, albo nie znalazła miejsca dla dziecka w żłobku (w poprzedniej dekadzie było to niemal 40 proc.). Kobiety zyskały więcej czasu na stanie w kolejkach.

Wówczas feministek w Polsce nie było, co najwyżej te „socjalistyczne”, skupione w reżimowej masowej organizacji kobiecej – Lidze Kobiet. Za sprawą jej działalności, a także mało przekonującej propagandy równości płci, którą władze głosiły od końca lat czterdziestych, postulaty związane z emancypacją były raczej skompromitowane. Zwłaszcza że zamiast korzyści z „równości”, kobiety dostrzegały nieraz płynące z niej utrapienia. Codziennosc w warunkach gospodarki niedoboru i głębokiego kryzysu gospodarczego nakładała na „kobietę pracującą” ciężary trudne do udźwignięcia.

O co zresztą działaczki Solidarności miały walczyć dla siebie? Celebrowanie kobiecości sprowadzające się do nieco ironicznych obchodów Dnia Kobiet z parą rajstop w prezencie było formą

z jednej strony wyśmiewaną, z drugiej dalece już zaakceptowaną przez „szarego człowieka” PRL. Nikt poważny by z tym zjawiskiem nie walczył. Typowy zaś postulat feministyczny drugiej połowy XX wieku – prawne dopuszczenie przerywania ciąży – w Polsce sensu nie miał, gdyż taka możliwość istniała od 1956 roku. Nie można oczywiście powiedzieć, że los kobiet w Polsce nie wymagał poprawy – wspomniane okoliczności jednak sprawiły, że o kwestiach tych Solidarność i jej działaczki się nie wypowiadały.

Kobiety więc walczyły o to, co wszyscy – o wolność w sferach, gdzie naprawdę odczuwały jej brak. O poprawę bytu w ramach, jakie wydawały się wówczas sprawiedliwe i godne. O reformę w swoich zawodowych domenach: w oświacie, w nauce, służbie zdrowia. Mniej więcej wszystko wymagało bowiem wówczas naprawy.

Problemy kobiet zostały też w pewnym sensie podporządkowane walce o wolność narodu. W tym kontekście kobieta jako polityczna siła była potrzebna raczej jako „matka Polka”. Pokazuje to akcja tzw. marszów głodowych latem 1981 roku. W Łodzi i w kilku innych miastach ulicami przeszły wielotysięczne marsze, w których kobiety – często z towarzyszącymi im dziećmi – niosły transparenty z postulatami dotyczącymi zaopatrzenia i za-

rzucającymi rządzącym głodzenie narodu. Emocjonalny klimat tych marszów, publiczny protest bezbronnymi kobietami miał być ciężkim oskarżeniem władzy. W tym sensie Solidarność „zrobiła użytek” z kobiet jako matek „głodujących” dzieci. Trudno się zresztą temu dziwić: od zarania PRL tego rodzaju protesty robotnic-matek okazywały się skuteczne. Nie tylko bowiem obnażały porażkę socjalizmu jako państwa opiekuńczego, lecz także rozbrajały władzę. Przypomnijmy, że dopiero dzięki strajkowi włókniaerek łódzkich z lutego 1971 roku władze w końcu cofnęły podwyżkę cen, która doprowadziła do wystąpień robotniczych Grudnia '70.

Spór o to, czy Solidarność była „kobietą” czy „mężczyzną”, nie ma więc większego sensu. Solidarność była bowiem polskim społeczeństwem – z wszystkimi jego tradycjami, wartościami, także dość typowym tradycyjnym podziałem ról między płcie. Dlatego kobiety – w sferze symbolicznej – wystąpiły raczej jako matki głodnych dzieci niż liderzy struktury związkowej. Musielibyśmy jednak zastrzymać się na tych symbolach, żeby nie dostrzec realnego wkładu działaczek Solidarności w rozwój i osiągnięcia ruchu – nauczycielek, ekspertek, opozycyjnych dziennikarek, robotnic. Udział kobiet w szeroko pojętej walce o niepodległość to też długa – bo jeszcze dziewiętnastowieczna – polska tradycja. Może nie był to dobry czas dla ożywienia mitu Emilii Plater, ale tradycja zyskiwała też nowe oblicza. Zmiany społeczne, które zachodziły w Polsce co najmniej od końca II wojny światowej, przyczyniły się do wejścia na publiczną scenę wielu intelektualistek, kobiet, które służyły ruchowi społecznemu swoim wykształceniem i profesjonalizmem. Ten rys obecny był już w opozycyjnych kręgach sprzed Sierpnia '80, miał też swoją kontynuację w „podziemnym społeczeństwie” czasów stanu wojennego. 🌸

▶ Alina Pienkowska (w opasce, z kartką) podczas negocjacji ze stroną rządową w sprawie zakończenia strajków służby zdrowia, oświaty i kultury w gdańskim Urzędzie Wojewódzkim, obok niej – Lech Kaczyński; 16 listopada 1980 roku



Fot. PAP/Stefan Kraszewski

Natalia Jarska – historyczka, autorka publikacji poświęconych historii kobiet w PRL oraz we frankistowskiej Hiszpanii, pracownica Biura Edukacji Publicznej IPN

# Kartki świąteczne 1980

Jan Oleński

Zwyczajaj kartki bożonarodzeniowe kojarzą się z pocztówkami, w których życzymy naszym bliskim wszystkiego dobrego z okazji nadchodzących świąt. Jednak dla kolekcjonera dokumentów reglamentacji kartki bożonarodzeniowe z 1980 roku to coś jeszcze.

**10** listopada 1980 roku Sąd Najwyższy zarejestrował NSZZ „Solidarność”, który domagał się realizacji 21 postulatów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Gdańsku. Trzynastym punktem na tej liście było wprowadzenie kartek na mięso i jego przetwory. Aby spełnić to żądanie, władze PRL zdecydowały się na uruchomienie przed świątami kartkowej sprzedaży mięsa i wędlin.

Zadanie to powierzono władzom lokalnym, które musiały zorganizować dystrybucję tych artykułów według ich ilości przyznaných z „rozdzielnika”. Kartki te pamiętam bardzo dokładnie, gdyż jako mieszkaniec Warszawy stałem w kolejkach po świąteczne rarytasy, bolejąc przy tym nad koniecznością zniszczenia tak cennych walorów kolekcjonerskich.

## Kartki, bony, kupony

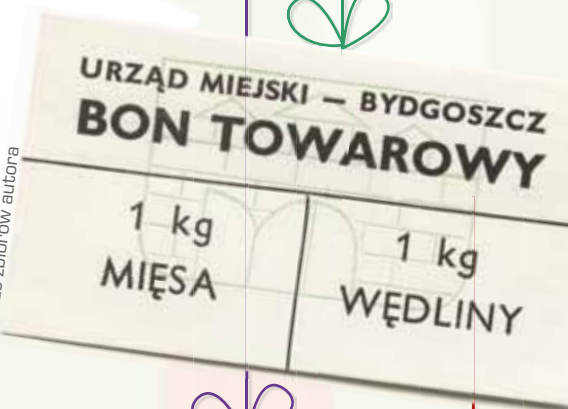
Trzy dni przed ogłoszeniem racjonowania mięsa i wędlin ukazał się w „Życiu Warszawy” artykuł omawiający różne aspekty wprowadzenia kartek na mięso i jego przetwory. Autorzy pisali m.in., że „system kartkowy jeszcze bardziej ogranicza sprawiedliwość na rzecz równości”, tak jakby dotychczasowy system – zwany popularnie, niby z japońska, „nagie haki” – był sprawiedliwy. Komunikat o kartkowej sprzedaży mięsa i wędlin w dniach 18–24 grudnia 1980 roku ogłoszono 15 grudnia. Była w nim mowa o „wprowadzeniu jednorazowego bonu na zakup wyższych gatunków mięsa, wędlin oraz masła”. Kartka świąteczna – nazwana w komunikacie „bonem” – w rzeczywistości

okazała się „kuponem”, który zawierał trzy odcinki. Odcinek na mięso informował, jakie gatunki mięsa będą sprzedawane, odcinek na wędlinę uprawniał do zakupu wędzonki i jedynie odcinek na masło nie zawierał żadnej dodatkowej informacji. W prasie można też było przeczytać, które sklepy zostały wytypowane do sprzedaży na „bony”. Wycofano z nich wszystkie inne produkty, aby marudni klienci nie zakłócili „realizacji sprzedaży kartkowej”.

Pierwszego dnia obowiązywania kartek, jak pisała prasa, kolejki przed wytypowanymi sklepami mięsnymi ustawiły się już o 3 rano. Normy na te kartki były następujące: 0,8 kg wędzonek (szynka, baleron, połówdwa), 0,5 kg mięsa (schab środkowy, karkowy, wieprzowina bez kości) i 0,25 kg masła. W pozostałych sklepach sprzedawano na osobę po 1,5 kg mięsa i 1,5 kg wędlin nieobjętych kartkami (gorszych gatunkowo). W następnych dniach, po pierwszej euforii, klienci już z mniejszym poświęceniem realizowali swoje przydziały. Każdy wołał poczekać, by kupić świeże mięso i wędliny tuż przed świątami. 20 grudnia okazało się, że mięsa jest nadmiar i nie można go będzie przechować przez okres świąteczny, w związku z tym na kartki sprzedawano po 0,75 kg mięsa od szynki, a łopatki – nawet po 1 kg na odcinek. Zapowiedziano także przedłużenie okresu ważności kartek do końca roku 1980. Zaczęły się też ujawniać pewne mankamenty systemu. Na przykład masło dostarczano w zamrożonych blokach i proces odważania wyznaczonej ilości, nie dość, że okazał się ciężką, fizyczną pracą, to jeszcze powodował zniecierpliwienie



Fot. ze zbiorów autora



Fot. ze zbiorów autora



Fot. ze zbiorów autora



Fot. ze zbiorów autora

klientów niezadowolonych z powolnego posuwania się kolejki, zwłaszcza w dniach bezpośrednio poprzedzających święta.

Spora część przygotowanego mięsa i wędlin kartkowych pozostała niewykupiona. 30 grudnia „Życie Warszawy” informowało, że w stolicy nie zrealizowano jeszcze ok. 400 tys. kartek, co zapewne świadczyło o tym, że wielu warszawiaków wołało kupić towar gorszej jakości, niż stać godzinami po kartkowe przydziały.

### W swoim województwie, w swoim sklepie

Podczas tej „akcji” w województwie stołecznym zastosowano dwa rodzaje kartek różniące się kolorem gilosza. Kartki z zielonym gilosem otrzymywali mieszkańcy Warszawy, a z giloszem żółtym – pozostali mieszkańcy województwa. Miało to zapobiegać wykupywaniu mięsa i wędlin w Warszawie przez mieszkańców okolicznych miejscowości.

Zjawiska tego nie przewidziały władze województwa katowickiego, gdzie wprowadzono aż cztery rodzaje bonów: na wędliny, wędzonki, masło i margarynę. Oczywiście, mieszkańcy okolicznych miast tłumnie zjeżdżali do Katowic, spodziewając się w stolicy województwa lepszego zaopatrzenia na kartki zwane tu „biletami”. W rezultacie w Katowicach tworzyły się ogromne kolejki, a w mniejszych miastach tych samych wędlin i tłuszczów było tyle, że tuż przed świętami zdecydowano się na ich sprzedaż bez kartek, aby się nie zepsuły.

Władze Łodzi przewidziały dla swoich obywateli jedynie bony na 0,75 kg wędlin. Próbowano nawet sprzedawać na bony część wędlin w stanie surowym, do samodzielnego ugotowania. W prasie można było znaleźć przepis na ich przyrządzenie (temperaturę i czas gotowania). Na szczęście klienci nie dali się oszukać, bo produkty sporo traciły na wadze po ugotowaniu, i takich „wędlin” nie kupowali. W odpo-

wiedzi normę na „wędliny do gotowania” zwiększono o 20 proc.

Reakcją rynku na brak reglamentacji masła był masowy wykup tego artykułu (prasa donosiła o „spekulantach” kupujących po 20 kostek) i odsprzedawanie go mniej zaradnym klientom na czarnym rynku. Oczywiście, klienci z mniejszych miasteczek wokół Łodzi zjeżdżali do miasta na zakupy, a handel reagował na te perturbacje w sposób racjonalny, sprowadzając wędliny do łódzkich sklepów z tych miast, których mieszkańcy wyruszyli do stolicy województwa. Kupowali więc oni te same wędliny, które mogliby bez trudu nabyć w swoich miejscach zamieszkania.

Problem zaopatrywania się w dużych miastach przez przyjezdnych z terenu województwa postanowiono rozwiązać w województwie gdańskim, nakazując rejestrację kartek na mięso (1 kg), wędzonki (0,5 kg) i wędliny IV grupy (0,5 kg) w wybranych sklepach. Można więc było kupić produkty kartkowe tylko w tym sklepie, w którym zarejestrowało się kartkę. Na sprzedaż kartkową przygotowywano klientów już od 30 listopada, a mimo to nie wykazali oni zrozumienia dla wysiłków „uspołecznionego handlu” i każdy chciał kupić jak najlepsze gatunki mięsa i wędlin. Zdarzały się przypadki przeszukiwania zapleczy sklepów przez przedstawicieli „komitetów kolejkowych” w nadziei wykrycia rzekomo ukrytych produktów, w sklepie na Zaspie ruchem kolejki kierowali zaś porządkowi z plakietkami „Solidarność”.

Opisane wyżej „kartki świąteczne” funkcjonowały na różnych zasadach w wielu województwach. Była to próba generalna przed wprowadzeniem ogólnopolskich kartek na mięso i wędliny. Nie powiodła się najlepiej, ale przynajmniej kolekcjonerzy mają teraz co zbierać. 🍷

Jan Oleński – kolekcjoner dokumentów reglamentacji, autor m.in. katalogu *Ogólnopolskie kartki zaopatrzeniowe z lat 1976–1989* (2010)



► Każde województwo miało inny rodzaj kartek; powyżej – kupony z województwa gdańskiego





# WRONA SKONA w gazecie, czyli cios w gotowość obronną

Wojciech Wabik

W weekendowym numerze 31 „Dziennika Bałtyckiego” (12–14 lutego 1982 roku) felietonista muzyczny Stanisław Danielewicz opublikował artykuł *Wracamy do płyt, o których się mówi*. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że pierwsze litery kolejnych akapitów publikacji układały się w wymowny zwrot „WRONA SKONA”.

**S**krupulatnie zakonspirowana w gąszczu liter WRONA to bynajmniej nie obiekt westchnień ornitologa amatora, lecz akronim utworzony od nazwy gremium – Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego (WRON). Powstała ona w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku i pełniła naczelną funkcję administracyjną w Polsce w czasie stanu wojennego (od 13 grudnia 1981 roku do 22 lipca 1983 roku). Na jej czele stał gen. Wojciech Jaruzelski.

## Spacer, opornik, graffiti

W trakcie 585 feralnych dni Polacy w różny sposób wyrażali swój sprzeciw wobec tego pozakonstytucyjnego

organu. Protesty przybierały mniej lub bardziej wyrafinowane formy: organizowano wielotysięczne manifestacje, w czasie Dziennika Telewizyjnego wyłączano telewizory i wychodzono na spacer czy noszono w klapach oporniki symbolizujące opór społeczny. Niezręczym widokiem były wymalowane na murach hasła: „Orla WRONa nie pokona”, „Precz z Juntą”, „Junta juje”, „WRON won za Don”, „Precz z PZPR” czy właśnie „WRONA SKONA”.

Forma sprzeciwu zastosowana przez Danielewicza bez wątpienia należy do najbardziej finezyjnych i unikatowych w skali kraju. Tym bardziej że „Dziennik Bałtycki” z artykułem zamieszczonym w stałej rubryce „Echa muzyki

Fot. AIPN

młodzieżowej” trafił do kiosków zaledwie kilka tygodni po brutalnych pacyfikacjach gdańskich zakładów pracy, a także protestach ulicznych, które przelały się przez Trójmiasto w grudniu 1981 roku (skutkiem były dziesiątki uszkodzonych, rannych, a także jedna ofiara śmiertelna).

Pierwsze informacje o odszukanym przez czytelników zwrocie „WRONA SKONA” pojawiły się w poniedziałek 15 lutego 1982 roku. Wiadomość tę przekazał kioskarsz Ryszard Makowiecki ▶





Fot. AIPN

Fot. AIPN

### „Fałszywe wiadomości poniżające organ”

redaktorowi Zbigniewowi Niemcewiczowi, następnie lotem błyskawicy obiegła ona całe miasto. W redakcji „Dziennika Bałtyckiego” przez cały dzień odbierano telefony dotyczące artykułu, a gazeta zniknęła z półek niczym świeże bułeczki. Sam Danielewicz po latach wspomina, że artykuł miał być żartem, którym chciał podnieść ludzi na duchu.

Prokuratorzy PRL nie podzielali poczucia humoru dziennikarza. 26 lutego 1982 roku Prokuratura Marynarki Wojennej w Gdyni przygotowała postanowienie o wszczęciu śledztwa w trybie doraźnym. W dokumencie czytamy: „Cywil Stanisław Danielewicz podejrzany jest o to, że w wydaniu »Dziennika Bałtyckiego« z dnia 12 lutego 1982 r. w celu osłabienia gotowości obronnej PRL rozpowszechnił na Wybrzeżu Gdańskim fałszywe wiadomości, które mogły tę gotowość osłabić, a ich treść poniżała naczelną organ PRL – Wojskową

Radę Ocalenia Narodowego – oraz mogła wywołać niepokój publiczny lub rozruch w ten sposób, że w nr 31 »Dziennika Bałtyckiego« umieścił hasło WRONA SKONA, tj. o popełnienie przestępstw z art. 48 ust. 1 i 2 w zw. z art. 48 ust. 4 dekretu z dnia 12.12.1981 r. o stanie wojennym (Dz. U. Nr 29, poz. 154) w zw. z art. 270 § 1 kk”. Śledztwo prowadzone w trybie doraźnym skutkowało zatrzymaniem podejrzanego w areszcie. Danielewicz w marcu 1982 roku próbował odwołać się od prowadzenia dochodzenia w tym trybie, przekonując, że ma na utrzymaniu rodzinę, a pisanie jest jego jedynym źródłem dochodu,

## Wracamy do płyt o których się mówi

► Czy WRONA mogła się tu pojawić przypadkowo? Próba odpowiedzi na to pytanie stała się przedmiotem aż trzech ekspertyz językoznawczych

W ubiegłym tygodniu Zbigniew Jujka zamieścił w swym „Dzienniczku” na łamach „Rejsów” rysunek, będący satyrycznym komentarzem telewizyjnej relacji: „Produkcja idzie dobrze — brak nam tylko surowców i energii”. Sytuacja w rozrywce — szczególnie muzycznej — wygląda u nas akurat odwrotnie: nie brak surowców (pomysłów, scenariuszy, utworów) i energii (wykonawców, autorów, kompozytorów i organizatorów), niemniej produkcja nie idzie dobrze. Milczą jeszcze kolumny głosnikowe sal koncertowych czy dyskotek i pewnie przyszedłoby mi się obawiać z braku tematów, gdyby nie uroczyście przyrzeczenie, dane czytelnikom niniejszej rubryki przed tygodniami: napisania o tych płytach, które liczą się na światowym lub przynajmniej europejskim rynku muzyki pop, które wnoszą do niej istotne wartości.

Rozum mówić, że taki review należałoby zacząć od sensacyjnej — jak zwykle — płyty Electric Light Orchestra „Time”, ale serce każe inaczej. Zostawmy więc Anglików, sprytnie kontynuujących tradycje Beatlesów, na inną okazję, bo czeka dama: Amanda Lear ze swoim ostatnim longplayem „Incognito”. Nigdy o niej nie pisałem, bo miejsca mało, a tematów sporo, więc szkoda czasu na zatracanie siebie (i czytelnikom) głowy nawet tak uroczymi wizualnie zjawiskami europejskiej odmiany disco music, jak Amanda Lear — skoro do tychczas epatowała publiczności głównie nie spotykanym w tej muzyce kontrastem.

Oto jednak Amanda Lear REDIVIVA: „Incognito” jest longplayem zaledwie pozornie „rozrywkowym”, bo choć posługuje się sprawnymi koncepcjami muzycznymi, niemniej wykracza poza to, do czego przywykliśmy nas europejska muzyka disco ostatnich lat. Jeśli przyjąć, że ostatni longplay Amandy Lear jest początkiem nowej, oryginalnej drogi, to obrazą byłoby umieszczenie go w kategoriach disco music.

Niemniej, pozostały z „dawnej” Amandy Lear i na tej płycie pewne charakterystyczne cechy: przede wszystkim jej oryginalny, „niepokojący” głos. Pani, o której tu piszę, udało się po raz pierwszy utrafić swym brzmieniem głosu w odpowiedni charakter repertuaru. Nie jest to, rzecz jasna, zasługą samej wokalistki, ale producenta tej płyty, jak też autorów poszcze-gólnych utworów. Wca-le nie podejmuję się wy-kazywać jakiegokolwiek zbieżności stylistycznej (w sensie muzycznym) tych utworów; wręcz przeciwnie, wydają się one reprezentować za-skakująco różne odmiany muzyki pop — od euro-pejskiej muzyki disco przez „klasyczny” rock (pozbawiony jednak o-strości brzmieniowej), przez elektroniczne fan-tazje brzmieniowe cha-rakterystyczne dla za-chodniemiejskich mu-zyków i tamtejszych producentów nagrań, aż do kabaretu, w wersji takiej, jaką zna-my choćby z kreacji Lizzy Minelli w filmie „Kabaret”.

Amanda Lear się-gnęła do różnych gatun-ków pop music, a je-dnak udało się jej stwo-rzyć przekonujący obraz, całkiem jedno-znaczny w swej ogólnej wymowie. O tej estety-cznej jedności decydują elementy pozamuzyczne, zaś każdorazowo wszel-kie tzw. składniki dzie-la muzycznego (np. me-lodyka, rytmika, instru-mentacja są jedynie u-zasadnieniem tematów, rzucanych słuchaczowi do przemyśleń.

Słowo występuje z takim twierdzeniem, wy-padałoby je uzasadnić, pamiętając o czysto dy-skotekowej przeszłości piosenkarki. Oczywiście, jestem w stanie wy-obrazić sobie utwory z płyty „Incognito” wyko-nywane w dyskoteko-wej scenarii czterdzie-stominutowego show te-lewizyjnego, wśród fe-erki światła i błysków, z wynurzającymi się zra-kolorowych mgieł nieso-mowlitymi postaciami, utrudalonymi w zbioro-wej wyobraźni odbior-ców pop-kultury. Ale nawet ten kuszący, od-dalający od myślenia sztafaż nie byłby dobrą kurtyną dla pesymisty-cznego obrazu dekadenc-

ji, zniewalającej nieu-chronnością w tym wca-le nie optymistycznym zakątku XX wieku. „In-cognito” nie zmierza ku analizie zjawisk i po-staw, tym bardziej nie stawia diagnozy. Ra-czej, posługując się krótkimi obrazkami, skłania do myślenia, wskazując tezy, zmuszając do wniosków z góry zło-żonych; jest więc typo-wa „manipulacja”.

Co to, ile prawdy zawierają kilkunatowa obrázky słowno-muzyczne, malowane przez Amandę Lear, na ile są odbiciem różnych stron życia, a na ile iluzją?

Oto one. „Hollywood Is Just a Dream When You're Seventeen”; sarkastyczny, ale i nie pozbawiony pewnej melanc-holii („Ja mam to już za sobą”) opis marzeń siedemnastoletnich dzie-tuch, utożsamiających siebie w roli przyszłych gwiazd Hollywoodu, po każdym kopciuszka przyjdzie księża na bia-łym koniu. Zaprzecze-niem tego niezłamanego jeszcze optymizmu jest „Love Amnesia”; podobnie pesymistyczne, choć w innym wymiarze są utwory „Red Tape” i „New York”. Oba są protestem przeciwko kuczacej się sferze prywatności w życiu, prze-ciwno kontrolującej wszystko i wszystkich biurokracji.

Utwory zasługują też inne utwory: „Berlin Lady”, będący jakby odbiciem (również mu-zycznym) przeboju Mery Hopkin sprzed lat „Those Were the Days”; jest to jednak odbicie w krzywym zwierciadle. „Nymphomania” jest z kolei krzywym, bo jednostronnym obrazem miłości — wy-dobywa jednak na wierzch to, co zazwyczaj psychika ludzka skrywa najgłębiej przed sobą.

Amanda Lear zapew-ne nie jest prorokiem; czas proroków rocka już minął, a przypie-czałowała go ostatecz-nie śmierć Lennona. Jest jednak świadkiem ery muzyki pop bez zhu-dzeń, rozdartej między sterowanym odgórnie protestem punk a tech-niczną sprawnością mu-zyki disco.

S. Danielewicz

lecz Naczelna Prokuratura Wojskowa w Warszawie była niewzruszona i podtrzymała areszt.

### Felieton do ekspertyzy

Na polecenie prokuratora prowadzącego śledztwo przeszukano mieszkanie dziennikarza oraz poddano ekspertyzie maszynopis artykułu dostarczony do sekretariatu „Dziennika Bałtyckiego”. Badanie miało wykazać, czy tekst został napisany na maszynie, którą zarekwirowano podczas rewizji dokonanej przez funkcjonariuszy Wydziału Śledczego w mieszkaniu Danielewicza.

Następnie Prokuratura Marynarki Wojennej w Gdyni skierowała za kwestionowany artykuł do Ośrodka Badań Prasoznawczych w Krakowie, aby ustalić, czy pierwsze litery poszczególnych akapitów mogły ułożyć się przypadkowo w zwrot „WRONA SKONA”. W obszernej odpowiedzi dr Maciej Chrzanowski przekonywał: nie może być mowy o przypadku. Analizę okraślił ideologicznym podsumowaniem: „A więc całkowicie wykluczając tu przypadek, musimy ów fakt uznać nie tylko za dowód osobistych poglądów, ale (co ważniejsze) za dokument braku jakiegokolwiek odpowiedzialności za prezentowane publicznie słowo. Funkcją dziennikarza jest kształtowanie opinii publicznej zgodnie z kierunkiem wytyczonym przez wydawcę i kierownictwo danej redakcji (w polskim przypadku, zgodnie z leninowską doktryną prasową i obowiązującym prawem, tym decydującym jest bezpośrednio PZPR). [...] Dlatego też mamy tu do czynienia z wykroczeniem, którym winny zająć się odpowiednie władze, wykroczeniem o dużej społecznej szkodliwości, a nie tylko z osobistymi, prywatnymi poglądami autora deklarującego się jako przeciwnik ideowych, politycznych, ustrojowych pryncypiów PRL”. Miażdżąca analiza artykułu Danielewicza osadzonego w areszcie śledczym w Gdańsku spowodowała przedłużenie przymusowego pobytu w odosobnieniu.

Jesienią 1982 roku osiem artykułów dziennikarza trafiło do ekspertyzy, którą przeprowadził doc. Józef Bachórz z Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego. W swojej ośmiostronicowej analizie Bachórz stwierdził, że nie można wykluczyć przypadkowości ułożenia poszczególnych liter akapitów w zwrot „WRONA SKONA”.

„Ze stylistyki i składni tekstu *Wracamy do płyt, o których się mówi* nie można więc wnosić, że słowa, jakie się układają z pierwszych liter akapitów, wynikły na skutek sztuczności toku składniowego lub z zastosowania środków stylistycznych, jakich autor nie używał w swoich wcześniejszych felietonach” – uzasadniał swoje wywody Bachórz.

Linia obrony przyjętą przez felietonistę była próba wykazania, że zwrot „WRONA SKONA” podług zasad statystycznych może pojawić się zupełnie przypadkowo w określonej liczbie artykułów. Z wycieńczonych matematycznych wykonanych przez oskarżonego i przesłanych do Sądu Marynarki Wojennej w Gdyni wynika, że raz na trzystaście bilionów razy pojawi się takie zestawienie słów. W ostatniej odsłonie batalii między organami sądowymi PRL a felietonistą z Gdańska głos zabrał językoznawca pracujący w Zakładzie Języka Polskiego Uniwersytetu Gdańskiego, dr Bronisław Ročławski. W marcu 1983 roku wydał on ekspertyzę wykonaną dla Prokuratury Marynarki Wojennej w Gdyni, w której odniósł się do wywodów matematycznych Danielewicza. Według wycieńczonych matematycznych przytoczona przez oskarżonego liczba trzystaście bilionów była zawyżona i powinna wynosić ok. 3 bln. W swojej analizie Ročławski zaznaczył: „S. Danielewicz słusznie stwierdza w zakończeniu wywodu, że przedstawiony przez niego materiał jest wystarczającym dowodem na możliwość przypadkowego pojawienia się nienormalnie odczytywanego zestawienia WRONA SKONA. Nasz wywód, chociaż

zmniejszył wartość tego prawdopodobieństwa, to jednak w niczym nie zanegował jego istnienia”.

### Jednak tylko wyszydzenie

10 marca 1983 roku Prokuratura Marynarki Wojennej w Gdyni wydała postanowienie o umorzeniu śledztwa przeciwko Stanisławowi Danielewiczowi. Na wstępie stwierdziła, że konieczna jest zmiana kwalifikacji czynu popełnionego przez Danielewicza: „można zasadnie najwyżej zarzucić wyszydzenie organu państwowego, a więc popełnienie przestępstwa z art. 273 § 1, a nie przestępstwa z art. 48 ust. 1 i 2 w zw. z art. 48 ust. 4 dekretu o stanie wojennym”.

Po zmianie kwalifikacji prawnej prokuratura zwróciła uwagę na to, że analizy ekspertów nie są jednoznaczne – albo potwierdzają linię obrony podejrzanego, jakoby chodziło o przypadek (biegli z UG w Gdańsku), albo sugerują, iż o przypadku mowy być nie może (Ośrodek Badań Prasoznawczych w Krakowie). Konkluzją postanowienia o umorzeniu śledztwa był brak dowodów popełnienia przestępstwa z art. 273 § 1.

Batalia stoczona przez dziennikarza z prokuraturą kosztowała go pobyt w areszcie śledczym w Gdańsku przez ponad dziewięć miesięcy i uczestnictwo w trzech rozprawach przed Sądem Marynarki Wojennej w Gdyni. Nie był to zresztą jedyny w stanie wojennym proces za wykonanie napisów antyrządowych. Wiele z nich kończyło się wyrokami skazującymi, ale to już temat na osobny artykuł. 📖

**Wojciech Wabik** – archiwista w Oddziałowym Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN w Gdańsku, współautor (z Karolem Lisieckim i Tomaszem Pankiem) książki *Gdańsk w stanie wojennym 1981–1983*



# W kazamatach Stasi

Filip Gańczak

Do dziś brak w Polsce muzeum przybliżającego losy więźniów komunizmu. Jak mogłaby wyglądać taka placówka, pokazuje Miejsce Pamięci w Berlinie-Hohenschönhausen.

**E**dda Schönherz (rocznik 1944) w NRD była znaną dziennikarką telewizyjną. Miała jednak dość życia w komunizmie. W czasie urlopu na Węgrzech latem 1974 roku odwiedziła ambasady USA i RFN, aby dopytać o możliwości emigracji. To wystarczyło, by została zatrzymana. Trafiała do Hohenschönhausen – centralnego aresztu śledczego Stasi w Berlinie Wschodnim. – Nie wiedziałam, gdzie jestem. Całymi dniami widziałam tylko strażników i przesłuchujących mnie funkcjonariuszy – wspomina. Po wyjściu na wolność mogła zapomnieć o dalszej karierze dziennikarskiej. W roku 1979 pozwolono jej wreszcie na wyjazd do RFN.

Dziś Edda Schönherz znów mieszka w Berlinie. Jest w grupie byłych więźniów politycznych NRD, którzy pełnią funkcję przewodników po Hohenschönhausen. – To dla nas obowiązek wobec młodszych pokoleń – tłumaczy. – Chcemy ocalić to miejsce od zapomnienia.

## Dom tortur

Przez Hohenschönhausen przewinęły się tysiące więźniów politycznych, w tym prawie wszyscy najbardziej znani erodowscy opozycjoniści. Zachowane dokumenty pokazują, że trafiali tu również Polacy. Pierwsze, czego żądano od nowo przybyłych aresztantów, to rozebrać się do naga. Trzeba było oddać wszystkie prywatne przedmioty, nawet bieliznę. ➤

➤ Kanclerz Niemiec Angela Merkel i Hubertus Knabe, dyrektor Miejsca Pamięci w Berlinie-Hohenschönhausen, zwiedzają jedną z cel; 2009 rok



Fot. Gadenstraße Berlin-Hohenschönhausen

Aresztu śledczego Hohenschönhausen nie było wówczas na planach miasta. Leżał na terenie obszaru zamkniętego, szczerze odciętego od świata zewnętrznego. Dziś może tu zajrzeć każdy. Od prawie dwudziestu lat w Hohenschönhausen istnieje Miejsce Pamięci. Odwiedziło je już 3 mln osób. W ubiegłym roku padł kolejny rekord – 354 tys. zwiedzających.

Muzeum to niecodzienne, bo przybyszów oprowadzają byli więźniowie. Przedstawiają historię Hohenschönhausen, a przy okazji przejmująco mówią o swoich losach. Tę wyjątkową koncepcję wykorzystano jeszcze tylko w Republice Południowej Afryki. Ogromna większość przewodników z przeszłością w ernerdowskich więzieniach nie zna jednak niestety języka angielskiego. Dla turystów, którzy nie są mocni w niemieckim, przewidziani są przewodnicy anglojęzyczni. Wówczas jednak mamy małą szansę, że trafimy na byłego więźnia.

Wycieczkę po Hohenschönhausen zaczynam od piwnic. Osadzeni nazywali tę starą część aresztu U-Bootem. Do cel – jak do zanurzonego okrętu podwodnego – nie docierało bowiem słońce. Światła dostarczała prymitywna żarówka, która paliła się nawet w nocy. Każdego, kto znał tylko życie na wolności, tutejsze warunki musiały szokować: betonowa podłoga, zbiorowa drewniana prycza, zamiast toalety – kubel z pokrywą. Początkowo nie było nawet ogrzewania ani wentylacji. Szerzyła się wilgoć, a w gorące dni zmorą była duchota.

Nie było to jednak najstraszniejsze miejsce w U-Boocie. Niepokorni mogli trafić do ciemnej klatki z sięgającą do kostek wodą, gdzie nie było nawet taboretu ani kubła. W piwnicach Hohenschönhausen jest też cela chińskich tortur wodnych. To szczególnie perfidna metoda zadawania cierpienia: krople kapią na głowę w krótkich odstępach czasu, co w założeniu ma doprowadzić do obłędu. To miejsce nie pozostawia zwiedzającego obojętnym, ale budzi też kontrowersje. Cela została zrekonstruowana na podstawie relacji jednego tylko więźnia. Nikt inny nie potwierdził jej istnienia.

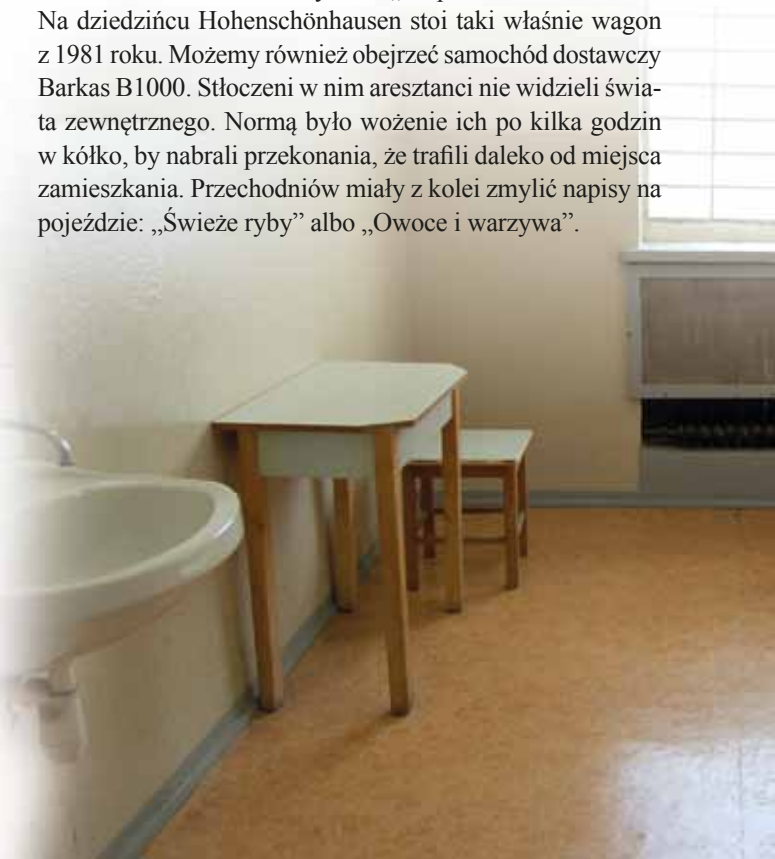
Faktem jest jednak, że w latach czterdziestych i pięćdziesiątych normą było maltretowanie więźniów, by wymusić zeznania obciążające kolegów bądź przyznanie się do rze-

komej winy. Z czasem zmieniono metody. Zrezygnowano z zadawania fizycznego bólu. Coraz sprawniej niszczone za to psychikę aresztowanych. Bardzo skuteczne były pozbawianie snu czy przede wszystkim izolacja. Nie dopuszczano, by więźniowie choćby mijali się na korytarzach. Zdarzało się, że w Hohenschönhausen równocześnie przetrzymywani byli małżonkowie, nawet o tym nie wiedząc. Osadzeni nie mieli też dostępu do poczty, radia czy telewizji. Przeniesienie do celi wieloosobowej wcale jednak nie musiało być wybawieniem, bo tam z kolei bywali umieszczani szpicle.

Na tle celi z czasów stalinowskich ta z końca lat siedemdziesiątych może się wydać luksusowa. Jest tutaj toaleta, są także umywalka z lustrem, stolik, krzesło, drewniane łóżko, szafka. Jednak zamiast szyby w oknie – luksfery. A w drzwiach nieodłączny wizjer. Zasady były bezwzględne. Więzień nawet w czasie snu nie mógł schować rąk pod koc. Niepokornym nadal groziła izolatka: całkowicie ciemna cela, wprawdzie bez wody na podłodze, ale także bez łóżka, krzesła czy choćby kubła na ekskrementy. Więźniowie bywali tam przetrzymywani nawet do dwóch tygodni.

W nowszej części aresztu można też zwiedzać pokoje przesłuchań. Przesłuchiwany musiał siedzieć prosto na prymitywnym taborecie, nie dotykając ściany. Przesłuchujący musiał zaś liczyć się z tym, że rozmowy są nagrywane. W rezultacie nie było szans, by autentycznie spoufalił się z więźniem. Mógł za to udawać życzliwość, żeby pozyskać jego zaufanie. Mógł też – by łatwiej złamać człowieka – np. okłamywać go, że jego żona również została aresztowana.

Do transportu więźniów były wykorzystywane specjalne wagony z kratami w oknach, od nazwiska pierwszego premiera NRD ironicznie nazywane „ekspresem Grotewohla”. Na dziedzińcu Hohenschönhausen stoi taki właśnie wagon z 1981 roku. Możemy również obejrzeć samochód dostawczy Barkas B1000. Stłoczeni w nim aresztanci nie widzieli światła zewnętrznego. Normą było wożenie ich po kilka godzin w kółko, by nabrali przekonania, że trafili daleko od miejsca zamieszkania. Przechodniów miały z kolei zmylić napisy na pojeździe: „Świeże ryby” albo „Owoce i warzywa”.





### Świat ofiar, świat sprawców

Wycieczka z przewodnikiem powoli dobiega końca. Na zwiedzających czeka jednak jeszcze nowa stała wystawa, otwarta z udziałem polityków 4 października tego roku.

Najpierw poznajemy perspektywę ofiar. W pierwszym, niewielkim pomieszczeniu oglądamy zdjęcia więźniów, wykonane tuż po ich przybyciu do Hohenschönhausen. Mężczyźni, kobiety, ludzie starsi i młodzi. Historii części z nich możemy posłuchać z nagrania.

Przechodzę do rozległej sali głównej. Wzdłuż ścian – w porządku chronologicznym – zaprezentowana jest historia Hohenschönhausen. W czasie II wojny światowej mieściła się tu duża kuchnia przemysłowa. W pobliżu były też baraki dla więźniów. W 1945 roku teren ten zajęła Armia Czerwona. Powstał tu obóz specjalny, a jesienią 1946 roku – centralny areszt śledczy dla sowieckiej strefy okupacyjnej Niemiec. Z tego okresu pochodzą niektóre z eksponatów: sowiecka pepesza czy kurtka, którą w chwili aresztowania przez NKWD miał na sobie znany aktor Heinrich George.

W 1951 roku teren Hohenschönhausen przejęło Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego NRD, znane lepiej jako Stasi. Do 1989 roku istniał tu – stopniowo rozbudowywany – centralny areszt śledczy, przeznaczony dla osób oczekujących dopiero na wyrok. Do roku 1974 w pobliżu znajdował się również tajny obóz pracy. Ostatni więźniowie opuścili Hohenschönhausen wiosną 1990 roku, kilka miesięcy po upadku muru berlińskiego.

Nielatwo w sposób przystępny opowiedzieć pół wieku ponurej historii tego miejsca. Organizatorom wystawy udało się to całkiem niezle. Teksty są krótkie, konkretne i dwujęzyczne (niemieckie i angielskie), nagłówki ograniczają się zwykle do jednego słowa. Narrację wzmacniają filmy i multimedia oraz przede wszystkim kilkaset eksponatów.

Duże wrażenie robi wśród nich chociażby zdjęcie rentgenowskie Dietera Hötgera, który przy próbie ucieczki do Berlina Zachodniego został postrzelony w płuco. Kawalek dalej widzimy już urządzenie, które mieszało z wodą podarte akta bezpieki, zamieniając je w bezwartościową papkę. To oczywiście schyłek NRD – czas po upadku muru berlińskiego. Do Hohenschönhausen trafił wtedy Erich Mielke – do niedawna wszechwładny szef Stasi. Osądzony został jednak nie za swój udział w umacnianiu enerdowskiej dyktatury, lecz za zabójstwo dwóch policjantów... latem 1931 roku. Na wystawie możemy zobaczyć hełm jednego z nich – z wyraźnie widocznym otworem po kuli.

Środkowa część głównej sali to już pięć wysp tematycznych, pokazujących różne aspekty z życia więźnia politycznego: uwięzienie, przemoc, przesłuchania, inwigilację i sposoby zachowania ludzkiej godności. Zobaczymy tu m.in. karty do gry, które jeden z więźniów zrobił z pudełek po papierosach, czy kamerę TFK 500, wykorzystywaną do monitorowania aresztantów.

Osobna część wystawy jest poświęcona sprawcom, czyli nadzorcom Hohenschönhausen. Poznajemy ich ścieżki kariery, życie codzienne i nowomowę. Możemy ▶




obejrzeć pokój kierownika Wydziału XIV Stasi (więziennictwo), starannie zrekonstruowany na podstawie zachowanych zdjęć. Albo posłuchać, jak byli pracownicy bezpieczeństwa opowiadają o swojej dawnej służbie, nie wykazując cienia skruchy. Siegfried Rataizick, wieloletni szef Wydziału XIV, do dziś mieszka zresztą niedaleko Miejsca Pamięci Hohenschönhausen. – Nie jesteśmy otoczeni wyłącznie przez przyjaciół – przyznaje dyrektor placówki dr Hubertus Knabe. Okolica nie przypadkiem nazywana bywa nieoficjalnie Stasihausen.

Epilog wystawy to jednak znów opowieści wybranych więźniów. To ich narracja ma tu przecież zwyciężyć.

### Koszykowa – polskie Hohenschönhausen?

W Polsce do dziś brak muzeum, które opowiadałoby o losach ofiar komunizmu. Najpierw pojawiły się plany, by takim miejscem stały się piwnice byłego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Koszykowej w Warszawie. To w tym budynku w czasach stalinowskich byli przetrzymywani liczni działacze podziemia niepodległościowego. Tu trafił dowódca Kedywu, gen. August Emil Fieldorf „Nil”. Tu zmarł w trakcie okrutnego śledztwa por. Jan Rodowicz „Anoda”. Zachowały się nie tylko cele, lecz również napisy i rysunki wykonane przez więźniów na ścianach.

Cztery i pół roku temu media informowały, że przy Koszykowej powstanie filia Muzeum Powstania Warszawskiego. Miałyby tam zostać pokazane powojenne losy powstańców – „komunistyczne represje wobec młodych ludzi, którzy nie spodziewali się, że będą prześladowani i torturowani za walkę o niepodległość”. Ministerstwo Sprawiedliwości – obecny gospodarz budynku – nieodpłatnie użyczyło w tym celu część piwnic. Pisano o otwarciu tego miejsca dla zwiedzających w 2011 roku. Dziś Muzeum Powstania nie chce podać nowej daty. Nieoficjalnie usłyszałem tylko, że w piwnicach wciąż trwają prace konserwatorskie.

Inna możliwa lokalizacja to ul. Strzelecka 8 na warszawskiej Pradze. W latach 1944–1947 w budynku tym mieściła się siedziba NKWD, a później Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. W piwnicach doskonale zachowały się numery cel i wyryte przez więźniów inskrypcje. O urządzeniu w tym miejscu muzeum myśli Instytut Pamięci Narodowej. Na razie to jednak melodia przyszłości. Tak jak pomysł, by muzeum ofiar komunizmu powstało w Sokółce koło Białegostoku. Polacy, którzy chcą z bliska zobaczyć stalinowskie kazamaty, wciąż więc muszą jeździć do Budapesztu czy Berlina...



# Skarb

Jerzy Eisler

**Pierwsza po wojnie polska komedia okazała się jednocześnie ostatnim filmem przedsorealistycznym w tym gatunku.**

**W** lutym 1949 roku miała miejsce premiera piątego wyprodukowanego w Polsce po II wojnie światowej filmu fabularnego. Była to komedia *Skarb*, zrealizowana przez twórcę pierwszego powojennego filmu fabularnego, *Zakazanych piosenek*, Leonarda Buczkowskiego, tym razem – nie wiadomo dlaczego – występującego pod pseudonimem Marian Leonard. Ponownie scenarzystą był Ludwik Starski, współpracujący w tym wypadku z autorem kilku komedii teatralnych Romanem Niewiarowiczem. Czterdzieści lat temu publicystka Barbara Mruklik słusznie podkreślała, że „obaj autorzy znali rzemiosło dramaturgiczne i temu należy zawdzięczać, że film odznaczał się zwartą i zręczną konstrukcją, wartką narracją, umiejętnym dozowaniem napięć, zręcznością dialogu oraz – dobrze podpatrzonym i trafnie stosowanym humorem sytuacyjnym”. Zresztą *Skarb* rozpoczyna purnonsensowe zdanie: „Warszawa po wojnie była jedynym miastem na świecie, w którym mogła się zdarzyć ta autentyczna historia, wymyślona przez autorów”, od razu wprowadzające widzów w pogodny nastrój, co cztery lata po wojnie było nieporównanie trudniejsze niż dzisiaj.

## Warszawskie mieszkanie w Łodzi

Przypomnieć więc warto, że akcja filmu rozgrywa się w Warszawie współcześnie w stosunku do momentu jego realizacji. W stolicy brakowało wówczas właściwie wszystkiego, z wyjątkiem ruin i gruzów, których – dla odmiany – było w nadmiarze. Trudno się zatem dziwić, że w tej sytuacji wśród najbardziej deficytowych „towarów” na pierwszym miejscu na pewno znajdowały się mieszkania. Właśnie do tego arcyproblemu ówczesnej Warszawy w sposób zabawny nawiązali twórcy *Skarbu*.

Ruiny, a także dość rzadkie jeszcze na lewym brzegu Wisły odbudowane bądź zbudowane od podstaw fragmenty ulic, stanowiły tło opowiadanej historii, a dzisiaj mówią nam sporo o tym, jak wyglądała wtenczas Warszawa. Ciekawostką również raczej dla dzisiejszych widzów niż tych z końca lat czterdziestych (znających przecież dobrze ówczesne realia) jest scena, w której główny bohater, spiesząc się na własny ślub, pyta o drogę młodych junaków odbudowujących Warszawę. Nie jest mu jednak łatwo zorientować się, gdzie jest Nowy Świat, gdyż pierwszy z nich okazuje się odbudowującym stolicę Polski ochotnikiem, a może

► Krysia (Danuta Szaflarska) i Witek (Jerzy Duszyński): młodzi małżonkowie marzący o własnym kącie, który w tużpowojennej Warszawie był nieosiągalnym luksusem



W *Skarbie* zagrała plejada gwiazd; na zdjęciu: Stanisław Jaworski, Ludwik Sempoliński, Wanda Jakubińska, Jadwiga Chojnacka, Alina Janowska, Adolf Dymśa, Wacław Jankowski, Kazimierz Szubert

Fot. FilMOTEKA Narodowa

„ochotnikiem” z Czechosłowacji, drugi z Rumunii, a trzeci jest wprawdzie Polakiem i rozumie pytanie, ale przyjechał ze swoją brygadą z... Częstochowy. Gwoli uściślenia należy dodać, że duża część zdjęć została zrealizowana we wnętrzach, które na potrzeby filmu stworzono w łódzkim atelier. Tam przede wszystkim wzniesiono dekorację odgrywającą rolę mieszkania wynajmowanego przez głównych bohaterów (niestety nie tylko przez nich, ale także przez dość przypadkową grupę ludzi) w suterenie zburzonej kamienicy.

### Komedia pomyłek

Jest to bowiem opowiedziana z humorem historia państwa Konarów: ekspedientki Krysi i Witka, kierowcy miejskiego autobusu (niezapomnianej dla starszych warszawiaków marki Chausson). W te role wcielili się Danuta Szaflarska i Jerzy Duszyński, którzy już w *Zakazanych piosenkach* zgrali razem, tyle że rodzeństwo. Co ciekawe, chociaż przez wiele lat byli powszechnie uznawani za najpopularniejszą w Polsce parę amantów, to nie zostało to w odpowiedni sposób wykorzystane przez filmowców i tylko raz – właśnie w *Skarbie* – wystąpili w roli młodych małżonków, którzy po ślubie nie mieli gdzie wspólnie zamieszkać. Krysia wróciła więc do swoich współlokatorek, Witek zaś do wielorodzinnego i wielopokoleniowego mieszkania kolchozu. Oczywiście ślub bohaterów miał wyłącznie cywilny charakter, jak to miało już być niemal we wszystkich polskich filmach zrealizowanych do 1989 roku, których akcja rozgrywała się współcześnie. Tym razem jednak twórcy pozwolili sobie jeszcze na pewną aluzję do ślubów kościelnych. Gdy pracownik Urzędu Stanu

Cywilnego spytał Witka o ślubne obrączki, ten, podając je, odpowiedział: „Są, proszę księdza, to znaczy, proszę pana”.

Film jest klasyczną komedią pomyłek. Witek po ślubie wynajął „okazyjnie” mieszkanie u sprytniej i wielce zaradnej Honoraty Malikowej (w tej roli znakomita Jadwiga Chojnacka), sądząc, że w dużym pokoju – z prawem użytkownika kuchni i łazienki – będzie mieszkał tylko ze swoją uroczą, nowo poślubioną żoną. W rzeczywistości im bliżej było do końca dnia, tym więcej współlokatorów – ku przerażeniu małżonków – pojawiała się w pokoju. Po kolei zjawiały się zabawne (dla widzów, lecz nie dla Konarów) postaci, wśród których szczególną uwagę zwracali: grany przez Ludwika Sempolińskiego elegancki radca Sass-Gromocki – „figura wzięta z przedwojennego wodewilu” – bardzo krytycznie odnoszący się do „nowych czasów”; siostrzenica Malikowej, Basia, grana przez pełną temperamentu Alinę Janowską; czy wreszcie odtwarzany przez Adolfa Dymśę nieco ekscentryczny pracownik Polskiego Radia, Alfred Ziółko, pracujący jako imitator dźwięków, co stało się przyczyną wielu zabawnych nieporozumień.

Jednak coś zupełnie innego zwraca w tym miejscu uwagę. Otóż Adolf Dymśa („Dodek”), który przed wojną był jednym z najpopularniejszych polskich aktorów, w okresie okupacji – wbrew decyzji konspiracyjnego Związku Artystów Scen Polskich, zakazującej występów polskim aktorom w niemieckich teatrach – pojawiał się na scenie w warszawskich teatrzykach rewijowych: „Komedia”, „Nowości”, „Niebieski Motyl” i „Jar”. Po wojnie, decyzją Sądu Koleżeńskiego ZASP, został za to ukarany zakazem występów w stolicy. Przez kilka lat grał w teatrach Łodzi, przy czym na plakatach jego nazwisko

początkowo zastępowano trzema gwiazdkami. Musiał także 15 proc. swoich zarobków przekazywać na potrzeby Domu Aktora w Skolimowie. Przez kilka powojennych lat Dymcza nie występował również w filmach. Właśnie w *Skarbie* po raz pierwszy po wojnie pojawił się na ekranie.

Wspominałem już, że film jest typową komedią pomyłek. Sam tytułowy skarb można, a nawet należy rozumieć na dwa sposoby. Po pierwsze, w taki czuły sposób nazywał główną bohaterkę jej mąż i tak na planie wymarzonego mieszkania podpisał miejsce, gdzie zamierzali postawić jej łóżko. Po drugie, osią fabuły jest domniemany skarb (wielkie bogactwo), rzekomo ukryty w ścianie wynajmowanego pokoju. Cała sensacyjna intryga filmu koncentruje się zatem wokół prowadzonych przez lokatorów feralnego mieszkania poszukiwań owego skarbu. Poszukiwania te – jak nietrudno było to przewidzieć – o mały włos nie zakończyły się tragicznie: zawaleniem się ruin kamienicy i śmiercią bohaterów. Ale *Skarb* jest komedią i akcja filmu nie mogła skończyć się tak źle. Nie taki przecież cel stawiali przed sobą jej twórcy, którzy chcieli raczej wywoływać na twarzach kinomanów uśmiech.

Chcieli także ludziom umęczonym wcześniej wojną i okupacją ze wszystkimi towarzyszącymi im konsekwencjami, a następnie mizérią życia w powojennej Warszawie, dać chwilę odpoczynku i rozweselić ich. Temu służyło m.in. wprowadzenie do filmu dwóch melodyjnych piosenek: *Warszawa, ja i ty* oraz *Jest taki jeden skarb*, zaśpiewanych przez popularny wokalny zespół żeński Siostry Do Re Mi. Muzykę do obu utworów stworzył znany przedwojenny kompozytor Jerzy Harald, a słowa napisali Jerzy Jurandot i Ludwik Starski.

### Drobnomieszczańskie gusty

Na podkreślenie zasługuje fakt, że film Leonarda Buczkowskiego miał premierę dziewięć miesięcy przed Zjazdem Filmowym w Wiśle, na którym dokonano „obrachunku osiągnięć i błędów kinematografii w pierwszych latach Polski Ludowej” oraz wytyczono „główne kierunki działania na przyszłość”. Kluczowe znaczenie miało wówczas wystąpienie Jerzego Albrechta, kierownika Działu Propagandy, Kultury i Oświaty Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, który stwierdził m.in., że „najważniejszym, najbardziej porównywalnym i najbardziej wyczekiwany przez widza tematem nowego filmu polskiego musi być dzień dzisiejszy, nasza codzienna praca i walka, wykrywanie niewidocznej wielkości naszej nowej codzienności”. Zdaniem Albrechta, „realizm socjalistyczny nie bagatelizuje sprawy formy, ale ponieważ decydujące znaczenie ma ideologia filmu, należy w dziedzinie środków formalnych odrzucić wszystko, co może przeszkadzać socjalistycznej treści, co zamazuje klasową istotę naszej walki, co do tej walki nie mobilizuje”.

*Skarb* był zatem ostatnią komedią – chciałoby się powiedzieć – „pre-socrealistyczną”, pogodną, beztroską, właściwie „wypraną z treści ideologicznych”. Być może właśnie dlatego obraz ten cieszył się u widzów ogromną popularnością, chociaż niektórzy krytycy zarzucali mu schlebianie „gustom drobnomieszczańskim” i wzorowanie się na infantylnych przedwojennych komediach. Na przykład Stanisław Grzelecki moralizował na łamach „Odrodzenia”: „Jest coś obrzydliwego w tym zjednoczeniu tak różnych ludzi wobec nadziei wzbogacenia się bez wysiłku”. Nie wszyscy jednak odnosili się do *Skarbu* równie krytycznie, a raczej równie „pryncypialnie”. Leon Kaltenbergh w „Filmie” odważnie przyznawał, że dobrze bawił się w kinie i chwalił polski styl komediowy, który opowiada „o rzeczach naszych, bliskich i znanych – wyraźnym i także bardzo »swoim« językiem”.

A czym jest dzisiaj dla nas *Skarb*? Można powiedzieć, że przede wszystkim zabytkiem, źródłem historycznym, świadectwem swoich czasów. Współczesny widz może nie tylko zobaczyć, jak wyglądała Warszawa w 1948 roku, gdy ten film kręcono, ale także to, jak grali dawno już nieżyjący wybitni aktorzy, będący legendą polskiego filmu i teatru. Możemy się też przekonać, co śmieszyło ówczesnych widzów, a w każdym razie, co ich powinno śmieszyć w zamyśle twórców tej pierwszej polskiej komedii powojennej. 🍷

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), „*Polskie miesiące*”, czyli *kryzysy w PRL* (2008)



➤ Warszawa w gruzach – istotny element scenarii *Skarbu*

# Konspiracyjne granaty

Michał Mackiewicz

Granaty ręczne to broń o genezie sięgającej starożytności. U schyłku antyku używano ich m.in. na Bliskim Wschodzie w formie ceramicznych pojemników wypełnionych ropą. Wielką popularność zyskały w Europie na przełomie XVII i XVIII wieku, kiedy to żołnierze elitarnych formacji grenadierskich byli szkoleni w miotaniu zaopatrzonych w lont żelaznych kul wypełnionych czarnym prochem. Potem granat stracił na znaczeniu, by odrodzić się w okresie I wojny światowej. Stał się odtąd masową, powszechnie wykorzystywaną bronią piechoty.

**U**stał się wówczas zasadniczy podział na granaty zaczepne i obronne. Pierwsze charakteryzowały się niewielkim promieniem rażenia. Działały na przeciwnika przede wszystkim siłą wybuchu, służyły do jego ogluszenia i obezwładnienia tuż przed atakiem. Natomiast granaty obronne miały ranić i zabijać. Stosowano je zza osłony, ponieważ promień rażenia był znacznie większy aniżeli odległość rzutu ręką. Rany powstawały nie tylko od siły wybuchu, lecz przede wszystkim od odłamków pochodzących z grubej żeliwnej skorupy, często nacinanej w celu lepszej fragmentacji.

## Z wrześniowych zasobów

Granatów nie mogło zabraknąć w arsenale polskiego ruchu oporu. Podobnie jak w przypadku broni strzeleckiej, cechowała je ogromna różnorodność, będąca odzwierciedleniem różnych źró-

deł pozyskiwania. Z początku zasadniczą część arsenału tworzyły wzory produkcji przedwojennej, które skwapliwie ukryto w dniach wrześniowej klęski. Należały do nich granaty obronne i zaczepne wz. 33, wyposażone w zapalnik Gr. 31. Skorupa pierwszego była wykonana z grubego żeliwa poddanego fabrycznej fragmentacji. Zapalnik z kilkusekundową zwłoką odbezpieczano przez wyjęcie zawleczonej. Promień rażenia sięgał 100 m, wobec czego granaty obronne należało stosować zza osłony (muru, okopu etc.). Granaty zaczepne były wyposażone w ten sam typ zapalnika, ale korpus wykonywano z cienkiej tłoczonej bla-

► Polski granat obronny wz. 33

► Powstaniec warszawski z filipinką w ręku

chy; zawierały one zwiększony ładunek wybuchowy (150 g trotylu względem 60 g w granacie typu obronnego). Do wybuchu wojny zdołano wyprodukować ponad 1,5 mln sztuk. Niepodobna dziś ocenić, ile z nich trafiło do rąk żołnierzy konspiracji.

## Z wytwórni AK

Dość szybko wrześniowe zapasy zaczęto uzupełniać własną produkcją. Przez całą okupację prym wiodły warsztaty zbrojeniowe ZWZ/AK, na które przypadło, jak się szacuje, 95 proc. całej podziemnej produkcji broni na ziemiach polskich. Pierwszym masowo wytwarzanym granatem była „filipinka”. Choć należała do udanych konstrukcji, była czasochłonna i trudna w produkcji. Zaliczała się do granatów zaczepnych. Została opracowana w roku 1940 przez Edwarda Tymoszaka „Filipa Tarłę” (od nazwiska i pseudonimu pochodzą dwie najczęściej używane nazwy granatu – ET-40 lub „filipinka”), pirotechnika z przedwojennej rembertowskiej wytwórni amunicji. Korpus był zbudowany z metalowego (w pierwszych egzemplarzach zastosowano tworzywo

sztuczne) walca, do niego mocowano zapalnik uderzeniowy – bezwładnościowy, natychmiastowego działania. Granat wybuchał w momencie uderzenia o ziemię: iglica biła w spłonkę, która zapalała materiał inicjujący, doprowadzając tym samym do eksplozji zgromadzonego wewnątrz korpusu szedytu (spłonkę i materiał inicjujący stanowił piorunian rtęci). „Filipinki”, które dla zmylenia Niemców oznaczano rosyjskimi literami Д.У.Г. (diesantnaja udarnaja granata), produkowano głównie w Warszawie w akowskim warsztacie przy ul. Królewskiej 16.

Chronologicznie drugim masowo wytwarzanym granatem była „sidolówka”, której montaż uruchomiono w 1942 roku. Okazała się zdecydowanie łatwiejsza i tańsza w produkcji aniżeli „filipinka”, wobec czego szybko się upowszechniła. Impulsem do jej opracowania było skonstruowanie praktycznego zapalnika pomysłu Władysława Pankowskiego, przedwojennego pirotechnika z wytwórni amunicji w warszawskim Forcie Bema. W przeciwieństwie do „filipinki” wyposażonej w zapalnik natychmiastowy, „sidolówka” (oznaczona oficjalnie w dokumentach symbolem R-42) miała zapalnik czasowy – tzw. tarciovyy. Korpus granatu wykonywano techniką odlewania, a jego kształt – w celach bezpieczeństwa – wzorowano na pojemniku z płynem do czyszczenia metalu (sidolu). Przed użyciem należało odkręcić korek zapalnika i obrócić granat tak, aby z wnętrza wypadła zawleczka. Jej gwałtowne szarpnięcie powodowało zatarcie masy zapalającej (jak w zapalkach), a ogień przedostawał się przez ścieżkę prochową do materiału wybuchowego. Czas spalania ścieżki prochowej (opóźniającej) był obliczony na 4,5 sek. „Sidolówka” także była zasadniczo granatem zaczepnym, chociaż nierzadko wewnątrz korpusu wypełniano dodatkowo metalowymi odłamkami.

► Mills

Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego



Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

► Niemiecki granat trzonkowy wz. 24

Konspiracyjne granaty były najczęściej wypełniane szedytem (mieszanką chloranu potasu i piorunianu rtęci), którego masową produkcję, obliczaną na blisko 70 ton, także uruchomiono w podziemnych wytwórniach. Trudno oszacować łączną liczbę granatów wyprodukowanych przez Armię Krajową (wytwarzano je nie tylko w Warszawie, lecz także w innych miastach, choćby w Krakowie, oraz w połowych warsztatach), ale można założyć, że sięgnęła przynajmniej 400 tys.

### Wybuchowa „międzynarodówka”

Granaty, jako stosunkowo prostą konstrukcyjnie broń, produkowały także inne organizacje, o nieporównywalnie mniejszych możliwościach wytwórczych aniżeli AK. Warto wspomnieć o popularnych „karbidówkach”, czyli ciężkich granatach, których korpusy wykonywano z metalowych puszek po popularnych wówczas lampach karbidowych. Stosowano do nich rozmaite zapalniki, m.in. przedwojenne polskie Gr. 31. Seryjną produkcję tych granatów uruchomiła w Warszawie komunistyczna Gwardia Ludowa.

Arsenał podziemia uzupełniali ponadto granaty zdobyczne, przede wszystkim niemieckie, m.in. trzonkowe wz. 24 (zwane „tłuczkami do kartofli”), ale także węgierskie, włoskie i radzieckie. Te ostatnie, m.in. obronny F1, pochodziły także ze zrzutów dla GL i Armii Ludowej oraz walczącej Warszawy (wrzesień 1944 roku). Wśród granatów angielskich dostarczanych do kraju drogą lotniczą wyróżniał się Mills (od nazwiska konstruktora, Williama Millsa), bez wątpienia jeden z najlepszych granatów obronnych II wojny światowej. W uzbrojeniu armii brytyjskiej znajdował się od 1915 roku. Był to jeden z pierwszych na świecie nowoczesnych granatów bezpiecznych dla użytkownika. W ciągu długiej kariery przeszedł kilka modyfikacji. No. 36M,

## Leszek Jan Grzelewski „Bogowski” z II Obwodu AK „Żywiciel”

„Byliśmy praktycznie nieuzbrojeni. Jediną moją bronią była jedna »sidolówka«. »Sidolówka« jest to granat własnej roboty, taka samodzielka, jak mówią teraz. Dlatego się nazywała »sidolówka«, że był taki płyn do czyszczenia metali, »Sidol«, i puszki do »Sidolu« idealnie się nadawały, miały dobry kształt. Specjaliści od materiałów wybuchowych wymyślili taki granat. Granat oczywiście zaczepny, on nie miał żadnej siły [...] To był ten granat, którego zresztą lepiej było nie rzucać, ponieważ co dziesiąty wybuchał. Po prostu miały wady, były kiepskie. To było takie podtrzymanie na duchu, że człowiek coś miał ze sobą i pilnował tego jak oka w głowie, bo jakby nie miał, toby już nic nie miał [...]”.

Źródło: Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego

który wyróżniał się odpornością na wilgoć, uznano w 1932 roku za standardowy. Granat składał się z żeliwnej skorupy, naciętej w celu wytworzenia podczas wybuchu większej ilości odłamków, centralnej rurki dwukanałowej, w której znajdowały się iglica ze sprężyną i zapalnik, materiału wybuchowego oraz dźwigni blokującej iglicę. Po wyciągnięciu zawleczki i rzuceniu granatu dźwignia pod wpływem sprężyny iglicznej była odrzucana, natomiast zwolniona iglica uderzała w spłonkę zapalającą; ta powodowała zapłon lontu, który z kolei zapalał spłonkę pobudzającą, doprowadzając tym samym do detonacji materiału wybuchowego i rozerwania skorupy granatu. Używano dwóch rodzajów zapalników: z opóźnieniem siedmiosekundowym (stosowano je do granatów wystrzeliwanych z karabinowego garlaczca) i czteroszekundowym (do granatów ręcznych). Odłamki raziły w promieniu ok. 100 m. ■



► Karbidówka

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historyczno-wojskowej, współautor książki *Kircholm–Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

# Orzeł krakowskich oddziałów automobilowych

Michał Nowakowski-Lipka,  
Tomasz Zawistowski

Przedmioty nie potrafią mówić. „Ileż ciekawych historii moglibyśmy usłyszeć, gdyby jednak potrafiły” – marzą kolekcjonerzy, obracając w rękach nieme pamiątki historyczne. Najcierpliwi czekają, zbierając okruchy informacji i próbując znaleźć pasujące do siebie elementy historycznej układanki. I czasem zdarza się, że na zadawane przez lata pytanie nagle i niespodziewanie uda się im usłyszeć odpowiedź. Tak właśnie stało się w przypadku orła krakowskich oddziałów automobilowych.

**P**ośród polskich pamiątek wojskowych przechowywanych w prywatnych i muzealnych kolekcjach znajduje się kilkanaście egzemplarzy orłów o bardzo charakterystycznym rysunku, noszących w polu tarczy amazońki archaiczny wizerunek samochodu widzianego z boku. Wykonane dość prymitywnie, techniką odlewu, najczęściej z mosiądzu, a niekiedy ze srebra, przez długie lata stanowiły dla badaczy tematu zagadkę.

## Tajemnicze litery

Na srebrnych egzemplarzach orłów zachowały się austriackie próby srebra, nierozpoznany imiennik „PS” i literka „E”, wskazująca na krakowskie wykonanie. Cechy takie bito do końca 1920 roku, co pozwoliło na ustalenie najpóźniejszej możliwej daty powstania orła. Oczywiście było, że nie mógł on powstać w okresie poprzedzającym wybuch I wojny światowej. Uzyskane w ten sposób zawężenie okresu poszu-

▶ Orzeł krakowskich oddziałów automobilowych

kiwać do sześciu lat nie dawało wiele z racji ogromnej liczby polskich formacji wojskowych istniejących w tym przedziale czasowym. Najbardziej prawdopodobne wydawały się lata 1919–1920, kiedy to odtworzone Wojsko Polskie w błyskawicznym tempie urosło do miliona żołnierzy. Dla któregoś z oddziałów tej burzliwej epoki musiało powstać tak nietypowe godło,

przypuszczalnie przeznaczone do noszenia na czapkach.

Rąbka tajemnicy uchyliło odnalezienie zestawu zdjęć po mjr. Gustawie Zaleskim. Oficer ten – który służbę wojskową zaczynał w 4. Pułku Piechoty Legionów Polskich i kontynuował ją, jeszcze w latach I wojny światowej, w stopniu wachmistrza w 2. Pułku Ułanów LP – podczas wojny bolszewickiej



Fot. ze zbiorów T. Zawistowskiego

► Kapitan Gustaw Zaleski z 5. Dywizjonu Samochodowego z orłem oddziałów automobilowych na czapce, Kraków, 1925 rok



Fot. ze zbiorów T. Zawistowskiego

był, w stopniu podporucznika, adiutantem krakowskiego oddziału wojsk samochodowych. Zdjęcia stanowiące jego pamiątki z tamtych lat były pierwszymi dowodami dokumentującymi używanie orłów z wizerunkiem samochodu. Charakterystyczny rysunek orła, niepodobny do kształtu jakiegokolwiek innego wcześniejszego czy późniejszego godła, nie pozostawia – mimo niezbyt dobrej jakości zdjęć grupowych – cienia wątpliwości. Poszukiwany orzeł widnieje na czapkach znacznej części uwiecznionych na zdjęciach oficerów.

#### Początki istnienia oddziału

„Z rozkazu brygadiera Roji obejmie pan natychmiast dowództwo nad kadrą i parkiem wojsk samochodowych

w Krakowie” – taki rozkaz otrzymał 31 października 1918 roku por. Tadeusz Piotrowski. Pisał on po latach: „Wsiadam na oczekujący przed domem samochód i wstąpiwszy po drodze na strażnicę pożarną wyciągam gwałtem od jej komendanta kpt. Nowatnego biało-czerwoną flagę, pędząc z nią na Dąbie [gdzie znajdował się Autoersatz-Depot] i pełniący tam austriackiej warcie dając rozkaz zaciągnięcia jej na maszt. Staję przed mym byłym austriackim komendantem i odczytuję mu otrzymany rozkaz, tłumacząc go po niemiecku. Zrozumiał. Twarz mu zadrgała. Pyta tylko, jak ma ów rozkaz wykonać. – Ogłosić przed frontem oficerów i żołnie-

rzy, jak zwykle. Zabrzmiał alarmowy dzwon. Z warsztatów, magazynów, garaży i hal wysypało się wszystko, co żyło. Podoficerowie wyciągnęli szeregi pod sznur. Zabrzmiała niemiecka komenda, zdano raport. Austriacki kapitan Liedler ostrym, powolnym, przybitym głosem ogłosił, iż zmuszony »siłą« oddaje władze w moje ręce. A za chwilę wydzielony przeze mnie oddział Polaków powtarzał za mną żołnierską rotę przysięgi na wierność Ojczyźnie »do krwi ostatniej kropli z żył«. Były komendant austriacki z palcem u daszka czapki, a za nim szereg oficerów i zastępy żołnierzy: Niemców, Czechów i Węgrów, oddawali pierwsze od tyłu lat honory wojskowe polskiemu żołnierzowi i jego przysiędze. Tak w tym ►

► Orły noszone przez oficerów

Fot. ze zbiorów T. Zawistowskiego

dniu zmieniano w Krakowie wszystkie warty po wieczne czasy”. Obecni przy tym wspominali, że żaden opis nie odtworzy tego obrazu, tej radości, tego nastroju pierwszego dnia wolności. Tak powstał pierwszy w Krakowie oddział wojsk samochodowych Wojska Polskiego: Zapasowy Korpus Samochodów Okręgu Krakowskiego. Jednostka ta, po kolejnych przekształceniach w Autonaczelnictwo Generalnego Okręgu Krakowskiego (w grudniu 1918 roku), w Dowództwo Wojsk Automobilnych Generalnego Okręgu Krakowskiego (w maju 1919 roku), w 5. Dywizjon Samochodowy (w sierpniu 1921 roku), wreszcie w 5. Batalion Czołgów i Samochodów Pancernych (w marcu 1934 roku), ostatecznie w roku 1935 przyjęła nazwę 5. Batalionu Pancernego.

Pomimo euforii chwili początki nie należały do łatwych. Oprócz zorganizowania sprawnie działającego oddziału należało zabezpieczyć przejęty dobytek przed zniszczeniem i grabieżą, do której nawoływali robotników magazynowych i warsztatowych agitatorzy komunistyczni. Warsztaty samochodowe, uruchomione już w trzecim dniu po przejęciu z rąk Austriaków, przystąpiły do naprawy posiadanego sprzętu i do opancerzania samochodów ciężarowych dla wojsk walczących z Ukraińcami pod Przemyślem. Jednostka zaspokajała bieżące potrzeby

Dowództwa Okręgu Korpusu Krakowskiego w zakresie transportu samochodowego i napraw taboru samochodowego, zestawiała i wyposażała kolumny samochodowe mające wyruszyć na front, zorganizowała szkołę kierowców i wyszkoliła w ramach trzech kursów oficerskich ponad stu oficerów samochodowych. W czasie trwania III Powstania Śląskiego Dowództwo Wojsk Automobilnych Generalnego Okręgu w Krakowie wydatnie wspomogło powstańców samochodami, motocyklami, a nawet rowerami. Pamiętając o tym, w 1938 roku to właśnie ziemia śląska ofiarowała 5. Batalionowi Pancernemu sztandar, którego fundatorem był Zarząd i Pracownicy Wspólnoty Interesów Górniczo-Hutniczych S.A. w Katowicach.

Trudności okresu walk o granice dość barwnie opisał po dwudziestu latach jeden z dowódców oddziału, mjr inż. Lucjan Myciński, późniejszy dyrektor Huty Batory w Chorzowie: „Największą naszą troską w początkach pracy było uchwycenie i zabezpieczenie całego materiału odebranego zaborcom, odebranie tych wozów i materiałów, jakie w czasie zamętu pierwszych dni zostały skradzione, i jak najszybsze uruchomienie warsztatów naprawczych, aby cały tabor samochodowy, który był w stanie gorszym niż złym, jak najszybciej odremontować i zrobić

zdatnym do użytku dla armii. Brakowało wszystkiego, poczynając od ludzi fachowo przygotowanych, materiałów pędnych, kół i części zapasowych. [...] Pamiętam nasze zdumienie i radość, kiedy gdzieś koło połowy listopada zgłosił się do nas żołnierz jeszcze w mundurze austriackim, który po rozpadnięciu się frontu włoskiego przyprowadził gdzieś spod Udine aż do Krakowa przez wszystkie przeszkody austriackie i czeskie samochód ciężarowy w dość dobrym stanie, wraz z wszelkiego rodzaju zdobyczą. [...] Praca, jaką w początkach wykonywaliśmy, była bardzo oryginalna. Z braku części zapasowych tworzyło się z trzech niekompletnych samochodów dwa, a czasem tylko jeden; często budowaliśmy dość dziwne zespoły, w których podwozie, silnik i karoseria pochodziły z trzech rozmaitych typów. Trzeba było sobie radzić jak się dało, gdyż zapotrzebowanie samochodowe z dnia na dzień rosło, a przemysłu samochodowego w Polsce wtedy także nie było. [...] w r. 1920 – spadło na nasze warsztaty duże i ciężkie zadanie uruchamiania i oddawania całymi kolumnami na front demobilu francuskiego. Mam do dziś dnia wrażenie, że z tym demobilem zachodziło grube nieporozumienie. Miarodajne czynniki w naczelnym dowództwie dysponowały tym materiałem i formacjami, jakie mieliśmy stwarzać,



tak jak gdyby to był materiał zdalny do służby polowej. W rzeczywistości był to w naszych oczach [z]łom samochodowy, z którego ani jednego wozu bez gruntownego remontu nie dało się uruchomić i z którego dla braku części zapasowych tylko ogromnym wysiłkiem udawało nam się kompletować kolumny”.

Z uwagi na specjalistyczny charakter prac przy sprzęcie motorowym przy jednoczesnym braku wystarczającej liczby wykwalifikowanego personelu wojskowego, warsztaty oddziału funkcjonowały głównie dzięki pracownikom cywilnym. W ocenie Zenona Druzgały, późniejszego urzędnika kontraktowego parku 5. Batalionu Pancernego, pracownicy warsztatów swoją postawą „wykazali, że oni również są żołnierzami, aczkolwiek nie noszą munduru i mają pełną świadomość dużej wagi ich roli dla Państwa oraz ciężącej na nich odpowiedzialności”. Potwierdziła to m.in. pochwała z ust Dowódcy Okręgu Generalnego Kraków, gen. por. Antoniego Symona, udzielona za to, że „w czasie krytycznym z początkiem lipca 1920 r. uchwalili robotnicy Okręgowych Warsztatów Samochodowych Nr 5 w Krakowie ofiarować na rzecz Państwa, aż do wyjaśnienia się sytuacji, 1 godzinę bezpłatnej pracy. Uchwałę tę utrzymali w mocy przez 3 miesiące, tzn. od 7 lipca do 30 września 1920 r. Niezależnie od tego pracowali wszyscy robotnicy Okręgowych Warsztatów Samochodowych w wyżej podanym okresie 2 do 3 godzin dziennie ponad obowiązkowych 8 godzin, a przy pilnych robotach poszczególne partie pracowały 2 dni i 1 noc bez przerwy”.

Obok zadań natury mechanicznej oddział zajmował się znakowaniem przygotowywanych pojazdów. Ciekawe wspomnienie pozostawił po sobie por. Józef Wolek, zapisawszy, że w trakcie formowania i wysyłania na front Polowej Kolumny Samochodów Ciężarowych nr 6 „Orły Polskie malowano na karoseriach samochodów już załadowanych na

► Metalowe godło naramienne szeregowych oddziałów wojsk samochodowych wprowadzone w listopadzie 1919, a zniesione w 1927 roku; godło noszone było na owalnej, czarnej, sukiennej podkładce (barwa patki wojsk samochodowych) na lewym rękawie kurtki mundurowej i płaszcza



Fot. ze zbiorów M. Nowakowskiego-Lipki

lorach”. Chęć posiadania własnego godła sprawiła, że wyprodukowana została pewna liczba godeł oryginalnego projektu, opatrzonych wizerunkiem samochodu takim samym jak na godle naramiennym oddziałów samochodowych, wprowadzonym od listopada 1919 roku. Nie wiadomo, kto był producentem. Z jednej strony odlanie, obrobienie i posrebrzenie orłów nie przekraczało zapewne możliwości warsztatów oddziału, niemniej opatrzenie jednego z godeł próbą srebra i imiennikiem wskazywać może na bardziej profesjonalnego wytwórcę galanterii mundurowej.

### Pełna identyfikacja orła

Dzięki zdjęciom mjr. Zaleskiego można dzisiaj stwierdzić, że zagadkowy dotąd orzeł był używany przez niektórych oficerów krakowskich oddziałów automobilowych w latach 1920–1925. O ile pierwszą z dat wyznaczają cechy srebra na jednym z egzemplarzy orła, o tyle drugą potwierdza prezentowane na s. 62 zdjęcie, przedstawiające kapitana Zaleskiego z omawianym orłem na czapce, a wykonane podczas powodzi, która nawiedziła Kraków

w 1925 roku. Otwarte pozostają trzy pytania: po pierwsze – o możliwość noszenia orła przez podoficerów, po drugie – o ewentualne używanie go w innych jednostkach automobilowych i po trzecie – o stosowanie go przed 1920 i po 1925 roku.

Może być, że omawiane godło wywodzi się z istniejącej w strukturach Dowództwa Wojsk Automobilowych w okresie od maja do listopada 1919 roku Szkoły Oficerskiej Wojsk Samochodowych. Dowódca szkoły, późniejszy dowódca 5. Dywizjonu, płk Tadeusz Piotrowski, nosił na czapce orła z wizerunkiem samochodu tak samo, jak kilku innych widocznych na zdjęciach młodszych oficerów. Powiązanie orła ze szkołą jest, jak dotąd, jedynie hipotezą.

Tak czy inaczej, dzięki odnalezieniu prezentowanych zdjęć orzeł z profilem samochodu na tarczy amazonek doczekał się identyfikacji. 🇵🇱

**Michał Nowakowski-Lipka** – prawnik, z zamiłowania zajmuje się historią polskiej broni pancerniej

**Tomasz Zawistowski** – autor trzech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1917–1945*

# Białostockie pole śmierci

Marcin Zwolski

Odsłonięte kilka tygodni temu w końcu października masowe pole grobowe ofiar powojennych i – prawdopodobnie – wojennych represji to jedno z największych w Polsce odkryć tego typu w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci. Mieszkańcy Białostocczyzny czekają na wyjaśnienie tajemnic cmentarzyska oraz identyfikację spoczywających w nim ludzi.

**N**a informacje wskazujące na masowe, potajemne pochówki ofiar zbrodni powojennych za murami Aresztu Śledczego w Białymstoku (na terenie dawnego przywieźniennego ogrodu i sadu) natknąłem się dziesięć lat temu. Wnioski o przebadanie tego terenu, mimo poparcia ze strony ówczesnej dyrekcji Oddziału IPN w Białymstoku, nie były realizowane. Sytuację zmieniły powołanie przez prezesa IPN dr. Łukasza Kamińskiego pełnomocnika ds. poszukiwań miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego w osobie dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka i pomyślnie ekshumacje na powązkowskiej „Łączce” w Warszawie. Klimat wokół szukania ukrytych miejsc pochówków ofiar totalitarnych zbrodni uległ radykalnej zmianie i wreszcie uzyskano odpowiednie finanse i wymagane zgody do przeszukania dawnego przywieźniennego ogrodu.

W lipcu 2013 roku Oddział IPN w Białymstoku, korzystając z życzliwości i pomocy władz AŚ i miejscowego Okręgowego Inspektoratu Służby Więziennej, skierował na wspomniany teren specjalistów, którzy pod kierownictwem Krzysztofa Szwagrzyka przeprowadzili badania sondażowe. W pracach uczestniczyli liczni wolontariusze. Już wtedy natknięto się na szczątki trzech ofiar (jedna z czaszek, należąca do bardzo młodego mężczyzny, nosiła ślady po postrzale w potylicę), nie odnaleziono jednak żadnych zbiorowych jam grobowych.

► Znaczna część wydobytych szkieletów jest kompletna i ułożona anatomicznie



Fot. P. Niziołek

Na podstawie tych znalezisk prokurator Zbigniew Kulikowski, naczelnik Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN w Białymstoku, wszczął śledztwo, w którego ramach zaplanował m.in. kontynuację eksploracji tego terenu. Chcąc w pełni wykorzystać wiedzę historyków i innych specjalistów o tym obszarze i popełnianych na nim zbrodniach, zdecydował o powołaniu do przeprowadzenia czynności poszukiwawczych i ekshumacyjnych m.in. członków zespołu, który prowadził badania w lipcu tego roku. W dalszych pracach kierowanych przez prokuratora Kulikowskiego wzięli więc udział prokuratorzy i historycy z białostockiego oddziału IPN (wśród nich autor niniejszego artykułu), pracownicy Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów (m.in. dr Andrzej Ossowski) oraz zespół archeologów, antropologów i specjalistów medycyny sądowej, kierowany od strony organizacyjnej przez Piotra Brzezińskiego. Całość prac archeologicznych nadzorował Adam Falis. Ekipa korzystała z doświadczenia Krzysztofa Szwagrzyka, obecnego przy wszystkich czynnościach. Do prac technicznych zatrudniono przedstawicieli Stowarzyszenia Grupa Wschód.

25 października rozpoczęto prace. Początkowo odnajdowano jedynie drobne kości ludzkie, należące prawdopodobnie do ofiar ekshumowanych w lipcu. Przeszukując kolejne obszary dawnego



Fot. P. Niziołek



► Wydobyty z jamy medalik z inskrypcją może pomóc w identyfikacji ofiary

ogrodu, ekipa stopniowo wykluczała obecność jam grobowych na dalszych jego fragmentach.

Przełom nastąpił 28 października. Po zerwaniu betonowej wylewki między dawną chlewnią a silosem spożywczym odkryto dziwne zmiany w strukturze ziemi, wskazujące na wykopanie w tym miejscu w przeszłości dwóch jam. Były one jednak puste, co mogło oznaczać, że coś zostało tam najpierw zagrzebane, a następnie odkopane i wyjęte. Znajomość relacji byłych więźniów, którzy opowiadali, że podczas kopania silosów wygrzebywali zwłoki pomordowanych i przenosili je w inne miejsce, wzbudziła podejrzenia, że odnaleziono ślady po ekshumacji sprzed lat.

Hipotezę tę uprawdopodobniła odkryta tuż obok trzecia jama, która była pełna. Spod ziemi wyłoniła się czaszka ludzka, potem druga i trzecia. Do powolnej, ręcznej pracy przestąpili archeolodzy i antropolodzy. Bardzo szybko okazało się, że odkryto zbiorową jamę grobową, a spoczywające w niej szczątki pozostały w układzie anatomicznym, co oznaczało, że było to miejsce pochówku pierwotnego.

Dalsze odkrycia następowały lawinowo. Do jamy grobowej przylegała druga, obok była trzecia, nieco niżej czwarta. Po częściowym odsłonięciu szkieletów stało się jasne, że na tym etapie nie będzie możliwe wydobycie ich wszystkich. Poszczególne jamy bowiem „wchodziły” pod budynek. Nie

chcąc doprowadzić do zdekompletowania pochówków oraz obawiając się, że może dojść do katastrofy budowlanej, prokurator Kulikowski zdecydował o przerwaniu prac i zabezpieczeniu jam grobowych do czasu rozbiórki budynku. Podjęto jedynie szczątki z jednej jamy grobowej, która znajdowała się w całości w odkrytym terenie. Po wyjęciu trzech szkieletów leżących na górze okazało się, że jest pod nimi kolejna warstwa – do jamy tej wrzucono sześć ofiar (w tym dwie kobiety). Z sąsiedniej jamy wydobyto medalik – wizerunek Matki Bożej Nieustającej Pomocy z inskrypcją: „Z błogosławieństwem Matki 4 III 1927”.

Przed zawieszeniem prac ekipa dokonała jeszcze jednego, bardzo ważnego odkrycia. W dalszej części terenu, na przedłużeniu odkrytego pola grobowego, w odległości 26 m od pierwszej jamy grobowej, wykonano wykop sondażowy, w którym znaleziono ludzkie kości. Dwa metry dalej, w drugim wykopie, były kolejne. Stało się jasne, że wiosną zespół powróci do dawnego ogrodu więziennego w Białymstoku nie tylko po to, aby wydobyć kilkanaście już zlokalizowanych szkieletów. Całe pole grobowe może mieć powierzchnię ponad 1,5 tys. m kw. i mogą w nim spoczywać dziesiątki, a nawet setki pomordowanych. Czy sprawdzą się szacunki historyków, według których tylko po wojnie spoczęło na tym terenie co najmniej dwieście ofiar? Z odpowiedzią na to i na inne pytania musimy poczekać kilka miesięcy. ■

Przed zawieszeniem prac ekipa dokonała jeszcze jednego, bardzo ważnego odkrycia. W dalszej części terenu, na przedłużeniu odkrytego pola grobowego, w odległości 26 m od pierwszej jamy grobowej, wykonano wykop sondażowy, w którym znaleziono ludzkie kości. Dwa metry dalej, w drugim wykopie, były kolejne. Stało się jasne, że wiosną zespół powróci do dawnego ogrodu więziennego w Białymstoku nie tylko po to, aby wydobyć kilkanaście już zlokalizowanych szkieletów. Całe pole grobowe może mieć powierzchnię ponad 1,5 tys. m kw. i mogą w nim spoczywać dziesiątki, a nawet setki pomordowanych. Czy sprawdzą się szacunki historyków, według których tylko po wojnie spoczęło na tym terenie co najmniej dwieście ofiar? Z odpowiedzią na to i na inne pytania musimy poczekać kilka miesięcy. ■

dr Marcin Zwolski – pracownik Referatu Badań Naukowych i Zbiorów Bibliotecznych DBEP IPN w Białymstoku, autor książki *Więzienie w Białymstoku w latach 1944–1956*



► Zespół specjalistów powróci do pracy na wiosnę

# Zapal Światło Wolności – tak było...

Anna Brojer

**W** ubiegłym roku wystartowała ogólnopolska kampania społeczna „Zapal Światło Wolności”, poświęcona ofiarom stanu wojennego, nawiązująca do wezwania prezydenta USA Ronalda Reagana, który zimą 1981 roku w bożonarodzeniowym orędziu do narodu mówił o sytuacji w centralnej Europie: „Polacy zostali zdradzeni przez własny rząd. Ci, którzy nimi rządzą, oraz ich totalitarni sojusznicy obawiają się wolności, którą Polacy tak bardzo umiłowali. [...] Niech płomień milionów świec w amerykańskich domach będzie świadectwem, że światła wolności nie uda się zgasić”. Podobnie jak ponad 30 lat temu prezydent USA, wezwaliśmy Polaków do symbolicznego upamiętnienia tych, którzy oddali życie lub narazili zdrowie w czasie stanu wojennego. Do naszej akcji przyłączyło się ponad 15 tys. internautów. Oto, jak uczciliśmy 31. rocznicę wprowadzenia stanu wojennego:

11 grudnia na ówczesnym budynku centrali IPN przy ul. Towarowej pojawiło się symboliczne światło przypominające mieszkańcom stolicy o nadchodzącej rocznicy.

Dwa dni później na stronach internetowych IPN uruchomiono wirtualne światło wolności. Klikając w wirtualną świeczkę, internauci oddawali hołd ofiarom reżimu gen. Wojciecha Jaruzelskiego: zabitym, rannym, osieroconym. Do końca dnia naliczyliśmy aż 15 687 kliknięć.

W całej Polsce światło wolności pojawiało się w oknach domów i szkół. Uczniowie ze szkół podstawowych i średnich zgłaszali prace w konkursie na fotografię dokumentującą udział w akcji. Dostaliśmy zdjęcia niezwykle: dopracowane w każdym szczególe, oryginalne. Najlepsze nagrodziliśmy zaproszeniami do stołecznego Teatru Kamienica i publikacjami edukacyjnymi IPN.

Na ulice Warszawy 13 grudnia z samego rana wyjechał zabytkowy ikarus, który niczym magiczny wehikuł przenosił swoich pasażerów do ponurych czasów zimy 1981 roku. Kursował trasą wyznaczoną miejscami związanymi ze stanem wojennym. Pasażerowie przejechali koło aresztu, gdzie więziono protestujących, koło siedziby Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”, ulicami, na których dochodziło do starć z policją. Na pokładzie można było wysłuchać komentarza historyka i koncertu piosenek opozycyjnych w wykonaniu Pawła Piekarczyka. Zabrzmia-

ły m.in. legendarne *Mury* i *Sentymentalna panna S.* Na jednym z przystanków do autobusu wsiadli członkowie grupy rekonstrukcyjnej w mundurach milicyjnych i przeprowadzili rewizję.

Na pl. Konstytucji warszawiaczy mogli oglądać wystawę „568 dni stanu wojennego”, upamiętniającą osobiste dramaty ofiar, indywidualne akty sprzeciwu Polaków, ale też różnorodność postaw podzielonego społeczeństwa. Jednym z jej wątków były reakcje podzielonego żelazną kurtyną świata na dramatyczne wydarzenia w Polsce.

Wieczorem 13 grudnia w Teatrze Kamienica Emilian Kamiński, jeden z tych aktorów, którzy w 1981 roku wzięli udział w bojkocie telewizji i rozpoczęli działalność w ramach tzw. Teatru Domowego, poprowadził spotkanie wspomnieniowe. Wśród zaproszonych gości był m.in. marszałek senatu Bogdan Borusewicz.

A jak będzie w tym roku? Zapraszamy do udziału!

Stwórz z nami nową tradycję! Bądź częścią historii! Zapal Światło Wolności! 🕯️

Anna Brojer – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN



Fot. A. Piwarska



Fot. P. Bieda

Zapal wirtualne Światło Wolności na [www.ipn.gov.pl](http://www.ipn.gov.pl) albo postaw światło w oknie w hołdzie ofiarom stanu wojennego (1981–1983) 13 grudnia o 19.30. Prześlij fotografię dokumentującą akcję na konkurs na adres: [edu@ipn.gov.pl](mailto:edu@ipn.gov.pl). Wygraj udział w wieczorze wspomnieniowym w warszawskim Teatrze Kamienica lub gry IPN.

Fot. R. Maciak

# Światło Wolności dla księdza Jerzego

Jeśli przestajemy pamiętać o przeszłości, przestajemy być ludźmi – mówi **Emilian Kamiński**, dyrektor Teatru Kamienica, w rozmowie z Karoliną Wichowską

**Pana najsłynniejszy numer popisowy z czasów stanu wojennego to *Bluzg* – nieprzebierający w słowach wiersz wyrażający wściekłość na Wojciecha Jaruzelskiego. Jak to się stało, że ten anonimowy utwór trafił do Pana repertuaru?**

Autor *Bluzgu* faktycznie nie jest znany, choć istnieje spore prawdopodobieństwo, że jest nim Jacek Kaczmarski. Sam też co nieco dopisałem. *Bluzg* jest o Jaruzelskim, tym dziwnym wodzu, który powołał do życia WRON, całe to chamstwo i zamordyzm. Tylko chciałbym zaznaczyć, że tamten tekst jest o tamtym generale, który był dyktatorem, a nie o tym starszym, schorowanym mężczyźnie, który dziś dożywa swoich dni.

**To wciąż ten sam człowiek.**

Nie. To jest starzec, którym bym się opiekował, gdyby była taka potrzeba. Wtedy jednak, w stanie wojennym, recytowałem *Bluzg* z pełnym przekonaniem, choć za coś takiego można było trafić na przesłuchanie czy nawet do więzienia. Publiczność Teatru Domowego reagowała niezwykle żywo, ludzie wybuchali śmiechem tak, że aż rozrywało mieszkania, w których występowaliśmy. Kiedy recytowałem *Bluzg*, siedziałem pod portretem gen. Jaruzelskiego, namalowanym przez Jurka Ciesielskiego w ten sposób, że obraz przypominał *Damę z łasiczką*, z tym że zamiast damy był Jaruzelski, a zamiast łasiczki – wrona.

W Teatrze Domowym było nas czworo: Ewa Dałkowska, Andrzej Piszczatowski, Maciej Szary i ja – ten z gitarą. Mieliśmy w repertuarze dwa spektakle: jeden poważny, który rozgrywa się w celi internowanych. Bohaterowie recytują wiersze i śpiewają piosenki – na własny użytek nazywam ten program spektaklem smutnym. Drugi program powstał z mojej inspiracji: postanowiłem, że czerwonemu pokażemy innego rodzaju rogi – rogi humoru. Poza *Bluzgiem* znalazły się tam różne skecze, m.in. *90, zgłoś się!* We trzech siedzieliśmy pod plandeką, czyli niby w radiowozie, a Ewa miała w ręku antenkę i grała dyspozytorkę dowodzącą tymi głębami. Tekst powstał na ➤

podstawie rozmów z suk, ich nagrania na kasetach można było zdobyć w drugim obiegu. Efekt był niebywale śmieszny, to była konkurencja dla *Bluzgu*. W ogóle podczas naszych występów panowała wspaniała atmosfera. Ludzie chłonęli każde słowo. Mieszkania były wypchane po brzegi, czasami pierwszy widz siedział pół metra przede mną i musiałem prosić o trochę miejsca dla gitary. Dziś warunki są zupełnie inne, mamy wolność, ale staram się, żeby Teatr Kamienica był kontynuacją tradycji Teatru Domowego – i sądzę, że to mi się udaje.

**Teatr Domowy powstał po tym, jak środowisko aktorów zdecydowało się na bojkot telewizji w warunkach stanu wojennego. W maju 1982 roku został wydany komunikat Solidarności Artystów Sceny i Filmu, w którym czytamy, że występowanie w telewizji i w radiu to kolaboracja. Bojkot jednak rozpoczął się wcześniej. Zapamiętał Pan jakiś konkretny moment, który można uznać za początek?**

Nie, to było oczywiste dla znacznej części środowiska artystycznego i właściwie od razu wypłynęło w naszych rozmowach. Ja też nie miałem najmniejszych wątpliwości, że telewizja stanu wojennego to ramię władzy i po prostu trzeba ją zbojkotować. Zawsze byłem antykomunistą i ucieszyłem się, że możemy działać w grupie, zakładając Teatr Domowy. On był solą w oku ubecji, ścigali nas bardzo długo i nie mogli dogonić.

**Niestety, z występów w mieszkaniach i salkach katechetycznych nie sposób było się utrzymać. Jak Pan sobie wtedy radził?**

Znam się na stolarce i hydraulice, potrafię malować, więc remontowałem ludziom mieszkania. Chcę tu jednak zaznaczyć, że nie potępiam tych kolegów, którzy nie wzięli udziału w bojkocie. Mnie było łatwiej podjąć taką decyzję, bo byłem wtedy jeszcze kawalerem. Jeśli ktoś ma na utrzymaniu rodzinę, perspektywa jest zupełnie inna. Ja się nawet specjalnie nie bałem przesłuchania ani więzienia właśnie dlatego, że byłem sam. Muszę też powiedzieć, że kiedyś na przesłuchaniu w pałacu Mostowskich jeden major mi powiedział: „Niech pan będzie spokojny, panie Emilianie. Pan jest aktorem, o pana upomniałoby się kilkanaście tysięcy ludzi w tym mieście”. I byłem spokojny. Trochę obity, ale spokojny...

**Kiedy Pana pobito?**

To był 1983 rok. Zgarnęli mnie prosto z ulicy przy rondzie Wiatraczna i moim samochodem zawieźli do pałacu Mostowskich. Ale naprawdę nic takiego się nie stało, nerka się trochę uszkodziła... Kiedyś dziennikarka mnie zapyta-



Fot. P. Życiński

**Emilian Kamiński** (ur. 1952) – aktor, reżyser teatralny, filmowy i musicalowy, wokalista, pisarz. Dyrektor Teatru Kamienica w Warszawie. W stanie wojennym występował w podziemnym Teatrze Domowym Ewy Dąkowskiej. Odznaczony m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

ła: „Co pan czuł, cierpiąc za miliony?”. Odpowiedziałem jej, żeby raczej zapytała te miliony, bo to ci ludzie byli tak naprawdę uciemiężeni, a nie ja. Naprawdę czułem się wolny, robiłem to, co mi pasowało. Teatr Domowy był dla mnie przeciwstawieniem się temu zasnemu Związkowi Radzieckiemu. Nie Rosjanom, przeciwko którym nic nie mam, tylko właśnie Związkowi Radzieckiemu, w którym starano się udowodnić, że nie ma żadnych wartości: ani sumienia, ani Boga, ani zasad; że złodziej i bandzior może być u władzy, byle tylko zachowywał linię partii. Ta atmosfera udzielała się naszym widzom: mieli poczucie, że uczestniczą w czymś nielegalnym, przeciwko temu wszystkiemu, co się dzieje za oknem, przeciwko temu czerwonemu gównu, które nas zalewało.

**Wspominał Pan, że ścigała Was bezpieka. Zdarzało się, że podejrzewał Pan kogoś z widzów o to, że przyszedł na przedstawienie służbowo?**

Nieraz tak było. W naszej grupie właśnie ja odpowiadałem za bezpieczeństwo. Ktoś z widowni kiedyś na przykład zaczął robić nam zdjęcia. Natychmiast wyrwałem ten aparat i zabrałem film. Ktoś dwukrotnie próbował nagrywać – nie miał szans! Puściłem mu wiankę dużo ostrzejszą niż *Bluzg*, a on widział moje złe oczy i bardzo silne ręce. Byłem na to bardzo wyczulony, nigdy nie dopuściłem do żadnej dokumentacji naszych występów. Nawet, gdyby to zrobił ktoś z nami zaprzyjaźniony, to i tak nagranie albo zdjęcie mogłoby zostać wykorzystane jako dowód przeciwko nam. Komuniści nie znosili niczego, co było poza ich kontrolą, co było wolne...

**W tym roku już po raz drugi weźmie Pan udział w akcji Instytutu Pamięci Narodowej „Zapal światło**

**wolności”. Świeczka, którą postawimy w oknach, upamiętnia osoby, które w stanie wojennym zginęły albo były aresztowane czy w inny sposób represjonowane. Myśli Pan o kimś konkretnym, zapalając taką świeczkę?**

O ks. Jerzym Popiełuszce. To był taki kolega kapelan Teatru Domowego, spędzaliśmy razem bardzo dużo czasu. Uczył nas, jak się zachowywać w czasie przesłuchań: mówić bzdury, jak najwięcej przmiotników, ale nie wyjawiać prawdziwych szczegółów, nawet takich, które pozornie nic nie mówiły śledczym. Rozmawialiśmy bardzo dużo na bardzo poważne tematy. Mam poczucie, że mimo swojej śmierci ks. Jerzy nigdy mnie nie opuścił, ale muszę powiedzieć, że wiadomość o tym, że został zamordowany, wywołała we mnie nienawiść do jego oprawców. Nie potrafię im wybaczyć. Nie wyobrażam sobie, jak mógłbym zapomnieć o stanie wojennym, w ogóle o przeszłości. Codziennie od wielu lat powtarzam sobie trzy pytania: Kim jesteśmy? Dokąd idziemy? Skąd przychodzimy? I codziennie próbuję znaleźć na nie odpowiedź. Jeśli przestajemy pamiętać o przeszłości, przestajemy być nie tyle Polakami, ile ludźmi w ogóle, zmieniamy się w jakieś komputerowe bezmózgi.

**A jednak coraz częściej słyszymy: nie warto rozpamiętywać przeszłości, skończmy z tą martyrologią. Popularna wokalistka śpiewa „Sorry Polsko,**



Fot. P. Życieński

**nie każ mi Lumierać!]" – tak jakby ktokolwiek oczekiwał śmierci bez powodu albo jakby śmierć w obronie ojczyzny była kiedykolwiek czymś hobby.**

W moim ogródku jest kapliczka upamiętniająca Emila Rejnowicza, powstańca styczniowego, który zginął w wieku 27 lat. Zginął po to, żebyśmy mogli żyć normalnie! A wokalistkę bym zapytał: Marysiu, a w jakim języku śpiewasz? 🍷



► Wieczór upamiętniający ofiary stanu wojennego; Warszawa, Teatr Kamienica, 13 grudnia 2012 roku

Fot. P. Życieński

MIEJSCE  
UŚWIĘCONE  
MĘCZEŃSKĄ KRWIĄ  
KILKuset POLAKÓW  
ZAMORDOWANYCH  
I SPALONYCH  
PRZEZ HITLEROWCÓW  
1939 - 1945

## Będziemy z Wami co roku...

**Anna Gruszecka, Agnieszka Łuczak**

„Dziękuję wszystkim za zainteresowanie akcją!!!” – napisał pod zdjęciami z inicjatywy „Zapal Znicz Pamięci”, umieszczonymi na stronie internetowej Radia Merkury, wnuk jednego z zamordowanych w egzekucji 21 października 1939 roku w Kostrzynie, dziś przebywający poza Polską.

**N**a zdjęciach z Leszna widać prawnuczkę zamordowanego wówczas nauczyciela Bolesława Karpńskiego, a jego wnukowie przy tablicy upamiętniającej egzekucję z jesieni 1939 roku pokazują pamiątki po dziadku. Dla nich pamięć o dokonywanych przez Niemców egzekucjach z jesieni 1939 roku, które zalały krwią Wielkopolskę, jest pamięcią rodzinną, niemal codzienną. Dla innych uczestników akcja „Zapal Znicz Pamięci” to lekcja historii. „Wspaniała inicjatywa, superpomysł – będziemy z Wami co roku” – piszą uczniowie, nauczyciele i rodzice z Sieradza. „Włączyliśmy się w akcję po raz pierwszy, ale zobowiązujemy się corocznie brać udział” – deklarują członkowie Szkolnego Koła Towarzystwa Miłośników Ziemi Łęczyckiej.

### Rower i Facebook

Kolejne fotografie przychodzą z Byszek. Tam rowerzyści z Piły i okolic zapalają znicze razem z mieszkańcami. Uczestnicy akcji w Toruniu rozmawiają z Henrykiem Klimkiem, synem jednego z bohaterów tegorocznej akcji, Władysława Klimka. Pan Henryk, po tym jak Niemcy zamordowali jego ojca, wraz z rodzeństwem i matką został uwięziony w obozie Szmalcówka. Dziś wraca tam i opowiada swoją historię. Rodzina ks. Ksawerego Szynalewskiego przysłała zdjęcia z Piaśnicy, gdzie zginął ich krewny, przy okazji pokazując skalę popełnionej tam zbrodni. Rowerzyści z Kościana jak co roku objeżdżają swój powiat, aby w kilku miejscach zapalić znicze i przypomnieć sobie imiona zamordowanych. Harcerze na Śląsku umieszczają zdjęcia na specjalnym profilu Facebooka. Znicze w tegoroczną niedzielę

20 października płonęły w Krępie Kaszubskiej i Gęsi, Jabłonowie Pomorskim, Lidzbarku, Trzemesznie, Niewolnie, Łodzi, Radogoszczy, Bydgoszczy, Toruniu oraz kilkuset innych miejscach kaźni na terenach, które w czasie II wojny światowej zostały wcielone do III Rzeszy, a nawet w Berlinie, gdzie również byli mordowani Polacy.

Zapalanie zniczy to odzew mieszkańców tych terenów na wezwanie pięciu rozgłośni radiowych, aby w ten sposób upamiętnić przedstawicieli polskich elit zamordowanych w pierwszych miesiącach okupacji niemieckiej 1939 roku. Do końca 1939 roku Niemcy zamordowali na ziemiach włączonych do Rzeszy ok. 40 tys. osób.

### Zaczęło się w Poznaniu

Akcja „Zapal Znicz Pamięci” rozpoczęła się od kilkudziesięciu zapalonych zniczy w Wielkopolsce. W 2009 roku Radio Merkury – rozgłośnia regionalna Polskiego Radia w Poznaniu – we współpracy z poznańskim Biurem Edukacji Publicznej IPN zainicjowało akcję przypominania o zaplanowanej i przeprowadzonej przez Niemców zagładzie polskich elit w Wielkopolsce, o terrorze niemieckim, którego doświadczyli mieszkańcy zachodnich terenów II RP podczas II wojny światowej, oraz o specyfice okupacji na tym terenie. Zapalenie znicza i przesłanie zdjęcia na stronę internetową Radia Merkury jest za każdym razem pretekstem do przypomnienia bohaterów przeszłości, ludzi, którzy dla potężnej III Rzeszy byli niebezpieczni przez sam fakt swojego istnienia. Akcja poprzedzona została działaniami edukacyjnymi – na antenie radiowej mówiono o codzienności Kraju Warty, okręgu III Rzeszy utworzonego



Fot. M. Żabiński



z Wielkopolski i ziemi łódzkiej; opowiadali świadkowie i historycy. Specjalny radiowy słownik przybliżył odległe dziś na szczęście pojęcia okupacyjnej rzeczywistości.

Data została wyznaczona na październikową niedzielę, poprzedzającą trzydniową serię egzekucji polskich elit w kilkunastu wielkopolskich miasteczkach. Tegoroczna akcja po raz drugi objęła również inne ziemie wcielone do III Rzeszy i została zorganizowana we współpracy z rozgłośniami regionalnymi Polskiego Radia w Katowicach, Łodzi i Bydgoszczy (Radio PiK) oraz z Radiem Plus Gdańsk, a także z oddziałowymi biurami edukacji publicznej IPN w tych miastach. Do opowieści o bohaterach czasu pokoju, czasu wytężonej pracy, którzy za swoją aktywność zapłacili najwyższą cenę, tym razem dołączyliśmy historię ich najbliższych i kolejnych setek tysięcy mieszkańców zachodniej Polski, którzy od 12 października 1939 roku byli pozbawiani swoich domów i mienia podczas przymusowych wysiedleń prowadzonych przez Niemców. Co najmniej 414 tys. osób zostało wówczas wyrzuconych ze swoich mieszkań, przepędzonych do obozów przesiedleńczych, a później wywiezionych do Generalnego Gubernatorstwa i wysadzonych z pociągów na przypadkowych stacjach. Tam musieli na nowo układać swoje życie.

### „Wysiedlić inteligencję!”

W pierwszych transportach znalazły się rodziny osób rozstrzelanych w publicznych egzekucjach. Do wysiedlenia wybierano osoby, które były aktywne politycznie, zdolne do pełnienia roli przywódców lub do działania w konspiracji nie-

podległościowej, należały do polskiej inteligencji. Uwzględniano także posiadany majątek i miejsce zamieszkania. Istotnym czynnikiem była niechęć miejscowych Niemców. Ponadto wysiedleniu miały podlegać również osoby, które osiedliły się na ziemiach zachodnich po 1918 roku. Niemieckie władze polecały zwracać szczególną uwagę na wysiedlanie w pierwszej kolejności inteligencji: „Oczyszczenie i zabezpieczenie Okręgu przeprowadzone zostanie wówczas ze wszystkimi konsekwencjami, jeśli usunięte zostaną: duchowa warstwa przywódcza, cała inteligencja oraz wszelkie elementy polityczne i kryminalne. Usunąć należy także wszystkie osoby świadomie odczuwające polskość” – czytamy w instrukcji z tamtego okresu.

Mieszkańcom ziem zachodnich szczególnie utkwily w pamięci wysiedlenia grudniowe w 1939 roku, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, którym towarzyszyły dotkliwe mrozy (nawet do  $-40^{\circ}\text{C}$ ). „Codziennie rano ze wszystkich dzielnic miasta napływały wiadomości o porwaniu ubiegłej nocy masy ludzi, a wśród nich naszych znajomych. Stało się rzeczą pewną, że lada noc ten sam los nas czeka – opisywał sytuację pod koniec 1939 roku w Poznaniu prof. Stanisław Kasznica, rektor Uniwersytetu Poznańskiego. – Aż wreszcie nadszedł wieczór 13 grudnia, środa. Jadą... [...] weszli do nas... po nas. Wkładamy płaszcze, rzucamy się do pakunków [...] *Schneller, Herr Professor!* [...] Pociąg złożony prawie wyłącznie z krytych wagonów »bydlęcych«. Był już przepelniony. Wcisnęliśmy się jednak z największym trudem [...]”.

Wśród bohaterów przypominanych podczas tegorocznej akcji jest prof. Stanisław Pawłowski, znakomity geograf światowej sławy, rektor Uniwersytetu Poznańskiego. Jego syn, Zbigniew, zapalił zniczkę pod pomnikiem Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej w Poznaniu, bo miejsce spoczynku jego ojca zamordowanego w Forcie VII jest nieznanne. Profesor Zbigniew Pawłowski, nestor polskiej medycyny tropikalnej, podczas wojny stracił nie tylko ojca, ale także brata i siostrę, zamordowanych w Auschwitzu.

Za akcję „Zapal Znicz Pamięci”, upamiętniającą męczeństwo Polaków na terenach wcielonych do III Rzeszy, poznańskie Radio Merkury zostało zakwalifikowane do finału konkursu Strażnik Pamięci tygodnika „Do Rzeczy” w kategorii Instytucja. Finaliści zostali wybrani spośród ponad 170 zgłoszonych twórców, ponad sześćdziesięciu instytucji i dwudziestu mecenasów wspierających pamięć historyczną.

Od początku patronat honorowy nad akcją obejmuje marszałek województwa wielkopolskiego Marek Woźniak.

Anna Gruszecka – dziennikarka  
poznańskiego Radia Merkury

dr Agnieszka Łuczak – naczelnik  
Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN  
w Poznaniu



Fot. J. T. Łożyński

# Dwie twarze Bandery

**T**rudno dziś o postać dzielącą Polaków i Ukraińców bardziej niż Stepan Bandera. Dla pierwszych to terrorysta, ludobójca, krwawy współpracownik Hitlera, dla drugich – bohater narodowy, przywódca ruchu narodowyzwoleńczego, jeden z ojców założycieli niepodległego państwa ukraińskiego. Wiesław Romanowski w swojej książce stara się skonfrontować te dwa portrety Bandery na podstawie faktów znanych z najnowszych publikacji naukowych.

Do rąk czytelnika trafia jednak nie monografia naukowa, lecz reportaż, w którym nie brak subiektywnych, choć mających poparcie w źródłach poglądów autora, wieloletniego korespondenta TVP na Ukrainie. Jako aktywny świadek najnowszej historii Ukrainy, Romanowski kreśli własną wizję Bandery. Trzeba przyznać, że mimo braku aparatu naukowego wykreowany przezeń portret prezentuje się przekonująco.

Stepan Bandera, jedno z ośmiorga dzieci greckokatolickiego duchownego z podkarpackiej wioski, miał wszelkie predyspozycje, aby zostać liczącą się postacią w swojej miejscowości. Jednak przekonany o swej misji życiowej, w której widział siebie wśród władców Ukrainy, wolnej od Polaków, Rosjan, Żydów i innych prawdziwych lub rzekomych okupantów, wstąpił na drogę „narodowej rewolucji”, wytyczoną przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów, znaczącą aktami politycznych mordów, terroru i sabotażu.

Drogę, która zaprowadziła go w mury polskich więzień i do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, gdzie jednak pędził żywot więźnia „specjalnej troski” i nadal czekał na propozycję współpracy od nazistów. Drogę, która wreszcie przywiodła go na wygnanie do Bawarii. Podczas swego „długiego marszu” Bandera poświęcił życie wielu swoich podwładnych, uważał bowiem, że skoro on gotów jest złożyć swoje życie na całopalnym ołtarzu wolności Ukrainy, to dlaczego nie mają tego zrobić inni. Jak jednak było z tą wolnością?

OUN nie ukrywała swych faszystowskich zapędów i była partią jawnie wodzowską. Wodzem chciał być Bandera. Przeciwników politycznych zamierzał zniszczyć, podobnie jak „niełojalne” mniejszości narodowe. Szlak, którego metą było ukraińskie imperium rozciągające się od gór Kaukazu po tatrzańskie szczyty i od błot Prypeci po Morze Czarne, wieść miał po trupach nieprzyjaciół. Silniejszy miał rację, słabszy musiał mu ustąpić lub zginąć. Takie poglądy kształtowały młodemu Banderę, pozwalając mu przynajmniej częściowo zapomnieć o kompleksach wynikających z niepozornej postury (miał 160 cm wzrostu) i ubogiej propozycji programu społecznego ukraińskich nacjonalistów. Przemoc i gwałt miały zastąpić dyskusję o charakterze ewentualnego przyszłego państwa.

Z raz obranej ścieżki Bandera nie szedł do kresu życia, zakończony strzałem ze szklanego pistoletu rozpylającego cyjanek. Zabił go agent KGB, Ukrainiec Bohdan Staszynskij. Trudno zaprzeczyć twierdzeniu autora książki, że tym strzałem dał skompromitowanemu i zapomnianemu Banderze drugie życie, przysparzając mu aury męczennika za sprawę ukraińskiej wolności, kolejnej ofiary Sowietów. Starzejący się, sfrustrowany terrorysta, wożący w swoim samochodzie pistolet i łom („tak na

wszelki wypadek”), którego działalność ograniczyła się w zasadzie do organizowania kameralnych uroczystości o wydźwięku szowinistycznym, zdobywający fundusze na aktywność przez wymuszenia na członkach ukraińskiej diaspory w Republice Federalnej Niemiec, „miłosiernym” strzałem moskiewskiego zabójcy otrzymał niemalże nimb świętości. Wiedza o jego śmierci prędko dotarła na brutalnie sowietyzowaną Ukrainę, wiedza o ciemnych kartach jego życia nadal czeka na przyjęcie w wolnym dziś państwie ukraińskim.

Wydaje się, że autor mógł znacznie więcej miejsca poświęcić obecnemu kultowi Bandery, który rozwija się przy aktywnym współudziale lokalnych władz zachodnioukraińskich, zjawisku tym boleśniejшему dla Polaków, że towarzyszy mu zanik pamięci o cywilnych ofiarach nacjonalistów. W czasie brutalnej czystki etnicznej (1943–1946) Bandera przebywał w Niemczech, ale nie ulega wątpliwości, że ponosi on moralną odpowiedzialność za zbrodnie popełnione z rozkazów OUN i UPA.

Należy zwrócić uwagę na nieobecne właściwie dotąd w polskiej historiografii dokumenty wywiadu amerykańskiego, rzucające na lidera OUN-B krytyczne światło. Agenci amerykańskiego wywiadu wojskowego (CIC) donosili, że Bandera zamierzał zaprowadzić dyktaturę na Ukrainie wyzwolonej w wyniku III wojny światowej. Jego grupa miała zastraszać przeciwników politycznych i terroryzować ukraińskich emigrantów w celu pozyskania środków na dalszą działalność zagranicznej sieci OUN. On sam podróżował zaś po Niemczech w towarzystwie uzbrojonych ochroniarzy – byłych partyzantów UPA i bojówkarzy Służby Bezpieczeństwa OUN. W raportach CIC był określany mianem osoby „szczególnie niebezpiecznej”. Mimo to CIA przestrzegala wywiad RFN przed „rewelacjami” Bandery i jego współpracowników, rzekomo funkcjonujących w Czechosłowacji, Polsce i na sowieckiej Ukrainie, gdyż „albo nie istnieli, albo byli nieefektywni”.

Na krótko przed zerwaniem kontaktu z Banderą przez agentów brytyjskiego MI6, w jednym z dokumentów wywiadowczych, datowanym na połowę 1954 roku, tak pisano o przywódcy OUN-B: „[...] jest profesjonalnym działaczem podziemia z przeszłością terrorysty i twardymi zasadami dotyczącymi reguł gry [...] Typ bandyty, jeśli chcecie, z zaostrzonym poczuciem patriotyzmu, który wykorzystuje problemy etniczne jako usprawiedliwienie dla swego terroryzmu. Nie lepszy i nie gorszy niż wszystkie inne takie typy”.

Stepan Bandera to dla części ukraińskich mieszkańców Ukrainy Zachodniej bohater. W Galicji Wschodniej i na Wołyniu wzniesiono dotąd dziewięć jego pomników, budowę kolejnych zaplanowano m.in. w Kijowie. Są co najmniej cztery poświęcone mu muzea, a godność honorowego obywatela przyznało mu już ponad trzydzieści miejscowości. Mit trwa, podsycany przez nacjonalistyczną propagandę, w oderwaniu od prawdy i zwyczajnej ludzkiej wrażliwości. Jego kontynuacji trudno zresztą nie uznać za element aktualnej gry politycznej rozgrywanej przez rozmaite ukraińskie formacje polityczne. Być może właściwym krokiem odpowiednich instytucji państwa polskiego byłaby próba jego desakralizacji i postawienia – po latach – przed sądem, nie tylko historii. ■



Wiesław Romanowski, *Bandera. Terrorysta z Galicji*, seria „Biografie przekłete”, wyd. Demart, Warszawa 2012, ss. 224



■ *Aparat bezpieczeństwa wobec żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza i funkcjonariuszy Straży Granicznej*, wstęp P. Skubisz, wybór dokumentów i oprac. A. Chrzanowska, S. Koller, W. Kujawa, K. Langowski, M. Majewski, S. Pilarski, P. Skubisz, D. Wolska, IPN, Warszawa 2013, ss. 400 + ss. 16 wkł. zdj.



■ Kornelia Banaś, *Komunistyczny aparat bezpieczeństwa wobec pielgrzymek stanowych do Piekar Śląskich (1947-1989)*, IPN, Katowice 2013, ss. 390.



■ Franciszka Dudzińska-Reizer, *Szkoły mojego życia*, IPN, Rzeszów 2013, ss. 235 + ss. 24 wkł. zdj.



■ *Historyczno-prawna analiza struktur organów bezpieczeństwa państwa w Polsce Ludowej (1944-1990)*. Zbiór studiów, red. A. Jusupowicz

i R. Leśkiewicz, IPN, Warszawa 2013, ss. 352.



■ Jan Hlebowicz, *Niepokorni z „Topolówki”. Działalność niezależna uczniów III Liceum Ogólnokształcącego im. Bohaterów Westerplatte w Gdańsku*

w latach 1970-1989, IPN, Gdańsk 2013, ss. 144.



■ Wacław Jędrzejewicz, *Rola Józefa Piłsudskiego w odbudowie i umacnianiu państwa polskiego*. Skrypt wykładów w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Ameryce w latach 1981-1982, red. naukowa D. Koreś, IPN, Warszawa 2013, ss. 214.



■ Stanisław Wincenty Kasznica, *Druga wojna światowa. Wspomnienia spisane na podstawie codziennych notatek*, wstęp i oprac. M. Szczesiak-Ślusarek, IPN, Warszawa-Poznań 2013, ss. 272.



■ *Kreisbildstelle Turek/Wartherland. Archiwum Igły, t. 2*, IPN, Bibliotheca Turcoviana, Turek 2013, ss. 400.



■ *Letnia Szkoła Historii Najnowszej 2012. Referaty*, red. K. Dworaczek, Ł. Kamiński, wstęp Ł. Kamiński, IPN, Warszawa 2013, ss. 205.



■ *Nad Odrą i Bałtykiem. Myśl zachodnia: ludzie - koncepcje - realizacja do 1989 r.*, red. M. Semczyszyn, T. Sikorski, A. Wątor, IPN, Szczecin 2013, ss. 771.



■ *Procesy polityczne działaczy NSZZ „Solidarność” w Łodzi w okresie stanu wojennego*, wstęp, wybór, oprac. S. Pilarski (współpraca K. Kolasa), IPN, Łódź 2013, ss. 352.



■ *25. rocznica strajku w Hucie Stalowa Wola (22 sierpnia - 1 września 1988 r.)*, IPN, Rzeszów 2013, ss. 31.



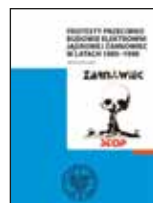
■ Zdzisław Ropiński, *Tak to wtedy bywało. Moje zapiski z lat 1977-1981*, wstęp T. Kisielewski, red. K. Osiński, IPN, Bydgoszcz-Gdańsk 2013, ss. 154.



■ Jarosław Syrnok, *„Po linii” rewizjonizmu, nacjonalizmu, syjonizmu... Aparat bezpieczeństwa wobec ludności niepolskiej na Dolnym Śląsku (1945-1989)*, IPN, Wrocław 2013, ss. 310.



■ Krzysztof Szwagrzyk, *Więzienia i obozy na Dolnym Śląsku (1945-1956)*. Przewodnik, IPN, Wrocław 2013, ss. 151.



■ Janusz Waluszko, *Protesty przeciwko budowie elektrowni jądrowej Żarnowiec w latach 1985-1990*, IPN, Gdańsk 2013, ss. 82.



■ Dariusz Węgrzyn, *Od pierwszego strajku do „Trzeciego Szeregu”. NSZZ „Solidarność” Region Podbeskidzie (1980-1983)*. Opis konfliktu politycznego, IPN, Katowice 2013, ss. 666.



■ *W pułapce historycznej konieczności*, red. F. Musiał, IPN, Kraków 2013, ss. 160.

Instytut Pamięci Narodowej  
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu  
00-207 Warszawa, pl. Krasińskich 2/4/6

Publikacje IPN można nabyć:  
w Centrum Edukacyjnym IPN  
im. Marszałka Kurtyki PRZYSTANEK HISTORIA  
ul. Marszałkowska 21/25, 00-625 Warszawa  
poniedziałek - piątek w godz. 10:00-18:00,  
sobota w godz. 9:00-14:00, tel. (22) 576 30 06

#### Prenumerata „Pamięci.pl”

Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie [www.pamiec.pl](http://www.pamiec.pl) przy opisie najnowszego miesięcznika. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej.

#### Sprzedaż wysyłkowa publikacji

zamówienia można składać telefonicznie:  
tel. (22) 431 82 92, (22) 431 82 88;  
(22) 431 82 89; fax (22) 431 82 91  
pocztą zwykłą na adres Instytutu  
pocztą elektroniczną: [joanna.pamula@ipn.gov.pl](mailto:joanna.pamula@ipn.gov.pl);  
[joanna.pszczola@ipn.gov.pl](mailto:joanna.pszczola@ipn.gov.pl)  
[danuta.wierzman@ipn.gov.pl](mailto:danuta.wierzman@ipn.gov.pl)  
lub w księgarni internetowej: [www.ipn.pocztaj.pl](http://www.ipn.pocztaj.pl)



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

# 13 GRUDNIA

## ROZMNICZENIE WPROWADZENIA STANU WOJENNEGO

[www.ipn.gov.pl](http://www.ipn.gov.pl)



ZAPAL  
ŚWIATŁO  
WOLNOŚCI

13 grudnia  
19.30